

*Wieczór  
filmowy*



**LUCY  
COURTENAY**



**Lucy Courtenay**

**WIECZÓR FILMOWY**

Przełożyła Grażyna Woźniak

31 grudnia

Hanna

Tańczę, jestem szczęśliwa i mam czkawkę.

Zawsze tańczę w sylwestra. Już jako dziecko płażałam o północy w rytm *Macareny*. Dzisiaj, dzięki niesamowitym niebieskim lampkom, które Dan rozwiesił w swoim wielkim przeszklonym salonie, czuję się jak wąż morski w akwarium, poruszający się tak miękko i płynnie, jakby nie miał kości. Jestem Panną Price i Profesorem Jakmutam z *Bedbrooms and Knobsticks*<sup>1</sup> w jednej osobie.

Biała sukienka połyskuje w świetle stroboskopu. Vashti i Laura zerkają w moją stronę, kiedy oślepiam połowę pokoju, migocząc jak choinka. Wow. Jestem *światlistym* wężem morskim.

– Hanna.

– Nie teraz, skarbie – odpowiadam z zamkniętymi oczami, płynnie wymachując rękami. – Jestem w transie.

– Han, przed chwilą walnęłaś mnie w twarz.

Sol rozciera policzek i usiłuje nie dopuścić do tego, żeby stratował go roztańczony tłum. Wiem, że wolałby teraz być gdzieś indziej. Żaden z niego król parkietu.

– Uznajmy, że to było z sympatii – mówię.

– Jesteś pijana.

– Wcale nie. Jestem niesamowita. – Krążę po parkiecie, wypatrując Dana Danny'ego mojego ukochanego. Mam ochotę przesunąć dłońmi po jego umięśnionym torsie i uszczypnąć go w uszko. Najchętniej schrupałabym go w całości. Spotykamy się od czterech tygodni i mam na jego punkcie obsesję.

– Jesteś pijana – powtarza Sol.

– Wszystko w porządku, Han? – pyta Laura, wyciągając do mnie długie, pomalowane na fioletowo paznokcie; chociaż może też je wyciągać w stronę mojej sukienki, ciężko stwierdzić.

– Nic jej nie jest – odpowiada za mnie Sol. – Musi tylko zaczerpnąć świeżego powietrza.

Prowadzi mnie przez dudniący muzyką pokój do szeregu lśniących szklanych drzwi, wychodzących na taras z widokiem na ogród. Wokół trawnika stoją lampy solarne, jest też fontanna z głową lwa. Dan mieszka w najpiękniejszym domu na świecie. Dan jest najlepszym chłopakiem na świecie!

– Jestem królem świata! – mówię.

Rozkładam ramiona i próbuję wychylić się przez balustradę niczym Kate Winslet w *Titanicu*. Sol stawia mnie do pionu. Łapię go za nos, żeby przestał się wreszcie kręcić, ale niezależnie od tego, jak mocno go przytrzymuję, nie chce stanąć w miejscu.

– Jeśli zaraz nie przestaniesz, polecą mi krew z nosa – ostrzega.

Zabieram rękę. Nie chcę, żeby Sol zakrwawił mi sukienkę, bo wtedy goście komentowaliby rano mój strój z niewłaściwych powodów.

Zauważam sylwetkę mojego chłopaka w oknie na piętrze. Czuję przyływ dumy, po którym bardzo szybko ogarnia mnie pragnienie pobiegnięcia na górę i obsypania pocałunkami tej jego przystojnej buźki, na której widok mięknią mi kolana. Ze swojego miejsca na tarasie widzę jego uroczo zmierzwiłone kruczoczarne włosy, piękny grecki profil i lśniące białe zęby, gdy posyła zabójczy uśmiech komuś, z kim właśnie rozmawia.

Sol klaszcze w dłonie jak ktoś usiłujący zwrócić uwagę dzieciaka skaczącego po dmuchanym zamku.

– Chodź, powinnaś napić się wody – zwraca się do mnie głosem pełnym nerwowej energii. Jego oczy są zwykle koloru bagiennej zieleni, ale teraz, dzięki wpadającym przez szklane drzwi salonu błyskom stroboskopu, płoną w nich ogniki.

– Najpierw wyjdź, teraz wejdź – mamrocze pod nosem. – Może byś się wreszcie zdecydował.

Po raz ostatni zerkam w stronę okna pokoju Dana, gdy Sol holuje mnie z powrotem do domu.

I właśnie wtedy widzę Lizzie Banks całującą się z moim chłopakiem.

Sol mówi coś do mnie tym swoim świetnie-nadającym-się-do-uspokajania-małych-zwierzątek tonem. Nie wiem dokładnie co. Głos dobiega z oddali, jakby z końca długiego tunelu. Zapieram się swoimi niebotycznymi obcasami o deski tarasu i patrzę, jak Lizzie przyciska Dana do okna, wsuwając paznokcie z poodpryskiwanym lakierem w jego idealne włosy. Lakier jest czerwony, zupełnie jak krew, która właśnie odpłynęła z mojego serca. Szok sprawił, że czkawka całkiem mi przeszła.

– Lizzie Banks całuje się z Danem – oznajmiam głosem, który brzmi dziwnie nisko, jakby wcale nie należał do mnie. – ONI SIĘ CAŁUJĄ.

– Kto się całuje? – pyta przechodząca obok Trixie. Sukienka z niebieskich cekinów wiruje wokół jej nóg, a sztuczne rzęsy są tak długie, że gdy mnie mijają, czuję dodatkowy pęd powietrza na wysokości oczu.

Przeciskam się przez roztańczony tłum, mijam po drodze brata i jego dziewczynę Leah, obściskujących się jak zwykle. Muszę się przedostać do schodów, wejść na górę i zabrać Dana w bezpieczne miejsce. *Lizzie... Każda inna dziewczyna, tylko nie Lizzie.* Moja sukienka jest tak obcisła, że nie mogę w niej biec tak szybko, jak bym chciała. Sol mocno ściska mnie za ramię.

– Tylko nie zrób sceny, Han – prosi. – To się kiepsko skończy.

– A żebyś, cholera, wiedział! – odwarkuję. Udało mi się dotrzeć do podnóża schodów ze szkła i stali, teraz zastanawiam się, jak się na nie wspiąć w sięgającym kolan kokonie. Przydałaby się winda. – Trixie twierdzi, że Lizzie Banks ugania się za Danem od początku college'u. – Kiedy wypowiadam imię Lizzie, robi mi się gorąco. – Właściwie to żenujące. Wstyd mi za nią. To jakiś żart. Lizzie Banks jest ŻARTEM.

Sol uparcie nie chce mnie puścić, kiedy próbuję wejść na schody. Za każdym razem, gdy ktoś nas mijają, kiwa głową z nonszalanckim „wszystko okej?”, co ma oddalić podejrzenia, że coś jest nie tak. Jestem mu za to dość wdzięczna, ale przede wszystkim czuję się, jakby spadło na mnie coś ciężkiego. I to z dużej wysokości.

W drzwiach salonu pojawia się Trixie. Kiedy tak przygląda się mojej trzeciej wścieklej próbie wdrapania się po schodach bez rozdzierania sukienki, coś wyraźnie zaczyna trybić pod tą swoją smolistą treską.

– Wszystko w porządku? – pyta, patrząc na Solę swoimi wielkimi, wypacykowanymi oczami.

– Tak, Trixie. Dzięki, że pytasz – odpowiada Sol. – Han, drzwi są tutaj.

Dołączają do nas Vashti i Laura, zwabione zapowiadającą się aferą.

– *Wychodzisz?* – dziwi się Vashti.

Nie musi nic więcej mówić. Już wszystko wiem. Tylko wariaci i frajerzy mogliby chcieć opuścić imprezę sylwestrową u Dana na pół godziny przed północą.

Sol jeszcze raz mocno ściska mnie za ramię.

– Mhm.

Nie mam innego wyboru, jak tylko odpuścić sobie wchodzenie po schodach. Cichutko dyszę, niczym zbity pies zaplątany w białą sukienkę jak w bandaż. Zaczyna mi się zbierać na płacz.

– Hanno? – zwraca się do mnie Sol. – Chodźmy już.

## Hanna

Odgłosy przyjęcia cichną jak ucięte nożem, kiedy Sol zatrząskuje za nami wielkie frontowe drzwi. Niepewnie wciągam powietrze. Boże, ależ tu zimno. Dociera do mnie, że zapomniałam zabrać płaszcz. A nie, moment, nie miałam płaszcz. Tylko nudziarze zakładają płaszcze, wybierając się na imprezę.

– Śniło mi się, że mieliśmy wziąć z Danem ślub na Singö – wyrzucam z siebie, kurczowo ściskając klapy płaszcza Sola, który ciągnie mnie w dół ulicy. Ciężko się chodzi w tych butach. – Mieliśmy jeździć na rowerach w pasujących do siebie rybackich kurtkach i mieć piękne dzieci mówiące w trzech językach. – Moje serce podskakuje jak owieczka z reklamy red bulla za każdym razem, gdy o nim myślę. – To jeszcze nie koniec, Sol. Lizzie Banks jest tylko znikającym punkcikiem na ekranie radaru naszej miłości.

Kto by pomyślał, że od nadmiaru emocji może się zrobić niedobrze? W moim żołądku gotuje się jak w garnku z wrzącą zupą. Jestem pod wrażeniem poziomu wściekłości, jaki udało mi się wygenerować.

*Dlaczego to musiała być akurat Lizzie?*

– Jak mam go odzyskać? – zawodzę.

A później wymiotuję Solowi na buty.

To niesamowite, ile emocji ucieka z człowieka razem z treścią żołądka. Zamiast złości i żalu, czuję już tylko zmęczenie. Opieram się o najbliższą latarnię, a Sol usiłuje wytrzeć buty w oszronioną, trzeszczącą pod stopami trawę przed bramą Dana. Makijaż oczu powinien działać jak zaporę, jak ściana ziemniaczanej sałatki w bufecie „jedz, ile chcesz”, ale wcale tak nie jest. Nie potrafię powstrzymać potoku łez.

– Witaj w Klubie Porzuconych – odzywa się Sol.

Jestem tak zszokowana, że prawie przestaję płakać.

Jeszcze *nigdy* nikt mnie nie rzucił.

Prawdę mówiąc, odkąd tylko zaczęłam się spotykać z chłopakami, to ja byłam stroną porzucającą; począwszy od dwudziestu trzech minut spędzonych w towarzystwie Hugo Jacksona na dyskotecę gwiazdkowej w siódmej klasie, po których gładko przeniosłam się na drugą stronę parkietu z Andrew Gillespiem, aż po sytuację sprzed miesiąca, kiedy Dan Dukas wymachiwał mi przed nosem dwoma biletami na *Fantastyczne zwierzęta i jak je znaleźć*, a ja czekałam, aż Stevie O’Shea wkręci nas na *Inferno*.

– NIE zostałam porzucona – mówię pełna grozy. – Lizzie Banks wykorzystała po prostu sytuację. – *I to nie pierwszy raz*, myślę gorzko.

Sol spogląda na mnie spod przydługiej rudej grzywki.

– Do całowania potrzeba dwojga ludzi. Albo jednego człowieka i melona, jeśli ktoś jest zdesperowany.

Prycham rozpaczliwym śmiechem i wlepiam wzrok w poplamione tuszem do rżęs dłonie. A później znowu zaczynam płakać, bo świat jeszcze nigdy nie wydawał mi się tak smutnym miejscem.

– Nikt nie powinien zostać porzucony po raz pierwszy w sylwestra – łkam. – To całkowicie sprzeczne z tym, co pokazują w filmach.

– Życie to nie film, Han.

Kiedy mijamy przystanek autobusowy, znowu dopada mnie wspomnienie dłoni Lizzie przeczesujących włosy Dana; jest ono tak przerażające, że tracę oddech. Nikt nie wspomina o tym, ale takie sytuacje niszczą nie tylko serce, lecz także aparat oddechowy.

– Czuję się, jakby koparka wyrwała mi płuca – mówię urywaniem głosem, padając na plastikową ławkę pod wiatą. Uderzam się w klatkę piersiową, żeby zademonstrować, o co mi chodzi.

– Wiem, Han.

Sol zawsze bardzo się starał okazać mi współczucie, ale czy rzeczywiście mógł zrozumieć

sytuację, w której się znalazłam?

- Nigdy nie miałaś dziewczyny – zauważam. – Nie masz pojęcia, co czuję.
- Sol siada obok mnie i rozchyła płaszcz, żebym mogła się do niego przytulić.
- Niewiele wiesz – mówi mi nad głową.
- Miałaś dziewczynę?

Nie chciałam, żeby w moim głosie zabrzmiało niedowierzanie. Po prostu... nie bardzo umiem sobie wyobrazić Sola z dziewczyną.

- Sporo się może zmienić między dwunastymi a szesnastymi urodzinami – zauważa.
- Można na przykład dochować się trzeciej nogi i głosu jak syrena okrętowa.
- Nie mam trzeciej nogi – odpowiada poważnie.

Minęły trzy miesiące, odkąd Sol Adams pomógł mi wstać z podłogi stołówki w college'u, gdzie leżałam z tyłkiem umazanym kubkiem jogurtu truskawkowego. Krzyknęłam wtedy: „Nie mogę uwierzyć, że cię widzę! Dlaczego nie wiedziałam, że tu chodzisz?”, podczas gdy mój najlepszy przyjaciel z podstawówki wycierał mnie do czysta. Jest dużo prawdy w powiedzeniu, że doceniamy ludzi dopiero wtedy, gdy na nowo pojawiają się w naszym życiu, uzbrojeni w garść serwetek. Dociera do mnie, że czuję się już trochę lepiej. Sol zawsze umiał poprawić mi nastrój. Nie rozumiem, jak w ogóle sobie radziłam przez te lata, kiedy go przy mnie nie było.

– Wiedziałabym, gdybyś *ostatnio* się z kimś spotykał – mówię, wycierając nos. – Od września spędzamy razem jakieś siedemdziesiąt procent czasu.

- Zostaje jeszcze trzydzieści.

Zmuszam się, żeby nie myśleć o złych rzeczach i skoncentrować uwagę na słowach Sola. Mój przyjaciel zawsze był skryty, trzymał się na uboczu jak srający kot. Czy to możliwe, bym nie wiedziała, że się z kimś spotykał?

– Kim ona jest? – pytam z nagłym zainteresowaniem. – Kiedy cię rzuciła? Dlaczego nic o niej nie wiem?

- Skąd wiesz, że to ona?

W jednej sekundzie zapominam o Danie. Rzeczywiście *wiele* się może zmienić między dwunastymi a szesnastymi urodzinami.

- Niemożliwe – mówię z przekonaniem.
- Masz rację – przyznaje. – Nie znasz jej.

Z wrażenia aż odbiera mi mowę.

– Jestem najgorszą przyjaciółką pod słońcem – stwierdzam, kiedy wreszcie udaje mi się odzyskać głos. – Rzuciła cię dziewczyna, a ja nawet nie wiedziałam, że się z kimś spotykasz.

- To teraz już wiesz.

– Dlaczego cię rzuciła? – pytam z oburzeniem. Sol jest uroczy. Sol jest idealny. Może nie jest zabójczo przystojny, ale to *jedyne*, czego mu brakuje. Nagle krew odpływa mi z twarzy. – To chyba nie przeze mnie, co? Wiem, że spędzamy ze sobą mnóstwo czasu, ale to przecież nie tak. Ona chyba to rozumie? Wie, że ze sobą nie kręcimy?

Sol wstaje z ławki.

- Lepiej chodźmy, bo zamarzniemy.

Podnoszę się chwiejnie, głównie po to, żeby nie stracić kontaktu z ciepłutkim sztywniackim płaszczem Sola, i uderzam nosem prosto w jego plecy. Sol zatrzymał się na środku drogi.

Małe białe gwiazdki unoszą się nad naszymi głowami, tworząc lodową mgiełkę. Stają się coraz większe i wirują w powietrzu niczym miliony maleńkich błyszczących Kopciuszków na balu u księcia.

Śnieg.

Od razu przestaje mi być zimno. Jesteśmy w scenie z *Igraszek losu*, tylko bez sfruwającej z nieba rękawiczki. Zawsze chciałam znaleźć się w tej scenie.

– To *jest* film – mówię, rozkładając ramiona na boki i nie zwracając nawet uwagi na igiełki zimna wbijające mi się w skórę, kiedy płatki śniegu lądują na moich ramionach, już niemal sinych. – Jest

sylwester i pada śnieg! – Spoglądam na zegarek. – Pada śnieg, jest sylwester i właśnie wybiła *północ!* – ekscytuję się, o ile można być jednocześnie podekscytowanym i załamany. – Celuloid stał się rzeczywistością.

– Nikt już nie kręci filmów na celuloidzie.

– W porządku, panie Spielberg. – Sol celowo udaje, że nie wie, o co mi chodzi. – Chcę po prostu powiedzieć, że ze świata filmów przenieśliśmy się w wymiar *znaków*. – Mówię cichutko, żeby dopasować się do scenerii, coraz bielszej i bielszej od śniegu.

– Niech zgadnę. *Igraszki losu?*

Moszczę się pod jego płaszczem, mocniej przytulając się do brzucha. Idziemy pustą drogą, rozkoszując się wrażeniem bycia we własnej śnieżnej kuli, oazie spokoju. Niesamowite uczucie, zważywszy na to, co spotkało mnie wcześniej.

Kiedy docieramy pod mój adres, wysuwam ręce z ciepłka.

– Nie ma jak w domu – mówię smętnie, układając palce w diabełka. – Impreza na całego. Dzięki, że się mną zaopiekowałeś. Odwdzięczę ci się, gdy któregoś dnia ty zapomnisz o zdrowym rozsądku. O ile taki dzień kiedykolwiek nastąpi.

Oczy Sola podejrzanie błyszczą.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Hanno – mówi.

Na jedną przedziwną chwilę, świat wokół nas jakby przestaje się obracać. Panuje idealna cisza. Głowę Sola otacza coś w rodzaju aureoli, gdy tak stoi przede mną wśród wirujących płatków śniegu, w świetle latarni, z kilkoma śnieżynkami na rudych brwiach i czymś nieokreślonym w tych zielonych oczach.

Właśnie wtedy wpadam na genialny pomysł. Jeden z tych, które przychodzą do głowy wyłącznie w sylwestra, najlepiej po pijaku, wśród śniegu, w dziesięciocentymetrowych obcasach i z najlepszym przyjacielem u boku.

– Wiesz, co powinniśmy zrobić? – pytam podekscytowana.

Nieokreślone coś ulatuje z oczu Sola.

– Dobry Boże – mruczy.

– Powinniśmy wspólnie obejrzeć po jednym filmie w ostatni dzień miesiąca przez okrągły rok, aż do kolejnego sylwestra. Łącznie dwanaście filmów.

Sol ponownie zerka w niebo.

– Co ty masz na punkcie tych filmów?

– Są w nich *odpowiedzi*. – Stukam go palcem w pierś. – Potrzebujemy odpowiedzi, Sol. Dlaczego oboje zostaliśmy porzuceni? Co zrobiliśmy nie tak? Czy nie sądzisz, że już czas, abyśmy zaczęli się uczyć od najlepszych? Założę się, że Audrey Hepburn ani razu nie poległa na schodach, próbując stawić czoło jędzy, która ukradła jej chłopaka. A już na pewno Amy Adams nie wylądowała na podłodze z tyłkiem w jogurcie. Powinniśmy zacząć już dzisiaj. Mama i James są na przyjęciu, Raz nadal obściskuje się z Leah u Dana, a mój młodszy brat nocuje u kolegi. Będziemy mieli cały dom dla siebie.

Sol strzepuje mi z policzka płatki śniegu.

– Zmarzłaś na kość i jesteś pijana – zauważa. – A ja chciałbym zmyć z butów wymiociny. Idź spać, Hanno. Obejrzymy film następnym razem.

Jak na zawołanie zaczynam ziewać. Sol ma rację. Padam z nóg. Myśl o tym, że wreszcie zdejmę tę wściekle obcisłą sukienkę i niebotyczne obcasy, umyję twarz, a później będę mogła aż do świtu płakać, oglądając wszystkie swoje facebookowe zdjęcia z Danem, wydaje się przyjemnie kusząca.

– W takim razie pod koniec miesiąca, u mnie – mówię, szukając w torebce kluczy. – Ja wybieram film. Następnym razem spotkamy się u ciebie i wtedy to ty zdecydujesz, co oglądamy. Obiecuję, że nie będę się wtrącać. Chyba że wybierzesz *Gwiezdne wojny*. Nawet nie próbuj. Nie cierpię *Gwiezdných wojen*. To znaczy nigdy ich nie widziałam, ale na samą myśl o *Gwiezdných wojnach* robi mi się słabo.

Sol odchodzi, unosząc na pożegnanie dłoń. Płatki śniegu wirują mu wokół głowy.

– A, i tobie też szczęśliwego Nowego Roku – mówię trochę za późno.

Ale jego już nie ma.



1 stycznia

Sol

Ależ ze mnie idiota. Zaczął nawet padać śnieg. Było zupełnie tak jak w tym filmie, na którego punkcie Hanna ma pewnie bzika, cholernei Bridget Jones, z Renée Zellweger w majtkach w cętki leoparda i z pozornie wyluzowanym Colinem Firthem, który okrywa ją swoim płaszczem i całuje.

Jęczę głośno. Trochę na myśl o Hannie w majtkach w leopardzie cętki, ale przede wszystkim z nienawiści do samego siebie. Tej nocy uzmysłowiłem sobie trzy rzeczy. Po pierwsze: jestem beznadziejnie zakochany w Hannie Bergdahl. Po drugie: po raz pierwszy od naszego spotkania po latach Hanna Bergdahl wydaje się nie mieć chłopaka. I po trzecie: utknąłem w podziemnym świecie demonów i trądziku, z którego nie ma ucieczki – Strefie Przyjaźni.

Przez sekundę, stojąc pośród padającego śniegu, w świetle ulicznej latarni, w miejscu, o którym już zawsze będę myślał jak o Zakątku Nieudacznika, patrzyłem na jej usta i myślałem, że może ona też patrzy na moje usta, i widziałem wyraźnie oznaczone wyjście ewakuacyjne. Wystarczyło objąć ją ramieniem, skorzystać ze starej dobrej techniki stykających się czół, i mogłem uciec. Być może dlatego, że znalazłem się tak blisko jej opuszczenia, Strefa Przyjaźni wydaje mi się teraz jeszcze gorszym więzieniem.

Gdybym jednak ją wtedy pocałował, mogłaby na mnie znowu zwymiotować. I nie wiedziałbym, czy to z powodu obrzydzenia czy resztek rumowego ponczu wypitego u Dana Dukasa. Może więc dobrze się stało.

Chociaż jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Kiedy przekręcam zasuwkę, Nigel już na mnie czeka. Właściwie nie tyle go widzę, co *wyczuwam* jego diabelski wzrok obserwujący mnie spod schodów. Prawie nie reaguję, kiedy rzuca mi się do nóg i z furią atakuje przesiąkniętą wymiocinami skarpetkę.

– Jak poszło? – woła z kuchni Gareth.

Przytrzymuję się słupka u podnóża schodów i zdejmuję brudne buty. Nigel nie daje za wygraną.

– Świetnie – odpowiadam. – Najlepsza impreza mojego życia. Uwielbiam imprezy.

– Jakież fajne dziewczyny?

– Tylko Hanna. – Nawet wymówienie jej imienia sprawia mi ból.

– A chłopaki?

Andrew wysuwa głowę przez kuchenne drzwi.

– Solomon? Właż tu i wszystko nam opowiedz.

– Nikt się mną nie interesował – mówię.

Andrew ocenia mój strój z krzywą miną.

– Nic dziwnego. W takim płaszczu?

– Daj mu spokój, Andrew – prosi Gareth.

Zdejmuję płaszcz, wsuwam nos w pognieciony materiał, żeby poczuć zapach Hanny – wtedy, gdy nie wymiotuje – a później go odwieszam.

– A co wy tu właściwie robicie? – pytam. – Wydawało mi się, że mieliście iść na imprezę.

Gareth wychodzi z kuchni ubrany w swoją ulubioną dziadkową piżamę.

– Nigel nie pozwolił nam wyjść – mówi.

Nigel nadal obgryza mi kostkę, wymachując przy tym wściekle ogonem niczym węzem ogrodowym.

– Ten cholerny kot zatrzymał nas w domu do dziewiątej – wyjaśnia Andrew. – Założyłem swoje najlepsze spodnie, a ten drań nie miał zamiaru ich oszczędzić. Zanim dał sobie spokój, obaj byliśmy zbyt pijani, żeby prowadzić. Szczęśliwego Nowego Roku.

– Żałośni z was koleś – mówię. – Zakładnicy kota.

– Nigel potrzebuje terapii – stwierdza Gareth.

– Raczej sterylizacji – odpowiadam.



Widzę, jak Gareth odtwarza w myślach naszą rozmowę.

– *Tylko* Hanna? – pyta dociekliwie.

Znowu się zaczyna.

– Jesteśmy przyjaciółmi, Gareth – tłumaczę.

– To, że przyjaźniliście się w piaskownicy, nie oznacza, że już zawsze tak musi być. Przyjaźń to najlepszy fundament dla związku.

– No nie wiem – przekomarza się z nim Andrew. – Nigdy specjalnie cię nie lubiłem.

Kiedy Gareth żartobliwie mierzwi lekko przerzedzające się włosy Andrew, zaczynam żałować – zresztą nie po raz pierwszy – że poznałem Hannę Bergdahl jako czterolatek, nad kolorowym papierem i kredkami. Może gdyby było inaczej, miałbym szansę, żeby zacząć z nią wszystko od nowa. Widziałaby we mnie kogoś tajemniczego, a nie dzieciaka, którego koledzy zamknęli w toalecie, gdy miał siedem lat. Mógłbym być fajnym gościem, a nie chłopakiem, którego dziewiąte urodziny spędziliśmy na struganiu drewnianych łyżek w Muzeum Rolnictwa. Z tego miejsca nie ma powrotu.

– Złaz ze mnie, Nigel! – Strząsam go z nogi.

Nigel odskakuje jak kruczoczarna bomba i pędzi w kierunku klapki dla kota. Zamkniętej klapki dla kota. Wszyscy słyszymy dźwięk zderzenia jego czaszki ze sztywnym plastikiem.

– No i się dograł – zauważa posępnie Andrew.

Przez chwilę wydawało mi się, że te cztery lata, kiedy się nie widzieliśmy, zadziałają na moją korzyść. No wiecie, tajemnicza przeszłość, te sprawy. Rzeczywiście wiele się *może* zdarzyć pomiędzy dwunastymi a szesnastymi urodzinami. Te cztery lata spędzone w Stanach nie wyposażyły mnie jednak nawet w podstawowy atrybut fajnego dzieciaka: amerykański akcent. Każda tajemnica, jaką potencjalnie mógłbym mieć, wypaliła się i zgasła niczym harcerskie ognisko.

Z kolei Hanna pięknie się przez ten czas rozwinęła. Jej zęby nie wydawały się już takie wielkie. A włosy, które dawniej nieco się puszyły, były teraz gładkie jak kostka masła. Do tego długie, mocne i przyjemne w dotyku. Zawsze miała niebieskie oczy, ale teraz jakimś cudem wydawały się jeszcze bardziej niebieskie.

Zatrząskuję drzwi do swojej sypialni, podnoszę pudełko zasłaniające papierowe figurki na moim biurku – nie wymyśliłem jeszcze, jak je najlepiej oświetlić – i włączam komputer. Przy ikonce programu FaceTime pali się zielone światełko i widzę szczerzącego się do mnie z ekranu Franka. Po czterech latach regularnego obrywania wspólnie po tyłku wytworzył się między nami pewien rodzaj transoceanicznej telepatii.

– Szczęśliwego Nowego Roku – mówię, padając na łóżko.

Frank unosi długi, smukły palec.

– Jeszcze tylko pięć godzin, stary. Pięć godzin wysłuchiwanie pytań mamy o to, czy się z kimś umówiłem albo czy nie mam ochoty obejrzeć powtórek *Kocham Lucy* razem z nią, tatą i psem.

Obaj się krzywimy. Lucy Shapiro to wciąż delikatny temat.

– Ironia losu – mówię.

– Ironia losu – przyznaje Frank. – Ale nie czekałem tu, aż wrócisz, żeby rozmawiać o swoim nieistniejącym życiu miłosnym. Chcę wiedzieć, czy ty i Hanna wreszcie...

Unoszę dłoń. Frank urywa w pół zdania. Przez chwilę tylko milcząco mi współczuje.

– Chciała ze mną obejrzeć film, ale odmówiłem.

– *Odmówiłeś?* Porąbało cię? Film plus kanapa to pewny przepis na sukces, przyjacielu, nikt ci tego nie powiedział? Pewnie w domu byli jej rodzice?

– Nie. Jej braci też nie było.

– Dałeś ciała na całej linii. – Nie może się nadziwić Frank.

Do tej pory właściwie się nad tym nie zastanawiałem. Słowa Franka trudno jednak zignorować. Mogłem spędzić dwie godziny sam na sam z Hanną, na kanapie. Zamiast tego postanowiłem wrócić do domu, padłem ofiarą kota psychopaty, odbyłem życzliwą rozmowę z rodzicami i zostałem obrażony przez najlepszego kumpla, oddalonego ode mnie o osiem tysięcy kilometrów.

– Wracaj tam i powiedz, że zmieniłeś zdanie – nakazuje mi Frank.

- Była pijana – tłumaczę. – Powiedziałem, że zrobimy to następnym razem.
- Chyba w snach, chłopie.

– Miałem na myśli wspólne oglądanie filmu. Umówiliśmy się na randkę pod koniec stycznia.

A przynajmniej *wmawiam sobie*, że to będzie randka. Chociaż oczywiście Hanna będzie już wtedy miała nowego chłopaka. Może nawet zejdą się z tym dupkiem Danem, chociaż jego dotychczasowe poczynania raczej na to nie wskazują. Staram się nie robić sobie złudnych nadziei. Dziewczyna taka jak Hanna nie pozostanie singielką przez cztery i pół tygodnia.

Frank tak bardzo przysunął się do monitora, że mogę policzyć wszystkie włoski w jego brwiach. Jest ich całe mnóstwo.

– Skoro będę musiał czekać na relację z twojej filmowej randki cały miesiąc, to lepiej, żeby były momenty – mówi.

– Powinieneś uporządkować własne życie uczuciowe – radzę mu. – Może wtedy moje przestałoby cię tak bardzo interesować.

– Gdyby tylko to było takie proste – wzdycha Frank.

Kiedy zamykam komputer, do głowy przychodzi mi jeszcze jedna dobra rzecz w całym tym potwornie złym wieczorze. Gdybym wrócił do domu Hanny obejrzeć z nią film – nie myśl o tym, że mogliście być sami, po prostu o tym nie myśl – musiałbym się jej wytłumaczyć z mojej wymyślonej byłej dziewczyny. Hanna jest typem, który nie poddaje się łatwo, a ja nie dostarczyłem jej dostatecznej ilości informacji, żeby zaspokoić jej ciekawość. Przegadałaby pół filmu i wierciłaby mi dziurę w brzuchu o szczegóły i szczegóły szczegółów. Nie ma mowy, żeby moje wymyślone na poczekaniu kłamstewko poradziło sobie z jej zdolnościami śledczymi. Od tej pory byłbym jej Przyjacielem z Urojeniami, a nie po prostu Przyjacielem. Mogę mieć tylko nadzieję, że zdąży o tym zapomnieć do naszego kolejnego spotkania.

## Sol

Poranek nie tyle nastał, co rozlał się nad horyzontem pod postacią morza bladego światła. Śnieg, który spadł ubiegłej nocy, zadomowił się na dobre, rozmywając tych kilka kolorów widocznych przez okno w łazience w subtelne pastele. Podczas golenia myślę o tym, czy w ogóle powinienem sobie zawracać głowę wynajdowaniem noworocznych postanowień. Zastanawiam się nad tym co roku, a później i tak parę wymyślam.

– W tym roku pocałuję Hannę Bergdahl – mówię, celując maszynką w lustro. – A jeśli mi się nie uda, to przestanę jeść żelki. Koniec z kwaśnymi wiśniowymi. Produkują je z kopyt.

Moje postanowienia powinny pewnie dotyczyć poważniejszych rzeczy niż żelki, ale w tej chwili potrafię myśleć wyłącznie o Hannie. To będzie ważny rok, o czym Gareth i Andrew uwielbiają mi przypominać. Za sześć miesięcy będę musiał podjąć kilka istotnych dla mnie decyzji.

Aby o tym nie myśleć, poświęcam kolejnych pięć minut na ustawienie moich papierowych figurek, po czym przez chwilę bawię się stojącą na biurku lampką, po raz kolejny usiłując je odpowiednio oświetlić. Gdy ustawię ją pod pewnym kątem, ich cienie się całują, a same figurki – nie. To daje pewne możliwości. Zakrywam całą scenę pudełkiem i chroniąc papierowe postacie przed przeciągiem i wścibskim wzrokiem Nigela, obiecuję sobie, że zajmę się nią później.

– Kawa z kocimi łkawkami czy bez? – pyta Andrew, gdy wchodzę do kuchni. – Nigel znowu się dorwał do filtrów.

– W takim razie dziękuję za kawę. – Chwytam płaszcz, sprawdzam, czy mam w kieszeni klucze i telefon.

– Już wychodzisz? – dziwi się Gareth zza jednego z nieskończonej liczby bożonarodzeniowych wydań gazet, które usiłuje przeczytać.

– Mam coś do załatwienia – odpowiadam.

– Możemy ci jakoś pomóc?

– Nie, dzięki.

– Idziesz się spotkać z Hanną?

Tego ranka nie mam ochoty rozmawiać o niej z moimi rodzicami. Jak długo powinienem toczyć uprzejmą pogawędkę, zanim będę mógł się zmyć?

– Znowu zerka na telefon – zauważa Andrew.

– Co można mieć do załatwienia o siódmej rano w Nowy Rok? – zastanawia się Gareth, opuszczając gazetę.

– Cześć! – żegnam się stanowczo, zanim Andrew ponownie wkroczy do akcji. Zamykam za sobą drzwi, rozluźniam się i wciągam świeże powietrze do płuc. Wszystko wydaje mi się dziś przytłumione, jakby ktoś założył na świat gigantyczne słuchawki wygłuszające. Ten rok trwa dopiero od siedmiu godzin, jest nowy, świeży i pełen możliwości. Czuję się tak tylko ten jeden jedyny raz w roku. Przeszłość zostaje wymazana. Nie ma już Strefy Przyjaźni ani kiepsko wystruganych łyżek. Nie istnieje żaden powód, dla którego ten dzień nie miałby się okazać najlepszym w moim życiu.

W drodze na stację mijam ulicę, przy której mieszka Hanna. Zatrzymuję się na chwilę, drżąc z zimna, i wpatruję się w uśpione okna. Możliwe, że Hanna nie spała zbyt długo, bo przez całą noc myślała o Danie Dukasie.

Nie mogę znieść myśli, że płakała.

Nagle coś wyskakuje z pobliskiego żywopłotu i wbija mi się zębami w łydkę. Krzyczę tak głośno, że z gałęzi nad moją głową zsuwa się gruda śniegu i spada prosto na mnie. Zasłony w oknach sąsiednich domów zaczynają się rozsuwać. Jestem mokry, zziębnięty, zszokowany i wściekły.

– Cholerny kot – mówię, łapiąc Nigela, i mocno go obejmuję, żeby nie mógł mnie ani ugryźć, ani podrapać. Jestem teraz kocim kaftanem bezpieczeństwa.

Mój pociąg odjeżdża za osiem minut. Jeśli wrzucę Nigela z powrotem w żywopłot, zdążę dojść na stację w pięć minut i złapać pociąg. Gdy się nad tym zastanawiam, mija nas rozpedzony samochód,

wystrzeliwując spod brudnych kół pióropusz brązowego śniegu. Nigel zaczyna mrużyć jak zadowolony z siebie motocykl. Wie, że nie mogę go tu zostawiać.

Wracam do domu.

– Polowanie na ptaki – w porządku. – Kładę Nigela na kolanach Andrew. – Polowanie na ludzi – nie w porządku.

– Ma kota na punkcie ruchliwych ulic – zauważa Andrew.

– Sam się prosi o śmierć – mówię. – Musicie go wysterylizować.

Pędzę na górę. Przez Nigela nie zdążyłem na pierwszy w tym roku pociąg. Ten, od którego wszystko się zaczyna, przywożący ludzi z nocnych zmian i przyjęć, jednoczący rodziny i przyjaciół. Białe płótno czekające na to, aż ktoś stworzy na nim idealny obraz, idealne ujęcie, idealną historię. Drugi pociąg to już nie to samo.

Minęło dopiero siedem i pół godziny Nowego Roku, a ja zdążyłem ponieść klęskę aż na dwóch polach. To musi być jakiś rekord, nawet jak na mnie.

## Hanna

Głowa boli mnie niemal tak mocno jak serce. Oczy mam sklezione kryształkami soli i resztkami tuszu do rzęs, którego nie zdołałam zmyć wczorajszej nocy. Na brzuchu wciąż mam odgniecenia od tej głupiej sukienki, a palce u stóp stopiły się ze sobą od noszenia szpilek.

– W końcu będziesz musiała przestać płakać, siostrzyczko.

– Nic nie rozumiesz – łkam z głową wciśniętą pod poduszkę. – Już nigdy nie będę szczęśliwa.

Raz wierci się na brzegu mojego łóżka. Z głośnym chrupnięciem odgryza kęs jabłka.

– Czy Dan Dukas rzeczywiście jest wart tego, żeby tak po nim rozpaczać? – pyta.

– A gdyby chodziło o ciebie i Leah? – syczę. – Wyobraź sobie, jak byś się teraz czuł.

Raz przewraca oczami tak, jak to robią ludzie przekonani o tym, że ich związki są mocne jak skała. Mama też tak kiedyś przewróciła oczami, zanim tata zostawił ją bez ostrzeżenia.

– Leah to nie Dan.

– Nie rozumiem, co ty masz przeciwko niemu. – Pociągam nosem. – A nie, już wiem. Jest bogaty, a to się kłóci ze wszystkimi twoimi socjalistycznymi zasadami.

– Nie lubię go, bo to gnojek. W zeszłym roku spotykał się z siostrą Jona. Skończył z nią tam samo jak z tobą.

– Nie możesz wierzyć we wszystko, co mówi Jono.

Raz wzrusza ramionami.

– Tylko że to nie mój najlepszy przyjaciel robi ci teraz siarę w mediach społecznościowych.

Podrywam się przerażona.

– Co?!

– Nie chcę burzyć twojego zamku z piasku, ale chyba powinnaś o tym wiedzieć. Zdjęcie Dana Dukasa całującego Lizzie obiegło Instagram jeszcze przed wybiciem północy.

Zwykle doceniam jego bezpośredniość. Nie mam zresztą innego wyjścia, Raz nigdy nie owija w bawełnę. Tego ranka czuję się jednak tak, jakby mój brat wyrwał mi flaki i ułożył z nich oślizgłą szarą stertę na moim łóżku.

– Dan NIE pocałował Lizzie Banks! – krzyczę. – To Lizzie Banks pocałowała JEGO.

– Jak zwał, tak zwał. Dan pocałował Lizzie, wrzucił to na Instagram, a dzisiaj nie zadzwonił. Takie są fakty. Niezła z niego gnida.

Łzy ponownie napływają mi do oczu, kiedy myślę o ustach Lizzie pożerających Dana, jakby był z czekolady. Jej paznokciach w jego włosach. Kiedyś malowałam te paznokcie co tydzień, po wspólnym jedzeniu brownie.

– A to suka – mówię beznamiętnym głosem.

Brat podaje mi drugie jabłko.

– *Gott Nytt År*<sup>2</sup>, siostrzyczko.

Bezmyślnie biorę owoc do ręki. Zdrowia, szczęścia i takie tam. Jabłko smakuje kurzem i rozstaniem.

– Mama pojechała do Isaaca, żeby odebrać Linusa – informuje mnie Raz, wstając z łóżka, i wyrzuca ogryzek do kosza. – James gdzieś przepadł, a ja wybieram się do Leah, pomóc jej tacie uprzątnąć ogród i zarobić jakieś tysiąc punktów idealnego chłopaka, które zamierzam odebrać w naturze jeszcze dziś wieczorem.

– Ohyda.

Raz uśmiecha się szeroko.

– Umyj twarz, wyglądasz, jakbyś przeleciała przez komin.

Pełzną do łazienki. Cholerny tusz do rzęs, że też nigdy nie można go porządnie zmyć. Szoruję twarz tak mocno, że puchną mi powieki, a na waciku i tak zostają czarne ślady. Nakładam na obolałą twarz grubą warstwę kremu nawilżającego i kuśtykam z powrotem do łóżka. Na nic więcej nie mam dziś energii, więc sięgam po laptopa i odpalam Netflix. Dzięki Bogu za filmy. Filmy są moim azylem,

idealnym światem, w którym da się rozwiązać każdy problem w mniej niż półtorej godziny.

Kiedy nieuważnie włączam telefon, ten ryczy na mnie niczym rozwścieczony słoń. Okazuje się, że Dan i Lizzie opanowali Internet. Czuję się, jakbym miała znowu wymiotować, tym razem już nie na buty Sola.

Odłączenie wszystkich aplikacji społecznościowych zainstalowanych w moim telefonie trwa całą wieczność, lecz alternatywa jest jeszcze gorsza. Teraz muszę już tylko przeczytać kilkanaście SMS-ów od dziewczyn, w których piszą mniej więcej to samo: że Lizzie Banks to dwulicowa szmata, która nie zasługuje na Dana, że to nie moja wina (oczywiście to JEST moja wina, w przeciwnym razie nic złego by się nie stało) i że Dan najwyraźniej oszalał, skoro woli ją ode mnie.

BOŻE, JAK JA NIENAWIDZĘ SWOJEGO ŻYCIA.

Dzwoni mój telefon.

– Sol – mówię i zaczynam płakać.

Jedną z wielu rzeczy, które w nim lubię, jest to, że nie powtarza bzdetów w rodzaju: „wszystko się ułoży” ani „no już, już”, które inni ludzie mówią po to, żeby zapełnić ciszę. Sol po prostu słucha. Po jakichś pięciu minutach mojego spazmatycznego łkania, pociągania nosem i przeklinania oraz jego milczenia, apatycznie sięgam po komputer.

– Może chcesz przyjść i obejrzeć ze mną *To nie jest kraj dla starych ludzi?* – pytam.

– Ty naprawdę wiesz, jak poprawić sobie humor.

– To pierwszy całkowicie nieromantyczny film, jaki przyszedł mi do głowy. To jak, wpadniesz?

– Nie mogę. Gareth przygotowuje lunch. Tak zwany czas dla rodziny.

Opadam z powrotem na poduszkę i zamykam swoje smutne, zmęczone oczy.

– Sol, ja po prostu *muszę* odzyskać Dana.

– Zaglądałaś na Instagram?

– To sprawka Lizzie Banks. – Jej nazwisko pozostawia w moich ustach posmak jak zimna brukselka. – Dan nigdy nie wie, który guzik nacisnąć.

– To pewnie przez to wymienianie telefonu co kwartał na nowszy model. Ciężko jest tak często uczyć się nowych zasad korzystania z czegoś, gdy ma się mózg wielkości orzeszka.

– Mózg Dana jest większy od orzeszka – odpowiadam z godnością.

– W takim razie mózg wielkości kapusty. Kapusta jest większa niż orzeszek.

– Sol...

– Byłem z tobą wczorajszej nocy, Hanno. Widziałem, co się stało. Możesz o to zapytać moje buty.

– Włóż je do pralki – mówię ze wzrokiem wlepionym w sufit. – Będą cacy.

– *Oświadczyny po irlandzku.*

Sol to jedyny znany mi chłopak, który rozpoznaje cytaty z filmów wplatanie przeze mnie w rozmowę. Nawet te z najgorszych szmir, których większość chłopaków za żadne skarby nie chciałaby obejrzeć.

– Zrobię to – oświadczam, wycierając nos grzbietem dłoni. – Odzyskam go. Będzie jak w tej scenie z *Oświadczyny po irlandzku*, kiedy Amy Adams wraca do pubu Matthew Goode’a i mówi mu, że go kocha.

Sol sprawia wrażenie zaskoczonego.

– Czyli w twoim scenariuszu Dan Dukas jest Matthew Goode’em?

– To chyba jasne. Obaj mają ciemne włosy, są wysocy i mają urocze akcenty. A tak z innej beczki: co gotuje Gareth?

– Jakąś superwymyślną potrawę, do której przygotowania zabrudzi wszystkie garnki, jakie mamy, doprowadzając tym Nigela do szału. Do jeszcze większego szału. Wiesz, że zaatakował mnie dzisiaj w drodze do... kiedy rano wyszedłem z domu?

– W drodze dokąd?

– W pewne miejsce – odpowiada jak zawsze wymijająco Sol. – Do którego wybierałem się rano, żeby pomyśleć.

– O niej?

– O kim?

Dobrze, że chociaż *jemu* udało się zapomnieć.

– O dziewczynie, która cię rzuciła – przypominam mu nieco zgryźliwie.

– No tak. Właśnie o niej. Hanno, ten twój pomysł oglądania filmów co miesiąc... mówiłaś poważnie?

– Zawsze jestem poważna, gdy chodzi o filmy. Chyba że mówię o poważnych filmach.

– W porządku. Pod warunkiem, że wybieramy tytuły na zmianę.

Od razu poprawił mi się humor.

– Ale ja wybieram pierwsza.

– Byle nie *Bridget Jones*.

– Niczego nie obiecuję. Nie przejmuj się nią, okej?

– A kto się przejmuje?

– Ty. Dziwnie brzmiysz. – Słyszę piknięcie telefonu. – Och, przepraszam, mam oczekujące połączenie, zaczekasz chwilę? Kochamcięczyć. Halo?

– Hanno, skarbie – dyszy do słuchawki Trixie. – Musisz się czuć *okropnie*. Nie mieści mi się w głowie, że Dan wykręcił ci taki numer. Chcesz o tym pogadać?

Gdyby Trixie zadzwoniła pierwsza, jej propozycja pewnie wydałaby mi się kusząca. Teraz jednak czuję się już tylko wyczerpana i podenerwowana. Potrzebuję planu, dzięki któremu wypadnę w jej oczach mniej żałośnie, niż się w tym momencie czuję. Dziewczyny mają swoje standardy, a ja nie chcę nikogo zawieść. Muszę zapytać o radę Sola. Sola czekającego na drugiej linii jak jakiś anioł, którym zresztą niewątpliwie jest.

– Przepraszam, Trix, mam drugą rozmowę. Zaczekasz?

Przełączam się na drugą linię.

– Dzwoni Trixie – wyjaśniam Solowi. – To naprawdę ważne, żeby nie uznała mnie za desperatkę, bo wtedy powie o tym Vashti i Laurze, które i bez tego uważają, że jestem trochę dziwna. Muszę jej powiedzieć coś, co sprawi, że nie będzie mnie zadręczać tą katastrofą z Danem. Jak powinnam to rozegrać?

– Dlaczego uważają, że jesteś dziwna?

*Bo spędzam z tobą więcej czasu niż z nimi.* Ale przecież mu tego nie powiem.

– To nie jest najlepszy moment, żeby dyskutować o mojej pozycji towarzyskiej. Musisz mi pomóc.

Sol wzdycha.

– Powiedz Trixie, że rzuciłaś Dana wcześniej tamtego wieczoru, więc to, że potem całował się z Lizzie, nic cię nie obchodzi. Wyszliśmy przed północą, pamiętasz? Wykorzystaj to.

– Ale...

– Powiedz jej to. I bądź pewna siebie. Jeśli przekonasz Trixie Logan, to ona przekona w twoim imieniu Vashti i Laurę. Problem rozwiązany.

Sol jest geniuszem.

Klik.

– To bardzo miłe, że dzwonisz, Trix – mówię. – Chociaż niepotrzebnie się fatygowałaś.

– Hanno, absolutnie zrozumieję, jeśli nie będziesz chciała ze mną teraz rozmawiać. Czułabym się podobnie, gdyby wszyscy wiedzieli, że zostałam porzucona w sylwestra, a na dodatek po Internecie krążyły zdjęcia, na których można sobie wszystko dokładnie obejrzeć.

– Nie wierz we wszystko, co usłyszysz. – Zmuszam się nawet do śmiechu, chociaż brzmi on tak, jakby kanarek dostał się pod kosiarkę. – Bo widzisz, Dan i ja zerwaliśmy ze sobą grubo przed północą. Tak więc on i Lizzie... on i Lizzie Banks mogą sobie robić, co chcą.

– Skarbie! – wykrzykuje Trixie. – Chcesz mi powiedzieć, że Dan skończył z tobą, jeszcze *zanim* zaczął się obściskować z Lizzie Banks?

Dlaczego niezależnie od wersji wydarzeń to zawsze Dan porzuca?



– On niczego nie skończył – protestuję. – To ja skończyłam z nim.  
– Rzuciłaś najseksowniejszego faceta w college’u? – pyta niedowierzająco Trixie.  
– Wiesz, jak to jest. – Staram się, żeby zabrzmiało to jak najpogodniej. – Postanowiłam zrobić krok do przodu.  
– O mój Boże – mówi nagle Trixie. – Wiem dla kogo rzuciłaś Dana!  
– Ja... Dla kogo?  
– Nie drocz się ze mną, skarbie. Tak się *cieszę!* Jesteście dla siebie *stworzeni*.  
Jestem skołowana.  
– Nie rzuciłam Dana dla nikogo – tłumaczę. – Czy nie można po prostu cieszyć się życiem singielki?  
– Przyznajecie się do wszystkiego czy trzymacie to w sekrecie?  
Ta rozmowa całkowicie wymknęła mi się spod kontroli.  
– Wydaje mi się, że wszyscy już i tak dowiedzieli się z Instagrama.  
– Ja nie mówię o tobie i Danie, tylko o tobie i Solu.  
– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Trixie.  
– Od września jesteście nierozłączni. Wszyscy to zauważyli.  
A więc to o niego jej chodziło?!  
– TO NIE TAK! – mówię głośno. – Sol mi się nie podoba! Oszalałaś?! – Nie pozwolę, żeby Trixie Logan puściła w obieg coś takiego. Nasza przyjaźń z Solem byłaby wtedy zagrożona jak jakiś gatunek żaby z lasu deszczowego.  
– No tak – mówi Trixie, cmokając z niezadowoleniem. – Oczywiście. Zapomniałam, że on jest gejem.  
– Wcale nie.  
– Mieszka z dwoma facetami, Hanno. Jeśli to nie jest prosta droga do tego, żeby zostać gejem, to już sama nie wiem, co nią jest.  
– Cześć – odzywa się Sol.  
Trixie wydaje z siebie cichy okrzyk, a ja prawie wypuszczam telefon z ręki.  
– Chyba nacisnęłaś zły guzik, Hanno – mówi Sol.

29 stycznia

Powiedz albo nie przychodzę.

Nie mogłam się zdecydować, ale ostatecznie wybrałam... *Śniadanie u Tiffany'ego*. Kręcą mnie klimaty a'la Audrey Hepburn. Nawet kupiłam książkę!!!

Dobry wybór, chociaż książka różni się od filmu.

Ale kończy się szczęśliwie...?

Audrey Hepburn zachodzi w ciążę, jedzie do Brazylii i ostatecznie rozstaje się z George'em Peppardem.

OMG, w takim razie nie czytam

\* \* \*

ŚNIADANIE U TIFFANY'EGO (1961)

Reżyseria: Blake Edwards

Scenariusz: George Axelrod na podstawie opowiadania Trumana Capote'a

Holly Golightly (Audrey Hepburn) mieszka sama w prawie pustym mieszkaniu w Nowym Jorku. Większość czasu spędza na kosztownych randkach i eleganckich przyjęciach z zamożnymi mężczyznami; planuje wyjść za mąż dla pieniędzy. Życie Holly wywraca się do góry nogami, gdy poznaje swojego sąsiada, aspirującego pisarza Paula Varjaka (w tej roli George Peppard).

Film zdobył dwa Oscary: za najlepszą muzykę dla Henry'ego Manciniego i najlepszą piosenkę dla Johnny'ego Mercera<sup>3</sup> za szlagier *Moon River*.

31 stycznia

Sol

W ciągu ostatniej pół godziny zmieniłem koszulę aż trzy razy.

– To nie jest randka – tłumaczę swojemu odbiciu w lustrze. – Hanna nie jest dość *szalona*, żebyś się jej spodobał. Hanna nie jest aż tak *szalona*. Nie zapominaj o tym. I sam też nie *szalej*.

Wracam do pokoju, zrywam z siebie koszulę numer cztery i decyduję się na czarny podkoszulek. Dzinsy rurki, converse'y i gotowe. Nie ma sensu się bardziej starać. Moje nerwy tego nie udźwigną.

Schodzę na dół, otwieram lodówkę i kładę rozpaloną twarz na najwyższej półce, tuż obok masła. Muszę się uspokoić. Hanna spodziewa się swojego najlepszego przyjaciela, a nie sapiącego jak lokomotywa dziwaka.

– Jakoś nigdy nie miałem apetytu przed randką – odzywa się Andrew znad laptopa, jak zwykle rozłożonego na kuchennym stole. – Coś ty zrobił z włosami?

– Ufarbowałem je – mamrocze w stronę masła.

– Celowo?

– Farbowanie włosów to nie to samo co upranie pary czerwonych spodni z białymi rzeczami, Andrew. Nie żebym wytykał palcami – włącza się do rozmowy Gareth. – Oczywiście, że celowo. Moim zdaniem wyglądają *świetnie* – dodaje z nadmiernym entuzjazmem.

Wysuwam głowę z lodówki.

– Są tylko trochę ciemniejsze niż przedtem, okej? To nic wielkiego.

– Dzięki temu twoje oczy wydają się większe – stwierdza Andrew. – Nie miałem pojęcia, że farbowanie włosów daje taki rezultat.

Gareth uważniej mi się przygląda.

– Czyżbyś pożyczył od Andrew eyeliner dla facetów?

– Jakie to słodkie! – cieszy się Andrew.

Nawet obojętność Hanny jest lepsza niż to.

– Nie użyłem eyelinera – protestuję.

Tak naprawdę to go użyłem. Dotarło do mnie, że jeśli chcę mieć u Hanny jakieś szanse, muszę na nowo przemyśleć swój wizerunek. Już zaczynam żałować, że ufarbowałem włosy, bo kolor zmyje się z nich najwcześniej za tydzień. Wyjmuję głowę z lodówki i rozglądam się wokół, sprawdzając, czy moim kończynom i życiu nic nie grozi.

– Gdzie jest Nigel?

– Połuje w łazience na pająki. – Andrew przewija coś na ekranie laptopa. – Myślicie, że kaganiec dla kotów byłby sposobem na te jego wybuchy złości?

– Prędeż sterylizacja. – Zdejmuję płaszcz z wieszaka i rzucam szybkie spojrzenie w lustro. Oczy są w porządku, ale włosy to prawdziwa katastrofa. Chwytam jedną z czapek Andrew i naciągam ją sobie na głowę. Będzie tam musiała zostać przez cały wieczór.

– Bądź grzeczny – odzywa się Gareth.

– Albo chociaż zabawny jak Russell Brand – wtrąca Andrew.

Zamykam drzwi, słysząc dochodzący zza nich rechot, stawiam kołnierz płaszcza i robię głęboki wdech. Kiedy wreszcie przestaję się pocić, ruszam w drogę.

Hanna, o dziwo, nadal jest singielką. Dan Dukas nosi Lizzie Banks jak poncho już od czterech tygodni, ale to nie powstrzymuje Hanny przed snuciem się po college'u jak usychająca z miłości owieczka i wypłakiwaniem się na moim ramieniu na większości przerw. Kilku facetów próbowało się z nią umówić, ale dała im kosza. Wiem o tym, ponieważ byłem świadkiem, jak do niej podchodzili. Miło wiedzieć, że nikt nie widzi we mnie nawet potencjalnego zagrożenia.

Zerkam na swoje odbicie w mijanym oknie. Przez tę czapkę wyglądam jak snowboardzista. I dobrze. Chociaż snowboardziści raczej nie używają eyelinera dla facetów. Czyżbym wysyłał sprzeczne sygnały? Żałuję, że nie mam siostry. Albo matki. Zdarzają się w życiu takie chwile – na przykład dziś –

kiedy przydałaby mi się damska opinia.

*Ona nigdy się w tobie nie zakocha*, upominam się w myślach, starając się przynajmniej iść krokiem snowboardzisty. Chodzi tylko o wspólne oglądanie filmu, jasne? Cholernego, głupiego filmu.

Hanna otwiera mi drzwi ubrana w małą czarną i z grubym sznurem pereł wokół szyi, jeszcze zanim naciskam dzwonek. Nawet włosy ma uczesane w wielki kok w stylu Holly Golightly.

– Ty też się przebrałeś! – piszczy, tuląc się do mnie. – Wyglądasz *super!* Chociaż strój bitnika bardziej pasowałby do filmu *Zabawna buzia*, nie sądzisz?

– To ten sam okres – mówię, z trudem formułując zdanie. Hanna pachnie dokładnie tak, jak powinna pachnieć miłość. Będę musiał coś zrobić z tym uzależnieniem, bo wcześniej czy później mnie ono *zabije*. – Poza tym tam też gra Audrey Hepburn, więc pomyślałem sobie... czemu nie. Bitnik.

Bitnik. Snowboardzista. Jeden pies.

Hanna bierze mnie za rękę i ciągnie do środka. Jej idealne zęby lśnią w mdłym oświetleniu korytarza, a ona już o czymś trajkuje. Brat Hanny, Raz, stoi w kuchennych drzwiach i przygląda mi się z rozbawieniem. W rękę trzyma jakąś opasłą rosyjską książkę.

– Jak leci, kapitanie Sparrow? – pyta.

– To przecież bohater *Piratów z Karaibów*, ty idioto – fuka na niego Hanna, ciągnąc mnie po schodach do pokoju telewizyjnego.

– Widzimy się później, Solżenicynie! – woła za nami Raz, szczerząc zęby w uśmiechu.

Na stole stoi miseczka chrupek, kieliszki do szampana i lemoniada. Światła są przyciemnione. Na telewizorze leży pluszowy rudy kot.

– Należy do Linusa – wyjaśnia Hanna, bierze maskotkę do ręki i rzuca we mnie. – Pomyślałam, że powinniśmy go mieć, skoro w filmie występuje kot. Nie zdejmiesz czapki? Jest fajna, ale skoro siedzimy w domu, chyba nie będzie ci potrzebna.

– Ekhm – chrząkam. – Właściwie to nie planowałem...

Hanna ujmuje czapkę końcami pomalowanych paznokci i ściąga mi ją z głowy, zanim zdążę zaprotestować.

– Co myślisz? – pytam nerwowo, kiedy przygląda mi się z otwartą buzią.

– Sama nie wiem – odpowiada w końcu. – Wyglądasz... zupełnie jak nie ty.

To chyba dobrze? Przecież Hanna musiałaby być *szalona*, żeby spodobał jej się ktoś taki jak ja? Nie mogąc znieść jej taksującego spojrzenia, biorę od niej czapkę i wciskam sobie z powrotem na głowę.

– Tak lepiej?

Klepie mnie po rękę, jakbym był psem.

– Skup się, najbardziej lubię pierwszą scenę.

Nie mogę się rozluźnić, kiedy się o mnie opiera. Czuję rozlewający się po połowie mojego ciała gorąc. Lada chwila znowu zacznę się pocić. Patrzę sztywno w ekran, na ubraną w długą czarną suknię Audrey Hepburn wysiadającą z obskurnej żółtej taksówki na pustą nowojorską ulicę, jedzącą ciastko i pijącą kawę na wynos. Biżuteria, którą ma na sobie, wydaje się zbyt ciężka, jakby mogła złamać jej łabędzią szyję. Hanna jeszcze mocniej się do mnie przytula. Jej włosy wyglądają jak utkane ze złota.

– Nie wiedziałem, że w latach sześćdziesiątych mieli kawę na wynos. Wydawało mi się, że to wynalazek lat dziewięćdziesiątych – wyrzucam z siebie.

– Zawsze byłam ciekawa, jak Audrey układała sobie włosy – mówi Hanna. – Ja mam pod swoimi ocieplacz na imbryk wypchany skarpetkami.

Dotykam jej koka.

– Skarpetkami Linusa. Są naprawdę malutkie – wyjaśnia. – Założyłam sobie na głowę wypchany ocieplacz na imbryk i owinęłam go włosami. Dzięki temu kok jest taki wysoki, jak na filmie. Nie uwierzyłybyś, ilu użyłam wsuwek.

Zaczynam się śmiać. Właściwie gulgotać. A później już normalnie się śmiać, bo gulgotanie brzmi idiotycznie.

– Przepraszam – udaje mi się z siebie wydusić. – Po prostu... ocieplacz na imbryk wypchany skarpetkami?

Nie powinienem płakać, bo rozmaże mi się eyeliner. Wiem o tym, ponieważ setki razy widziałem, jak rozmazuje się Hannie.

– Nie śmieję się tak – ostrzega mnie Hanna i sama zaczyna się gotować. – Nie rób tego, Sol. Wiesz, że nie umiem się wtedy...

Oboje zwijamy się ze śmiechu na podłodze przed telewizorem, jeszcze zanim Holly Golightly wbiegnie po schodach do swojego mieszkania w nowojorskiej kamienicy, nagabywana przez oślizgłego grubasa. Jestem wdzięczny opatrności. Znowu czuję się dobrze.

A przynajmniej trochę lepiej.

## Hanna

Z ciemniejszymi włosami Sol wygląda zupełnie inaczej. Cieszę się, że założył z powrotem czapkę. Zrobił też coś z oczami, żeby upodobnić się do bitnika. Nie pomyślałabym, że tak bardzo lubi przebieranki. Ciekawe, za kogo przebierze się następnym razem.

– Wiedziałeś, że koleś, który napisał tę książkę, chciał obsadzić w roli Holly Golightly Marilyn Monroe? – pytam, jedząc chrupki.

– Zbyt okrągła – stwierdza Sol.

– Co jest złego w krągłościach?

– Absolutnie nic, tylko że... Holly Golightly nie powinna być okrągła. To wszystko.

– Ty po prostu identyfikujesz bohaterkę z Audrey Hepburn – oświadczam dostojnie.

Chrupimy jeszcze przez chwilę i wypijamy lemoniadę, zanim całkiem uciekną z niej bąbelki. Jestem tak zrelaksowana, że z gardła wyrывa mi się beknienie.

– Uwielbiam zapach na wpół strawionych chrupiek o zmierzchu – mówi Sol, wachlując się ręką.

Docieramy do sceny przyjęcia. Przez cały weekend wyszukiwałam ciekawostki dotyczące filmu, więc szczegółowo wyjaśniam Solowi, że tę scenę nakręcono podczas prawdziwego przyjęcia, z szampanem i tak dalej. Reżyser kazał wszystkim improwizować.

– Ta ekipa mogłaby spokojnie konkurować z Trixie i resztą naszych cwaniar – stwierdza Sol, patrząc jak nowojorska śmietanka śmieje się i mizdrzy do kamery.

– Trixie nie jest cwaniarą – mówię. – Nie jest na to dość inteligentna.

Sol unosi pytająco brwi.

– Nie mówię tego złośliwie – czerwienię się. – Trixie jest w porządku.

– Poza jej poglądami na to, że homoseksualizm jest zaraźliwy?

– Nie miała nic złego na myśli – tłumaczę. – Po prostu nie jest zbyt mądra.

– Nie rozumiem, jak mogliście się przyjaźnić w szkole.

– Właściwie się nie przyjaźniłyśmy. Trixie trzymała się głównie z paczką dziewczyn, które poszły do prywatnego college'u za miastem. Nie poznałbyś jej wtedy. Miała mysie włosy i nie zdążyła jeszcze odkryć sztucznej opalenizny.

Chaos na ekranie kojarzy mi się z imprezą sylwestrową u Dana.

– Dan nie rzuciłby Holly Golightly dla Lizzie Banks – mówię. – Chociaż to nie było klasyczne porzucenie – dodaję szybko. – Bardziej *kradzież*. Wszyscy wiedzą, że Lizzie Banks to modliszka.

– Ja nie wiedziałem – stwierdza Sol. – Praktycznie jej nie znam.

Nie mam teraz ochoty myśleć o Lizzie.

– Zamknij się i oglądaj film – mówię.

Kiedy tak sobie siedzimy we dwoje, ból po rozstaniu z Danem wydaje się jakby trochę mniejszy. Byłoby miło, gdybyśmy mogli zaciągnąć zasłony i zatrzymać zegary jak w tym wierszu z *Czterech wesel i pogrzebu*<sup>4</sup>; zostać tu na zawsze, w tych strojach, jeść chrupki i pić lemoniadę z kieliszków do szampana mojej mamy.

– Wiesz, że nigdy tego nie zrobiliśmy? – mówię do Sola w nagłym przypiływie śmiałości. – Ja i Dan. Robiliśmy różne rzeczy, ale nigdy... nie poszliśmy na całość.

Sol się krzywi.

– Sama nie wiem dlaczego, przecież jestem totalnie wkręcona w Dana – kontynuuję. – Może po prostu wydawało mi się, że mamy na to mnóstwo czasu. Pewnie dlatego Dan spiknął się z Lizzie Banks. Czy wiesz, że Trixie przyłapała ją latem z moim przedostatnim chłopakiem?

– Steviem?

Kładę głowę z powrotem na kanapie. Ostrożnie. Nie chcę, żeby konstrukcja z ocieplacza do imbryka się zawałiła.

– Jake'em Molino. Tego lata przed twoim powrotem. Stevie był moim ostatnim chłopakiem, a Jake przedostatnim.

– Wydawało mi się, że Dan był twoim ostatnim chłopakiem.

Sięgam po kilka chrupek.

– Dan to jeszcze nie przeszłość.

– Czy istnieje jakiś facet z naszego rocznika, z którym *nie* chodziłaś?

Robię obrażoną minę.

– Wiem, że to kiepsko brzmi, ale tak się po prostu robiło. Nie mów mi, że sam nie wymieniałeś się śliną z co ładniejszymi koleżankami z Kalifornii.

Ależ ten film jest dobry. Niesamowicie, że nakręcili go ponad pięćdziesiąt lat temu. Nie odzywam się, aż dochodzimy do sceny, w której Holly i Paul postanawiają spędzić dzień, robiąc rzeczy, których nigdy wcześniej nie próbowali. W tym momencie prostuję się i całkowicie koncentruję na filmie, chyba po raz pierwszy tego wieczoru.

– Wiedziałam, że Audrey Hepburn będzie znała odpowiedź! – mówię triumfująco. – Musimy zrobić kilka rzeczy, których do tej pory nie spróbowaliśmy, Sol. Tak jak w filmie.

Sol wciąż ma tę skrzywioną minę, nie zmienił jej od momentu, gdy zaczęłam mówić o sobie, Danie i seksie.

– Hanno...

– Byłam zbyt bierna w całej tej sytuacji z Danem – ciągnę. – Nic się samo nie zmieni. Trzeba działać. – Dla podkreślenia tych słów, dźgam Solę w brzuch. Moje palce sprężynują, jakby uderzyły w trampolinę. – Mogłabym odzyskać Dana, a ty... tę swoją. Zakładając, że nadal ci zależy...?

– Mmm – mruczy.

Odkąd Sol zastrzelił mnie w Nowy Rok informacją o swojej byłej dziewczynie, usiłuję wyciągnąć z niego jakieś szczegóły, ale jeszcze ani razu nie zdołałam go podejść. To naprawdę frustrujące. Biorę go za rękę i głęboko patrzę mu w oczy. Tego wieczoru mają kolor mchu, nie wody w stawie. To pewnie przez eyeliner.

– Wychodzimy – mówię. – Jak tylko skończy się film. W tych strojach. I zrobimy coś, czego jeszcze nigdy nie próbowaliśmy. To nie musi być nic wielkiego. Chodzi o samą ideę. No wiesz, zanim zrobimy coś, co rzeczywiście odmieni nasze życie. Jeśli odmówisz, to jesteś tchórz.



## Sol

W ten właśnie sposób wylądowałem w alejce ze słodyczami w supermarkecie o wpół do dziewiątej wieczorem z dwiema krówkami wciśniętymi do nosa.

Hanna wystawia głowę zza rogu, zaglądając do głównej alejki.

– Ktoś tu idzie. Rzucam ci wyzwanie: nie możesz wyjąć palców z nosa, dopóki ci ludzie nie przejdą.

W jakiś pokręcony sposób podoba mi się to, co robimy. Wcześniej zonglowaliśmy ogórkami w dziale warzywnym i obrzucaliśmy się paczkami z serem. Hanna schowała do kieszeni trzy druciaki, a ja mam egzemplarz pisemka „Men’s World” zatknięty za pasek spodni. Jeśli moja pewność siebie nadal będzie rosła w tak oszałamiającym tempie, niedługo sam rzucę Hannie wyzwanie. Jeśli wierzyć Lucy Shapiro, całowanie wychodzi mi nie najgorzej.

– Widzę dwie osoby – relacjonuje podekscytowana Hanna. – Nie wiem tylko, czy...

Urywa w pół zdania.

– Co się stało? – pytam, usiłując powstrzymać kichnięcie.

– To Dan – odpowiada dziwnym głosem.

Wyciągam z nosa palce umazane masą karmelową.

– Jest sam?

Hanna kręci głową.

– Z Lizzie?

Znowu nią kręci. Wysuwamy głowy zza regału jak statyści w *Mission: Impossible*.

Dan Dukas ma na głowie czapkę podobną do mojej, tyle tylko, że on w swojej wygląda dobrze. Ma błyszczące ciemne włosy, kilka pukli opada mu na ramiona, a jego grube czarne rzęsy widzę nawet z tej odległości. W ręku trzyma kolorowy magazyn z motocyklami terenowymi na okładce. Czuję „Men’s World” w spodniach i oblewa mnie zimny pot na myśl o tym, jak niewiele brakowało, żebyśmy wpadli na siebie w dziale z prasą. Widząc, jaki jest męski, uświadamiam sobie, że sam jestem tylko kościstym rudym leszczem, który prędzej wygra na loterii, niż pocałuje jego byłą dziewczynę. Całe szczęście, że przypomniałem sobie, jaką zajmuję pozycję w hierarchii, zanim spróbowałem czegoś tak głupiego.

Zgodnie z tym, co powiedziała Hanna, towarzyszką Dana nie jest Lizzie Banks: ciemnowłosa, blada i wysoka. Ta dziewczyna jest bardziej filigranowa, ma skórę w kolorze rozpuszczonego karmelu i długie ciemne włosy zaplecione w przerzucony przez ramię gruby warkocz. Wpatruje się w Dana wielkimi, pełnymi niedowierzania brązowymi oczami, kiedy ten zaplata sobie jej warkocz wokół szerokiego nadgarstka i głaszcze ją kciukiem po policzku.

– Zaraz puszcze pawia – mówi Hanna.

Sprawdzam, jakie założyłem dziś buty.

– Nie będziesz wymiotować – instruuję ją. – Wyjdziemy stąd, nie oglądając się za siebie.

– Muszę z nim porozmawiać. Obiecaliśmy sobie, że tego wieczoru nie cofniemy się przed ryzykiem. To jest... to jest moja szansa, żeby je podjąć.

– Mówiłaś, że zaczniemy od czegoś małego – przypominam. – Że nie będziemy robić czegoś, co mogłoby odmienić nasze życie.

Hanna blednie, ale nadal wygląda na potwornie zdeterminowaną.

– Wiem, co mówiłam.

Zonglowanie ogórkami to jedno. Rozmowa z obiektem pożądania to coś zupełnie innego. Czuję, jak odzywa się we mnie głos buntu: *Hanna jest dzisiaj moja, ty przylizany palancie*.

– Nie możesz z nim porozmawiać – mówię stanowczo.

Hanna rusza w stronę głównej alejki. Nie może się im pokazać w tej czarnej sukni, jeszcze by przypomniała temu palantowi Danowi, jaka jest cudowna.

– Nie rób tego – mówię trochę głośniejszym głosem.

– Muszę – odpowiada Hanna.

– Nie możesz, przecież on jest z *nią*! – syczę.

Hanna zatrzymuje się w pół kroku i patrzy na mnie z taką miną, jakbym powiedział coś wstrząsającego. Nie jestem tylko pewien co.

– O mój Boże – mówi.

– Co?

Podchodzi do mnie, najwyraźniej zapominając o Danie.

– Sol, tak mi przykro. – Kładzie mi ręce na ramionach, a jej wielkie błękitne oczy przepelnia troska. – Wiem, że to dla ciebie trudne, bo tak bardzo chronisz swoją prywatność i w ogóle, ale chcę, abyś wiedział, że totalnie cię wspieram.

– Dobra – odpowiadam niepewnie.

– To twoja była dziewczyna, prawda? Z Danem? Widzę to po twojej twarzy.

Hanna stojąca obok mnie i poświęcająca mi całą swoją uwagę to coś lepszego niż Hanna podchodząca do Dana Dukasa. Dużo lepszego. Stres powoli ze mnie ulatuje.

– Mmm – mruczę niezrozumiale.

Hanna zamyka oczy, a gdy je otwiera, nie jestem tak do końca pewien, czy podoba mi się to, co w nich dostrzegam.

– To niesamowite, Sol. Nie rozumiesz? Ja *znam* Carmen! Chodziłyśmy razem do szkoły. Poszła do tego prywatnego college’u, o którym ci wspominałam, tego pod miastem. Nie widziałyśmy się całe wieki. O mój BOŻE! Spotykałeś się z Carmen? Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś? Dlaczego nie poszliśmy na podwójną randkę: Carmen, Dan, ty i ja? Ty idioto!

Zupełnie tego nie przemyślałem. Mieszkamy w małym mieście, gdzie wszyscy wszystkich znają. Wyjechałem na cztery lata. Cztery długie, potwornie głupie lata. To oczywiste, że Hanna ją zna. Co też mi przyszło do głowy?

– Możemy już iść? – pytam, usiłując odzyskać panowanie nad sobą.

– Ale Dan i Carmen razem? – ciągnie Hanna. – Mój BOŻE, nie mogę uwierzyć, że z nią chodziłeś! Kto wie, jak to się mogło skończyć... Sol, nie mieści mi się to w głowie!

Dan Dukas jest teraz tak blisko nas, że słyszę jego głos. W tym momencie jest mi się łatwiej skupić na jego rozmowie niż na własnej. Okazuje się ona niewiarygodnie nudna.

– ...kupiłem sobie gaźnik. Potrzebowałem nowego gaźnika do motocykla, bo totalnie rozwalilem sobie stary, jeżdżąc po lesie. Wspominałem o tym, że jeżdżę na motocyklu prawie w każdy weekend? Nieźle mi idzie. Musisz przyjść i na mnie popatrzeć, będzie fajnie.

Głos Carmen okazuje się cichy i nieśmiały w porównaniu z głośnym i pewnym siebie głosem Dana.

– Z chęcią.

Dan śmieje się chrapliwie.

– No myślę.

Mam okropne przecucie, że się teraz całują, niespełna dwa metry od naszej alejki. Mamy jakieś dziesięć sekund, żeby uciec ze sklepu.

– Proszę, Hanno! – Padłbym na kolana, ale to tylko spowolniłoby naszą ucieczkę.

Hanna wzdycha.

– Oboje przeżyliśmy szok, więc wracamy do mnie. – Wysuwa do przodu brodę. – Ale to jeszcze nie koniec.

Kiedy Dan i moja „była dziewczyna” docierają do alejki ze słodyczami, jedynymi śladami naszej bytności są dwie krówki, zmiętoszony magazyn i trzy druciaki do garnków wirujące delikatnie na podłogowych płytkach.

7 lutego

Hanna

Nadal dochodzę do siebie po tym, czego dowiedziałam się o Solu i Carmen. Tak, właśnie Carmen!

Carmen jest urocza. Pomogła mi kiedyś w szkolnej toalecie, kiedy popsuł mi się lakier do włosów i niechcący psiknęłam sobie nim po oczach. Nie myślałam o niej od wieków.

Wiecie, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze? Wyobrażanie sobie mojego najlepszego przyjaciela całującego się z Carmen, podczas gdy rozmawiam z nim przez telefon. Naprawdę nie staram się tego robić, ten obraz po prostu tkwi w mojej głowie i nie daje mi spokoju.

Sol zachowuje się tak jak zawsze. Nie chce puścić farby, niezależnie od sposobu, w jaki próbuję go podejść. Przysięgam, że w jego żyłach płyną maleńkie kłódki zamiast krwi. Nigdy w życiu nie powiedziałby mi o Carmen, gdybym sama wszystkiego się nie domyśliła. Jestem tego pewna. Ten chłopak podniósł tajemniczość do rangi sztuki.

– Mam plan, który powinien się opłacić nam obojemu. Jest on związany z ukulele Linusa i garażem Dana. Właściwie powinna to być gitara, ale Linus nie ma gitary.

– Hanno, proszę, nie rób tego.

Staram się wyrzucić obraz Sola delikatnie całującego Carmen – po prostu wiem, że byłby to delikatny pocałunek – ze swojej głowy.

– To nic takiego – mówię, poprawiając telefon. Zbliżam się do domu Dana z przewieszonym przez ramię ukulele. – Piosenka nie jest trudna, a na ukulele gra się o wiele łatwiej niż na gitarze. Ćwiczyłam przez cały tydzień i wychodzi mi naprawdę nieźle. Nagrałam się nawet na telefon, żeby sprawdzić, czy nie mylę akordów. Wiesz, że prawie wycięli tę scenę z filmu? Audrey powiedziała jednak „po moim trupie”, więc musieli ustąpić.

– Już do ciebie idę.

– Nie ma takiej potrzeby. Zresztą i tak jestem już u Dana. Trzymaj za mnie kciuki. Jeszcze dziś wieczorem Carmen znowu będzie singielką. Oboje na tym skorzystamy.

Wsuwam telefon do kieszeni i wpatruję się w dom Dana, jego wielkie panoramiczne okna i otwarte podwójne drzwi do garażu, przez które widać porsche cabrio, motocykl Dana i spersonalizowanego range rovera evoque należącego do pani Dukas. Wszystkie pojazdy są doskonale oświetlone, by cała ulica mogła je podziwiać. Odkąd znam Dana, ani razu nie widziałam, żeby drzwi do ich garażu były zamknięte. Rodzina Dukasów traktuje go chyba bardziej jak salon wystawowy niż garaż.

Dan wykorzystywał to pomieszczenie do czegoś innego – nocą wykradał się przez okno swojej sypialni, przechodził przez dach garażu i schodził po drzewie. Zawsze obiecywał, że pokaże mi, jak to się robi. Ale skoro już tu jestem, sama to rozpracuję.

Podchodzę do nieoświetlonej ściany garażu i zastanawiam się, jak wleźć na górę. Jeśli uda mi się wspiąć na ścianę, powinnam dosięgnąć najniższej gałęzi drzewa. Schylam się, żeby porządnie zawiązać adidas, przrzucam ukulele na plecy i zaczynam się wdrapywać. Okazuje się to trudniejsze, niż myślałam, i obcieram sobie piszczel.

Ponownie zerkam na drzewo. Noga pulsuje mi z bólu. Gdybym podskoczyła i chwyciła konar, może udałoby mi się wciągnąć bez pomocy ściany. Tak chyba będzie lepiej.

Wybijam się w górę i łapię gałąź, a ta łamie mi się w dłoni. Lecę do tyłu, obcierając sobie przy okazji drugi piszczel. Upadam z hukiem na ziemię, prawie lądując na ukulele.

Po raz pierwszy zaczynam się zastanawiać, co ja tu właściwie robię. Aktywnie staram się odzyskać Dana, to na pewno. Jeszcze nigdy nikomu nie śpiewałam serenady przy akompaniamencie ukulele, zasługuję na pochwałę od Holly Golightly. Chociaż może się to zakończyć spektakularnym fiaskiem. Od Walentynek jednak dzieli mnie zaledwie tydzień, a to jest najlepszy sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę Dana. Nigdy jeszcze nie byłam singielką w Walentynki, przynajmniej nie odkąd to święto zaczęło się dla mnie liczyć. Nie zamierzam sprawdzać, jak to jest. Poza tym, jeśli odzyskam Dana,

Sol będzie mógł znowu delikatnie całować Carmen.

Oceniam stan swoich krwawiących puszczeli i dźwigam się z ziemi.

– Wiesz, że mogą cię oskarżyć o wtargnięcie na teren prywatny? Nie mówiąc o tym, że gdybyś jakoś się dostała na dach garażu, mogłabyś z niego spaść i złamać sobie kark.

Sol dyszy i sapie jak lokomotywa. Stoi przy bramie Dana zgięty w pół, z rękami opartymi na kolanach. Najwyraźniej pokonał całą drogę biegiem.

– Dzięki Bogu, że to ty – mówię.

Prostuje się, przykładając jedną z dłoni do żeber.

– Cieszysz się, że tu jestem? – pyta zziębnięty, jakby nie do końca mi wierzył.

– Musisz mnie podsadzić. Nie sądziłam, że tak trudno będzie się wdrapać na to drzewo.

– Han...

Kładę ręce na biodrach.

– Wiesz, że robię to również dla ciebie. Ja dostaję Dana, ty Carmen, o ile nadal ją chcesz, ale sądząc po tym, jaka jest śliczna, zakładam, że tak. Będziemy mieli z kim spędzić Walentynki. To już za niespełna tydzień.

– I co z tego?

Ależ z niego... *chłopak*. Czy nie rozumie, jakie to ważne? Potrafię sobie wyobrazić, co powiedziałyby Vashti, Laura i Trixie, gdybym była sama w ten najważniejszy dzień w roku.

– W porządku – mówię. – Poradzę sobie bez ciebie.

Przypuszczam kolejny atak na drzewo. Tym razem udaje mi się chwycić za grubszy konar. Huśtam się i triumfalnie zaczepiam stopami o gałęzie. W tym momencie rozlega się głuchy łomot i dźwięk pękającego drewna. Nagle jest mi dużo lżej.

– Upuściłaś ukulele – informuje mnie z dołu Sol.

Ze swojego miejsca na drzewie przyglądam się leżącemu na podjeździe Dana zniszczonemu instrumentowi. Mam nadzieję, że Linus za nim nie przepadał.

– Nieważne – stwierdzam heroicznie. – Skorzystam z nagrania na komórce. Może to i lepiej, bo, o dziwo, udało mi się wtedy zagrać bez ani jednej pomyłki. Przynajmniej ta część planu wypali.

Sol drepcze pod drzewem, mamrocząc pod nosem zaklęcia jak jakiś druid, kiedy wspinam się w górę garażu i wreszcie ląduję na pokrytym papą dachu. Okno w sypialni Dana jest zamknięte, ale pali się światło. Czuję, jak przewraca mi się w żołądku.

– Jeszcze możesz zmienić zdanie! – przypomina mi Sol.

– Po moim trupie! – powtarzam słowa Audrey.

– Obyś nie wykrakała!

Zza okna sypialni Dana dobiegają mnie dźwięki głośnej muzyki. Zastanawiam się, czy nagranie *Moon River* z akompaniamentem na ukulele przebije się przez te dudniące basy. Ale skoro już tu jestem, mogę to sprawdzić.

Robię krok w stronę środkowej części dachu i nagle czuję, jak coś rozrywa się i pęka pod moimi stopami. Nie mam nawet szansy włączyć odtwarzania, wlatuję do garażu, odbijam się od dachu porsche pana Dukasa, ślizgam na wszystkie strony i w końcu wpadam na motocykl Dana. Rozlega się potworny szcęk metalu, gdy motor wjeżdża prosto w bok range rovera pani Dukas i ryje wielką bruzdę w kładzionym na zamówienie lakierze. Ogrom szkód wydaje się imponujący, a jazgot samochodowych alarmów – ogłuszający.

Leżę na podłodze garażu tak zszokowana i przerażona, że przez chwilę wydaje mi się, że umarłam.

Sol wbiega przez otwarte drzwi.

– Auć – jęczę cichutko i bez tchu, spoglądając na swoje zakrwawione dłonie.

– Han, spójrz na mnie. Nic ci nie jest? Coś sobie złamałaś? Bogu dzięki, że porsche miało miękki dach. Dasz radę wstać?

Chwiejnie się podnoszę.

– Bołą mnie ręce.

Sol delikatnie ujmuje je we własne dłonie.

– Nazwanie cię głupią byłoby obrażą dla głupich ludzi – mówi, holując mnie w stronę otwartych drzwi garażu.

– *Rybka zwana Wandą* – mówię przez łyzy, kuśtykając za nim. Teraz zaczyna mnie już boleć całe ciało. – Sol, nie mogę biec tak szybko.

– Skoro rozpoznajesz cytaty z filmów, to możesz też biec.

Alarmy w samochodach nadal wyją. O dziwo, nikt jeszcze nie wybiegł z domu, żeby na nas nawrzeszczeć. Nie widać policyjnych radiowozów ani ujadających psów. Nikt nawet nie zerka przez firankę. Sąsiedzi z Imperial Avenue najwyraźniej nie lubią wtykać nosa w cudze sprawy.

– Zwolnijmy – błagam Sola, który nadal wlecze mnie za sobą.

Mogłabym puścić jego rękę. Podjęcie tego rodzaju decyzji przekracza jednak w tym momencie moje możliwości, poza tym nie jestem pewna, czy w ogóle panuję nad swoimi rękami. Biegniemy więc dalej. Chyba jednak nie umarłam i nawet niczego sobie nie złamałam. W całej tej akcji ucierpiała wyłącznie moja duma, dłonie i ukulele Linusa. To by było na tyle.

Sol wpycha mnie do swojego domu i praktycznie wnosi do kuchni. Sadza na krześle i sięga do wiszącej obok zlewu apteczki. Jego rodzice podnoszą zdumiony wzrok znad talerzy – właśnie jedzą kolację.

– Dobry wieczór? – odzywa się Andrew, zatrzymując widelec w połowie drogi do ust.

## Sol

Widzę, że Hanna cierpi, a mimo to nie potrafię się przestać zastanawiać, co by się stało, gdyby Carmen akurat była u Dana, a ja musiałbym się wytłumaczyć z naszego zmyślonego związku. Nie mówiąc już o tym, że Hanna mogła się zabić. Mam ochotę jej zrobić awanturę, ale jak tu na nią wrzeszczeć, kiedy leży na mojej kołdrze załzawiona, skruszona, blada i cała roztrzęsiona przygląda się swoim zabandażowanym dłoniom?

– Naprawdę strasznie mi przykro, że popsułam twoim rodzicom kolację – mówi.

– Myślę, że mieli niezły ubaw. Słuchaj, jest późno, a ty przeżyłaś szok. Zadzwońię do twojej mamy i poproszę, żeby po ciebie przyjechała.

Hanna spogląda na mnie swoimi załzawionymi, wielkimi, niebieskimi oczami.

– A nie mogłabym u ciebie zostać?

Mój umysł wierzga jak podekscytowany koń. Hanna chce zostać? Tutaj? W nocy? Ostatni raz nocowała u mnie, kiedy mieliśmy po jedenaście lat.

– Myślę, że ci się upiekło – mówię głośno. – Chyba nikogo nie było w domu.

Hanna wygląda na zszokowaną.

– Ale w pokoju Dana grała muzyka...

– Nie sądzę, żeby Dan Dukas jakoś szczególnie przejmował się rachunkami za prąd – mówię. – Poza tym nikt nie przybiegł mimo hałasu, prawda?

Hanna znowu przygląda się swoim dłoniom.

– Mogę zostać? Proszę – powtarza, tym razem trochę ciszej. – Mama będzie pytała, co sobie zrobiłam w ręce, a ja nigdy nie umiałam kłamać. O Boże, Dukasowie pewnie stracili przeze mnie tysiące funtów.

– Stać ich na to. – Jakoś nie potrafię im w tej chwili współczuć. – Oczywiście, że możesz zostać.

Zostawiam ją piszącą SMS do mamy, a sam wybiegam z pokoju na poszukiwania dmuchanego materaca. Nie obiecuj sobie zbyt wiele, powtarzam sobie w duchu. Ona właśnie uniknęła poważnych obrażeń, uganijając się za kimś, kto znajduje się w łańcuchu pokarmowym znacznie wyżej niż ty. Twoje ślinienie się na jej widok nie jest jej do niczego potrzebne. Wystarczy, jeśli opatrzysz jej dłonie i porozmawiasz z nią o filmach.

Otwieram kłapę na stryszek i wchodzę po drabinie, pogrążając się w kosmatych myślach o mnie i Hannie samych w mojej sypialni. Wykorzystując moment mojej nieuwagi, Nigel przelatuje obok mnie i znika gdzieś na stryszku.

– Kiedy ostatni raz się tam zaszył – odzywa się Gareth, wchodząc po schodach – potrzebowaliśmy trzech dni, żeby go ściągnąć z powrotem.

Dopiero we trzech dajemy radę wydobyć Nigela z mrocznego stryszku. Udaje nam się tylko dlatego, że wskoczył do śpiwora, w którym ma spać Hanna. Kiedy wreszcie rodzice zamykają go w kuchni, a ja myję zęby tak energicznie, że zaczynają mi krwawić dziąsła, i ściągam wreszcie ze stryszku dmuchany materac – co powinienem był zrobić dwadzieścia minut wcześniej – Hanna jest już nieprzytomna.

Przez jeden okropny moment zastanawiam się, czy nie doznała w garażu jakiegoś niewidocznego urazu głowy i nie umarła mi tu w ciągu tych dwudziestu minut. Bez przerwy słyszy się o podobnych przypadkach. Serce wali mi w piersi, kiedy przyciskam palce do szyi Hanny, żeby sprawdzić jej puls. Trzymam je tam przez kilka sekund dłużej, niż jest to absolutnie konieczne, a później błyskawicznie zabieram, bo to niedopuszczalne, obsesyjne zachowanie.

– Czy to jest ta osoba, o której myślę?

Spoglądam na laptopa i widzę mrugającą do mnie ikonkę FaceTime'a. Frank spogląda z zaciekawieniem przez kamerkę.

– No cóż, nie jest to Lucy Shapiro – mówię. – I nie gadaj tak głośno. Miała ciężki dzień i nie chce jej obudzić.

– Nie mów mi, że zamierzasz jej pozwolić u siebie spać, nie próbując się do niej chociaż odrobinę dobrać – podpuszcza mnie Frank już nieco ciszej.

– Niektórzy z nas są dżentelmenami – odpowiadam, wyłączając komputer.

Pewien artysta sfilmował kiedyś śpiącego Davida Beckhama z myślą o Narodowej Galerii Portretów. Chętnie zrobiłbym to samo, oczywiście nie z Davidem Beckhamem.

Zdejmuję Hannie buty i skarpetki. Nikt nie powinien spać w butach. Później opatulam ją swoją kołdrą, najlepiej jak potrafię, padam na dmuchany materac i wlepiam wzrok w sufit. Zapowiada się długa noc.



## 10 lutego

### Sol

Han i ja widzimy Lizzie Banks wracającą z college'u do domu; ma przygarbione ramiona i zwieszoną głowę.

– Cześć, Lizzie – mówię, kiedy ją mijamy.

Hanna nie mówi nic.

Lizzie idzie dalej ze wzrokiem wbitym w chodnik. Jej długie ciemne włosy, zwykle zasługujące na komplement, są teraz równie pozbawione życia co ich właścicielka. Nadal usiłuję pogodzić to, co mówiła mi o niej Hanna, z moimi własnymi spostrzeżeniami. Faceci ciągle gadają o łatwych dziewczynach z college'u, a o niej nie. Chociaż faktycznie w ostatnim czasie sporo się mówi o Lizzie.

Przechodzimy przez przejazd kolejowy i skręcamy w ulicę, przy której mieszkam. Staram się nie patrzeć na pasażerów stojących na peronach i nie zwracać uwagi na ich historie, które przyciągają mnie do siebie jak magnes; na powłóczących nogami studentów i uczniów kończących swój dzień wśród starszych ludzi wystrojonych na planowany wieczór w mieście. To pewnie jedyny moment, kiedy te dwa światy mają ze sobą styczność.

– Lizzie wyglądała okropnie – stwierdza Hanna.

Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby Hanna, mówiąc o Lizzie, *nie* użyła jej nazwiska. Samiczki alfa z college'u, wszystkie te Trixie i Vashti, robią to, gdy mówią o dziewczynach spoza swojego kręgu. Czy chodzi o to, aby pokazać, kto jest silniejszy? Odróżnić ich od nas? Nigdy mi się to nie podobało i cieszę się, że Hanna w tej chwili tego nie robi.

Bawi się swoimi mitenkami. Nosi je teraz wszędzie, żeby uniknąć pytań o plastry na dłoniach. Widzę, że nad czymś myśli, bo jest zadziwiająco jak na siebie milcząca.

– Wyduś to wreszcie – mówię, kiedy docieramy do furtki.

Hanna otrząsa się z zamyślenia.

– Co takiego?

– To, co cię gryzie.

– Nic mnie nie gryzie.

Otwieram furtkę.

– W porządku. Widzimy się jutro.

– Powinam była coś powiedzieć Lizzie – wyrzuca z siebie Hanna, kiedy podchodzę do drzwi. – Ty jej nie znasz, a mimo to powiedziałeś „cześć”. Ja też powinam. W szkole byliśmy przyjaciółkami. Przynajmniej póki nie ukradła mi chłopaka.

To dla mnie coś nowego. Przez ostatni semestr ani razu nie widziałem, żeby Hanna i Lizzie zamieniły chociaż słowo. Kiedy jednak teraz o tym myślę, Lizzie wydaje mi się znacznie bardziej oczywistą kandydatką na przyjaciółkę dla Hanny niż Trixie. Przede wszystkim ma w głowie więcej niż jedną komórkę mózgową.

– Ty i Lizzie? – powtarzam zdziwiony.

– Szkoła to dawne dzieje – tłumaczy się Hanna. – A czy ty pamiętasz, co robiłeś w czerwcu?

Uciekałem przed jednym z naszych ulubionych rozgrywających po zajęciach z panem Yamauchim. Przez większość lata ganialiśmy z Frankiem po krzakach za naszym liceum; strach Franka przed chowającymi się w zaroślach zaskrońcami bladł w obliczu bezpośredniego zagrożenia bliskim spotkaniem z pięściami Cheta Langdale'a.

– Tak – odpowiadam.

– No widzisz, a ja nie. Szkoła to już dla mnie inny świat.

– Ta szkoła jest pięć minut drogi stąd – mówię. – Skoro ja pamiętam Kalifornię, to ty z pewnością pamiętasz Gordon Lane?

– Zamknij się, Sol! I przestań tak na mnie patrzeć.

– Patrzę na ciebie zupełnie normalnie – bronię się.

– *Patrzysz* na mnie – mamrocze pod nosem. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że mam wyrzuty sumienia, że nie powiedziałam Lizzie „cześć”, i nie życzę sobie być oceniana, a już na pewno nie przez ciebie.

Wchodzę do domu zamyślony. Papierowe figurki czekają na mnie pod chroniącym je pudełkiem, dokładnie tam, gdzie je rano zostawiłem. Ona i on stojący na schodach, które zmajstrowałem z tekturowego pudełka po płatkach śniadaniowych. Przygotowanie papierowego tła też kosztowało mnie sporo pracy. Rozkładam statyw, mocuję na nim telefon i sprawdzam, czy będę w stanie uchwycić całą scenę. Lampka na biurku jest ustawiona pod odpowiednim kątem, papierowy samochód czeka na swój moment. Powtarzam jeszcze raz całą sekwencję, testuję drobne poprawki, które muszę wprowadzić, oceniam grę cieni i obliczam czas. Szesnaście klatek na sekundę. Osiem sekund powinno mi w zupełności wystarczyć. To będzie jakieś sto dwadzieścia zdjęć.

Chyba już wiem, jaki film wybiorę w tym miesiącu.

Warto spróbować.

23 lutego

Nigdy go nie widziałaś???

Nie. A powinnam?

To klasyk z lat osiemdziesiątych. Grają w nim Molly Ringwald, Andrew McCarthy i Jon Cryer.  
Ten sztywniak z *Dwóch i pół?*

Spodoba Ci się.

Myślałam, że wybierzesz *Oświadczyńny po irlandzku* =(

Tę chałę?

Przecież kochasz ten film!!!

Nie Han, to TY go kochasz.

Zamknij się! Znowu się przebieramy?

\* \* \*

DZIEWCZYNA W RÓŻOWEJ SUKIENCIE (1986)

Reżyseria: Howard Deutch

Scenariusz: John Hughes

Andie (Molly Ringwald), dziewczyna z biednej dzielnicy, pracuje w sklepie z płytami, którego właścicielką jest Iona (Annie Potts). Czas wolny spędza ze swoim najlepszym przyjacielem Duckiem (Jon Cryer), który się w niej podkochuje. Gdy bogaty Blane (Andrew McCarthy) zaprasza ją na randkę, Andie nie może uwierzyć własnemu szczęściu. Z biegiem czasu uświadamia sobie jednak, że bycie z kimś pochodzącym z zupełnie innej sfery wcale nie jest łatwe.

Na ścieżkę dźwiękową składa się wiele klasycznych hitów z lat osiemdziesiątych, między innymi *Pretty in Pink* zespołu Psychedelic Furs.

29 lutego

Hanna

– Kogo aresztowali?! – pytam, rysując na powiece wściekle niebieską kreskę.

– Meksykańskiego grajka – powtarza Trixie. – Kojarzysz te meksykańskie kapele występujące w restauracjach w wielkich kapeluszach?

– Mariachi?

– *Meksykańskie*, Hanno, nie japońskie. Powiedziałam Laurze, że widziałam taki zespół w miasteczku, Laura powiedziała Vashti, a ona Danowi – przepraszam, skarbie, wiem, że nadal cierpisz, słysząc jego imię – i zaraz po tym jeden z muzyków *został przesłuchany* przez policję w sprawie włamania do garażu. Boże. *Meksykanie*. Wiesz, że bratu żony ojca Laury skradziono w Meksyku zegarek?

– Trixie, czy to wygląda jak autentyczny look z lat osiemdziesiątych czy tylko jak marna podróba? – pytam, żeby zmienić temat.

Trixie przygląda się moim koronkowym mitenkom, krótkiej kurtce, którą wygrzebałam z samego dna szafy mojej mamy, i plisowanej spódnicy.

– Wygląda jak totalny autentyk – stwierdza. – Czy to strój na przyjęcie u Dana? O rany, znowu mi się wyrwało!

Koncentruję się na poprawianiu rękawiczek.

– Do przyjęcia Dana zostało jeszcze sporo czasu – mówię beztroskim tonem. – Nie wybiegam tak daleko myślami w przeszłość.

Trixie macha ręką; paznokcie ma pomalowane na niebiesko.

– Zostało jeszcze *mnóstwo* czasu, żebyś znalazła sobie faceta, z którym tam pójdziesz. Nie martw się. Byłoby okropnie, gdybyś musiała się zjawić na przyjęciu swojego byłego chłopaka bez pary, ale jestem pewna, że do tego nie dojdzie. Walentynki musiały być dla ciebie koszmarem?

– Właściwie okazały się całkiem fajne – kłamie. – Dostałam czerwoną różę i czekoladki od tajemniczego wielbiciela. – Wydaje mi się, że przysłali je mama i James. Nie zapytałam ich o to, bo wolę myśleć, że dostałam je od Dana.

– Stevie dał mi pluszowego misia – mówi Trixie. – To takie słodkie. Vashti uważa, że kupił go w tym megadrogim sklepie po drugiej stronie miasta.

Nagle budzi się we mnie potrzeba bycia lepszą od niej.

– A ja dostałam samodzielnie zrobiony film. Totalnie anonimowo.

Trixie nagle wygląda na zainteresowaną.

– Coś w rodzaju sekstaśmy?

Myślę o krótkim filmie na telefonie, przysłanym z anonimowego adresu. Osiem sekund magii animacji poklatkowej. Światła małego samochodu przesuwają się po papierowych figurkach, które ustawiono na schodach w taki sposób, że ich cienie najpierw stoją obok siebie, później się ze sobą stykają, jakby się całowały, i znowu się oddalają. Jest mi jednocześnie przyjemnie i dziwnie, że ktoś nakręcił dla mnie ten film. Musiał poświęcić na to mnóstwo czasu. Odtwarzałam go wiele razy, szukając wskazówek. Zwolniony i od końca do początku. Sol zabronił mi go sobie więcej pokazywać i pytać o to, kto jego zdaniem mógł mi go wysłać.

– Z całą pewnością nie jest to sekstaśma – mówię.

Trixie nakłada na paznokcie drugą warstwę lakieru.

– Czekoladki, różę i filmy są słodkie, skarbie – mówi, machając ręką, żeby wysuszyć lakier. – Ale to nie to samo co prawdziwy pocałunek od prawdziwego chłopaka, prawda? Stevie i ja... – Wygląda na zawstydzoną. – W Walentynki sprawy przybrały nieco poważniejszy obrót, jeśli można tak powiedzieć.

Czuję ukłucie zazdrości. Od tygodni z nikim się nie całowałam. Moje usta powoli zapominają, jak to się robi.

– Tylko nic nie mów Vashti – zastrzega Trixie. – Nie chcę mieć takiej reputacji jak Lizzie Banks.

Przynajmniej uniknęłam zrobienia czegoś, co mogłoby mnie postawić w złym świetle w oczach dziewczyn. Uniknęłam też stania na błotnistym zboczu w zimnym lesie i czekania, aż Dan Dukas łaskawie przejedzie obok i ochlapie mnie błotem spod tylnego koła – zakładając, że zdążył już sobie kupić nowy motocykl, po tym, jak rozwaliłam mu poprzedni niespełna dwa tygodnie temu.

Czuję się odrobinę nielojalnie, myśląc w ten sposób.

– Można żyć całkiem normalnie, nie mając chłopaka – zapewniam ją.

– Jasne, że tak, skarbie – odpowiada niepewnie Trixie, która spotyka się ze Steviem O’Sheą od czasu tamtej sprawy z *Infernem*. – O co właściwie chodzi z tym przebraniem?

– Sol urządza wieczór filmowy. – Przyglądam się szmince pożyczonej od mamy. Nosi nazwę Słodki lód i ma najdziwniejszy niebiesko-fioletowo-biały odcień, jaki w życiu widziałam. Pewnie użyła jej po raz ostatni w 1987 roku. – Oglądamy film z lat osiemdziesiątych, *Dziewczyna w różowej sukience*. Znasz?

– Moja mama ma fioła na punkcie Andrew McCarthy’ego, który tam gra.

– Jak wygląda?

– Wysoki i ciemnowłosy – odpowiada Trixie. – Właściwie jest trochę podobny do Dana. Ups, jestem beznadziejna!

Zaciskam zęby.

– A tak w ogóle to mariachi nie są z Japonii – mówię.

– Meksykanie, Japończycy – co za różnica? – odpowiada Trixie.

## Sol

– Spodziewałam się co najmniej fryzury na czeskiego piłkarza – mówi Hanna, sadwiąc się wygodnie na kanapie pośród szelestu ekoskóry.

Wygląda dzisiaj trochę dziwnie, z poskręcanyimi, usztywnionymi włosami, przypominającymi pokrowiec na papier toaletowy w domu jakiejś starszej pary. Ma okropnie blade usta, przez co wygląda jak zombie w stylu new romantic.

– A co, trwała nie wystarczy? – Zerkam na nią znad okrągłych okularów przeciwsłonecznych pożyczonych od Andrew. W przypiływie paniki prawie się pozbyłem kapelusza z wąskim wywiniętym rondem.

– Mamie Trixie podoba się aktor grający główną rolę – informuje mnie Hanna, kiedy próbuję się uspokoić, rozkładając przekąski: chipsy, lentilki, które mają się nam kojarzyć z kostką Rubika, i sok owocowy o nazwie Um Bongo. – Andrew McCaffrey.

– McCarthy – poprawiam ją.

– Rzeczywiście jest taki seksowny? Myślisz, że mi też się spodoba?

Poprawiam okrągłe okulary i wrzucam do ust garść lentilek, a na ekranie pojawiają się pierwsze napisy.

Przez pierwsze pięć minut Hanna nic nie mówi. Jej rozchylone, błyszczące wargi przypominają brzuch egzotycznej jaszczurki, a Molly Ringwald zakłada do szkoły najdziwniejszy strój, jaki w życiu widziałem. Ścieżka dźwiękowa jest dobra. Naprawdę dobra. Lepsza, niż to sobie zapamiętałem.

– Czy to on? – pyta Hanna, prostując się, kiedy na szczycie schodów w liceum pojawia się bogaty obiekt westchnień. – Trixie miała rację. Rzeczywiście wygląda jak Dan.

– Zaraz będzie ten drugi koleś – usiłuję wtrącić z ustami pełnymi lentilek.

– Wiem, że kazałeś mi więcej o tym nie wspominać – mówi, odwracając się od ekranu, żeby na mnie spojrzeć. – Ale czy naprawdę uważasz, że nie ma cienia szansy, że to Dan przysłał mi ten śliczny filmik? Ma sprawne dłonie, mógłby zrobić ten samochodzik; interesuje się motoryzacją.

Przełykam drażetki. Nie chcę nic wiedzieć o sprawnych dłoniach Dana Dukasa.

– Nie interesuje się motoryzacją – prostuję – tylko motorami, a raczej tym, co z nich zostało po twojej interwencji.

Przegapiliśmy wejście Duckiego. Um Bongo smakuje jak woda z kibla i nadaje mojemu językowi dziwny, nieatrakcyjny kolor. Nie jestem pewien, ile lentilek jeszcze zdołam zjeść.

– Och, James Spader! Co za ciacho – rzuca Andrew, który właśnie przyniósł świeżą dostawę chipsów, gdy na ekranie pojawia się czarny charakter w chmurze lakieru do włosów i kurtce tak sztywnej, że mógłby się nią golić.

Zdejmuję okulary i zaczynam je posępnie czyścić rąbkiem koszuli.

– Zmykaj stąd, Andrew.

– Muszę?

Hanna chichocze na widok ogromnych okularów Molly Ringwald.

– Andrew? – woła z kuchni Gareth. – Twój kot nie pozwala mi zajrzeć do lodówki.

– Dlaczego w najbardziej nieodpowiednich momentach to zawsze jest *mój* kot? – marudzi Andrew, dzwigając się z kanapy.

Przez kolejne pół godziny żadne z nas się nie odzywa. Od czasu do czasu zerkam na Hannę. Powinienem jej powiedzieć o filmie. To znaczy o moim filmie. Jest nim zachwycona i bardzo chce się dowiedzieć, kto jej go przysłał. Mam nadzieję, że kiedy wreszcie pozna prawdę, odbierze jej mowę, w oczach pojawią się łzy, później może ucieknie, bo nie będzie wiedziała, co zrobić, a jeszcze później przybiegnie do mnie z powrotem (najlepiej w deszczu) i...

– Boże, on naprawdę wygląda jak Dan – mówi Hanna, kiedy Blane zaprasza Andie na randkę.

Chrzanić to. Za duże ryzyko. Lepiej nic nie mówić. Może sama się w końcu domyśli. O Boże, znowu paraliżuje mnie strach. Ile będzie potrzebowała czasu, żeby rozwiązać zagadkę? A jeśli zachwycił

ją film, ale nie spodoba jej się autor? Co wtedy? Stracę najlepszą relację w swoim życiu.

Na ekranie Duckie właśnie wyznaje Andie miłość.

– Spójrz prawdzie w oczy, dziwaku – odzywa się Han. – Nie masz przy nim żadnych szans.

Słyszałeś o Lizzie, Sol?

Biorę głęboki, uspokajający oddech.

– Co z nią?

Hanna przygląda się badawczo swoim koronkowym mitenkom.

– Wszyscy gadają, że przespała się z Danem.

Przypominam sobie kilka rozmów, które ostatnio wpadły mi w ucho.

– Tak, wiem – przyznaję.

Hanna marszczy brwi.

– Nie poszłam z Danem do łóżka, więc mnie rzucił. Lizzie poszła i też dostała kopa w tyłek.

Czego on właściwie chce?

– Gonić króliczka – wyjaśniam.

Szumowiny w rodzaju Dana Dukasa polują, łapią i porzucają – dlatego że ich zdobycz nie chce uprawiać seksu albo... wprost przeciwnie. Żadnych kompromisów. Mili faceci mają nadzieję, że w końcu dojdzie do seksu. Oczywiście woleliby, żeby nastąpiło to raczej wcześniej niż później, ale, tak czy inaczej, są na tyle dobrze wychowani, by czekać. O ile ta, na której im zależy, jest tego warta.

– Mnie nie dogonił – protestuje Hanna.

– Zgarnął cię Steviemu O'Shei sprzed nosa.

– Mam na myśli tę część związaną z seksem – wyjaśnia.

Zdejmuję okulary i pocieram grzbiet nosa.

– Nie prosił cię, żebyś się z nim przespała?

– Nie wprost. Ale zachowywał się tak, jakby myślał, że też tego chcę. I zrobiłabym to – dodaje.

– W przyszłości.

– Dan Dukas nie rozumie, co to znaczy *w przyszłości*. Nieważne, czy w grę wchodzi seks: ten facet nie potrafi skupić dłużej uwagi na niczym, zupełnie jak złota rybka. – Dziwnie się czuję, używając słowa „seks” w rozmowie z Hanną.

– Myślisz, że gdybym się z nim teraz przespała, znowu by mnie polubił?

– Jak na inteligentną osobę, zadajesz czasem strasznie durne pytania.

Przez chwilę nic nie mówimy. Film trwa.

– Przykro mi to mówić – zwierza się Hanna – ale Trixie jest naprawdę głupia.

– Oboje wiemy, że Trixie Logan do błyskotliwych nie należy, Hanno.

– Czy ja jestem snobką? – Hanna wygląda na zmartwioną. – Przyjaźnimy się, odkąd miałyśmy po dwanaście lat, a ja teraz myślę wyłącznie o tym, jaka jest głupia.

– Wydawało mi się, że w szkole obracała się w innym towarzystwie niż ty.

– Tak, ale kumpłowała się też trochę ze mną i Lizzie. A w college'u była jedyną osobą, jaką znałam, nie licząc ciebie.

– I Lizzie – wtrącam.

– A Trixie znała Laurę, Vashti i wszystkich.

Hanna uwielbia to słowo. *Wszyscy*. Tak jakby Vashti Wong i Laura Hamilton reprezentowały cały świat.

– Wiele się może zdarzyć pomiędzy dwunastymi a szesnastymi urodzinami – zauważam. – Chyba już o tym mówiliśmy. Czy Trixie irytuje cię, bo jest tępa, czy dlatego, że jest irytująca?

Hanna głęboko się nad tym zastanawia.

– Jest irytująca – stwierdza wreszcie. – Pamiętasz, co powiedziała wtedy przez telefon?

– Trudno mi to będzie zapomnieć.

– Czepiała się też Meksykanów.

– Mhm – odpowiadam wolno. – Dlatego że...?

– Trixie twierdzi, że policja przesłuchuje meksykański zespół w sprawie tej akcji w garażu

Dukasów.

– Nie można już nigdzie zabrać ukulele.

Hanna obejmuje mnie ramionami.

– Dzięki – mówi wtulona w moją szyję. – Zawsze wiesz, co powiedzieć.

Rozkoszuję się tą chwilą, wdycham zapach Hanny i lekko się krztuszę oparami lakieru do włosów. Czy byłoby dziwnie, gdybym ją teraz pocałował?

Wypuszcza mnie z objęć, nim podejmuję decyzję. Wracamy do oglądania filmu. Jakimś cudem jesteśmy już przy scenie, w której Andie tnie sukienkę swojej najlepszej przyjaciółki. Hanna krzywi się na widok strzępów różowej satyny i koronki.

– Ohyda – mówi. – Naprawdę ohyda. Rozumiem, że to lata osiemdziesiąte, ale żeby tak się ubierać? Ta sukienka przypomina torbę na pranie lalki Barbie.

Po dziesięciu minutach Psychedelic Furs odbierają mi resztki nadziei na to, że ten wieczór zmieni cokolwiek w mojej relacji z Hanną Bergdahl.

– Dobry wybór – stwierdza, przeciągając się jak kot. – Chociaż nie jestem pewna, czego nas nauczył ten film, poza tym, że należy unikać okularów ze szklami wielkości frisbee. Włosy Andrew McCarthy'ego wyglądały na końcu dziwnie, nie sądzisz?

– To była peruka – odpowiadam smutno. – Musieli nagrać zakończenie jeszcze raz, a on zdążył już ściąć włosy do innej roli.

– *Wiedziałam*, że jest w nich coś dziwnego. Dlaczego musieli nagrywać drugi raz?

– W pierwotnym zakończeniu Andie zostaje dziewczyną Duckiego.

– Duckie na bank jest gejem – mówi Andrew, przechodząc obok drzwi od salonu. Mocno trzyma pod pachą Nigela, który nie wygląda na zbyt szczęśliwego.

– Wcale nie – protestuję.

– Oczywiście, że jest gejem, Solomonie. Najlepszy przyjaciel gej. To przecież jasne. – Andrew wolną ręką podaje Hannie płaszcz. Nigel syczy i próbuje się uwolnić.

Hanna zakłada płaszcz i przyciska chmurę twardych jak skała loków do mojego policzka.

– Pójdiesz ze mną na osiemnastkę Dana? – pyta z jedną nogą za drzwiami. – Proszę, Sol. Wiem, że zawsze zapraszam cię na imprezy, na które nie masz ochoty pójść, ale tym razem naprawdę potrzebuję twojego wsparcia. Trixie, Vashti i w ogóle wszyscy tam będą, ma wystąpić zespół na żywo, podadzą prawdziwego szampana i tak dalej.

– Będziesz sobie musiała poradzić sama – odpowiadam ze współczuciem.

Hanna zabawnie łapie powietrze.

– O Boże, strasznie cię przepraszam! Pewnie się martwisz, że Dan nadal spotyka się z Carmen. Dowiem się tego, okej? Jeśli tak jest, totalnie zrozumieję, że nie zechcesz tam iść. A jeśli nie, pójdiesz ze mną? Proszę?

– Kim jest Carmen? – pyta Gareth, wyrastając na szczycie schodów.

Han posyła mi spojrzenie wyrażające wiele różnych rzeczy: przepraszam, że wspomniałam imię dziewczyny, o której twoi rodzice nic nie wiedzą (zabawne), błagam, zmień zdanie i chodź ze mną na imprezę mojego byłego chłopaka – pomocy!, dzięki, że mogłam z tobą porozmawiać o mojej tępej przyjaciółce, nie mam pojęcia o tym, że kocham cię w niewłaściwy sposób.

– Kim jest Carmen? – powtarza Gareth.

– Cześć, Han – mówię, zamykając za nią drzwi.

Wracam do swojego pokoju, biorę pudełko z papierowymi figurkami, kartonowymi schodami, małym samochodem i kołazowym tłem, przykrywam je wiekiem i wrzucam na samo dno szafy.



27 marca

Hanna

Mama stoi w moim pokoju, a w ręku trzyma pozostałości czarnej aksamitnej sukienki. Zazwyczaj jest spokojna i opanowana, ma idealnie ułożone włosy i dyskretny makijaż. Teraz na jej zazwyczaj bladych policzkach widać dwie różowe plamy, a nad górną wargą perli się pot. Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak wkurzonej.

– Coś ty sobie myślała?

Próbuję sformułować odpowiedź.

– To... Ty... Potrzebowałam...

Mama potrząsa gniewnie czarnym aksamitem.

– Ubóstwiałam tę sukienkę.

– Nigdy jej nie nosiłaś – odpowiadam z niepokojem. – Nie sądziłam, że będziesz miała coś przeciwno.

Różowe plamy na jej policzkach różowieją jeszcze bardziej.

– Miałam ją na sobie w jeden z najważniejszych wieczorów w moim życiu: na pierwszej randce z twoim ojczymem. Ten wieczór zapoczątkował zupełnie nowy etap w naszym życiu, Hanno! Może ty tego nie pamiętasz, *ale ja tak*.

Aha. No to mamy problem.

– Zawsze mówisz, że kupujemy za dużo ciuchów i że powinniśmy korzystać z tych, które już mamy, więc pomyślałam, że byłoby miło podarować tej sukience nowe życie – mówię najłagodniejszym tonem, na jaki potrafię się zdobyć.

– Ucinając połowę?

Sukienka rzeczywiście zrobiła się dużo krótsza. Może nie o połowę, ale prawie. Czuję, że stąпам po cieniutkim lodzie.

– Naprawdę myślałam, że nie będziesz miała nic przeciwno, mamó. Sukienka leżała na dnie szafki z rzeczami, których już nie nosisz.

Mama chowa twarz w czarnym aksamicie i nic nie mówi.

– Zwykle nie masz problemu z tym, że pożyczam twoje ciuchy.

– Jak je pożyczasz – odzywa się zduszonym głosem. – Nie niszczysz.

– Wcale jej nie zniszczyłam – tłumaczę. – Tylko ją spersonalizowałam. Potrzebowałam czegoś klasycznego na jutrzejszą imprezę u Dana, a przecież nie mogę wyglądać jak cała reszta dziewczyn, więc pomyślałam...

Mama unosi wzrok znad materiału.

– Pocięłaś moją ulubioną sukienkę z powodu imprezy u swojego byłego chłopaka?

– Właściwie to nie byłego – mówię, wężąc niebezpieczeństwo. – On nie zniknął z mojego życia.

Nadal rozmawiamy. – Na korytarzu w college'u, przez dwie sekundy, kiedy się mijamy i mówimy sobie „cześć”; za każdym razem umiera wtedy jakaś częśćka mnie.

– Pocięłaś moją ulubioną sukienkę dla swojego prawie byłego chłopaka?!

Czuję jak lód pod moimi stopami zaczyna pękać, a stopy mi się ślizgają.

– Wiem, że kiepsko to brzmi, kiedy ujmujesz to w taki sposób, ale...

Głos mamy brzmi koszmarnie cicho.

– I wydaje ci się, że pójdziesz na tę imprezę?

Przełykam ślinę.

– A nie?

Mama przewiesza sukienkę przez ramię. Głaszcze ją jak zranione zwierzę.

– Żadnych imprez – ucina.

Trrrach. Czuję się, jakbym wpadła do najbardziej lodowatej wody na świecie. Aż mnie zatyka od tego zimna. Mama zabrania mi pójść na najważniejszą imprezę roku?

– Ale – udaje mi się wykrztusić – ja muszę tam być. To niewiarygodnie ważne, bo Dan... bo... wszyscy tam będą...

W oczach mamy płonie lodowatobłękitny ogień.

– Żadnych imprez – powtarza.

Nie. NIE. NIE. NIE.

– Zszyję ci tę sukienkę! – obiecuję bezradnie. – Będzie jak te potłuczone chińskie talerze, które ludzie uważają za wyjątkowe...

– To nie jest talerz, Hanno, tylko Donna Karan. – Mama zawiesza głos. – To była Donna Karan. Nie pójdziesz na żadną imprezę. Zostaniesz w domu i pomyślisz o tym, że przedmioty należące do innych są tak samo ważne jak twoje. – Marszczy brwi. – Kiedyś o tym wiedziałaś.

Nie mogę się ruszyć. Nie jestem nawet w stanie zamknąć ust.

Mama rzuca sukience ostatnie przepełnione smutkiem spojrzenie.

– Będę przez miesiąc myła samochód Jamesa, jeśli pozwolisz mi pójść – błagam.

Ale drzwi mojej sypialni zamykają się za nią cicho jak drzwi grobowca.

Siadam na łóżku i staram się uspokoić dudniące serce. Już wiem, że nie powinnam była ciąć tej sukienki. Sęk w tym, że od tygodni wyobrażam sobie Vashti, Laurę i Trixie ubrane w nowe kiecki. Każdy ciuch, jaki widziałam na wystawach w poprzedni weekend, był otoczony maleńkimi skrzatami szepczącymi: *Vashti kupiła sobie taką sukienkę, tylko że niebieską*. Na myśl o tym, że mogłabym się pojawić na imprezie w takiej samej sukience jak ona, całkowicie straciłam ochotę na zakupy. Dosyć mam zmartwień związanych z Danem.

A raczej *miałam*.

Moje życie oficjalnie się skończyło.

28 marca

Sol

– Czuję się jak totalny idiota.

– Wyglądasz fantastycznie – twierdzi Gareth, poklepując mnie w ramię okryte białym smokingiem. – Jak James Bond.

– Wyglądam jak dzieciak ubrany w ciuchy dorosłego faceta. Moment – mówię, mierząc palcem w Andrew. – *Jestem* dzieciakiem w ciuchach dorosłego faceta. *Twoich* ciuchach.

– Pasują na ciebie jak ulał – odpowiada gładko Andrew.

W milczeniu wciągam na głowę jego czapkę. Zaczynam ją nawet lubić.

– Wyjście z domu dobrze ci zrobi – wtrąca Gareth.

– Nie jestem psem ani emerytem – zauważam.

– Daj spokój, Sol! Może będzie fajnie. Poza tym obiecałeś Hannie, że pójdziesz.

To prawda. Sol popychadło, sobowtór Bonda w tym błyszczącym białym smokingu, raz jeszcze gotów do akcji. Tym razem nawet nie będę miał przy boku Hanny, która mogłaby mi osłodzić tę gorzką pigułkę. Posyłam wściekle spojrzenie swojemu odbiciu w lustrze. Tylko Dan Dukas mógł być na tyle pretensjonalny, żeby uprzeć się przy białych smokingach.

– Czy Carmen też będzie na imprezie? – rzuca lekko Gareth.

Cała ta komedia z Carmen jest kolejną rzeczą, za którą Han ma u mnie dług wdzięczności.

– Pewnie tak – mówię, bo nie wiem, jak mógłbym się wykręcić od odpowiedzi. – Skoro jest dziewczyną gospodarza.

– Będzie dobrze – łagodzi Andrew.

– Mhm, dzięki. – Nawet ja zaczynam wierzyć w to, że się z nią kiedyś spotykałem.

Gareth wciska mi coś szeleszczącego do kieszeni smokingu.

– Przeworny zawsze ubezpieczony.

– Do boju, tygrysie – dodaje Andrew.

O Boże. Rodzice właśnie dali mi prezerwatywy.

– Nigdy więcej nie ważcie się puszczać do mnie oczka.

Kiedy zamykam za sobą drzwi, słyszę dobiegające z kuchni wycie Nigela – Kota Baskerville'ów. Andrew i Gareth obiecali sąsiadom, że nie wypuszczą go dzisiaj z domu, ponieważ wczoraj obsikał im frontowe drzwi. Chociaż rozwiązanie problemu wydaje się oczywiste, jądra Nigela jak na razie pozostają nietykalne.

*Bardzo ci dziękuję, Sol, jesteś prawdziwym bohaterem. Kocham cię najbardziej na świecie, mówiłam ci to już?*

– Kocha mnie najbardziej na świecie – powtarzam sobie, mijając ulicę Hanny, stację kolejową i skręcając w Imperial Avenue. Samochody wolno podjeżdżają pod dom Dukasów i spod niego odjeżdżają. Podjazd wypełniają białe marynarki i jaskrawe sukienki. Przez otwarte na oścież drzwi garażu widać zabawki Dukasów, znowu w jednym kawałku: porsche z nowym dachem, evoque ze świeżym lakierem i lśniący nowością motocykl.

*Pip.*

Hanna łączy się ze mną przez FaceTime. Ma wielkie, zaczerwienione oczy i pryszcza na brodzie.

– Widziałeś już Dana? – Strzela oczami na wszystkie strony. – Vashti o mnie pytała? Czy Dan jest z Carmen? Wszystko okej?

– Dopiero co przyjechałem. Daj mi szansę.

Hanna wyciąga szyję, widząc przechodzące obok mnie dwie dziewczyny w krótkich czarnych sukienkach.

– Wyglądają super – stwierdza ze smutkiem. – Nie mogę uwierzyć, że mnie tam nie ma. Wymknęłabym się z domu, ale pilnuje mnie Raz; nigdy nie widziałam go w równie podłym nastroju. Przejmuje się tym moim szlabanem jeszcze bardziej niż mama. Chyba tu oszaleję, Sol. Mówię poważnie.

Nie zmrużyłam oka przez całą noc, zamartwiając się tym wszystkim.

Nadal jestem na siebie zły, że w ogóle tu przyszedłem. Dlaczego jestem takim pantoflem? Jeśli nie odnajdę w sobie odrobiny cywilnej odwagi, czeka mnie jeszcze mnóstwo przyjęć takich jak to.

– Zamartwiałaś się przyjęciem czy tym, co czuła twoja mama, kiedy zniszczyłaś jej sukienkę? – pytam.

– Nie praw mi kazań, dobra? Już i tak czuję się okropnie, nie musisz mi jeszcze dowalać.

Nie jestem w nastroju, żeby jej odpuścić.

– Wyobraź sobie, jak byś się czuła, gdyby to tobie ktoś pociął jedną z najcenniejszych rzeczy.

Czy ty ją w ogóle przeprosiłaś?

– Oczywiście, że tak! Za kogo ty mnie...

Urywa, przygryza wargę. Przez chwilę nic nie mówi.

– W głowie mi się nie mieści, że musiałem ci o tym przypomnieć – stwierdzam.

– Mnie też – odpowiada najbardziej żalonym głosem, jaki kiedykolwiek u niej słyszałem. –

Jestem okropna, prawda? Nie zasługuję, żeby być na tej imprezie. Ani na żadnej innej, do końca życia.

– Przepróż mamę albo nie powiem ci, co się tutaj dzieje. Ani słowa.

Wsuwam telefon do kieszeni, gdzie ociera się o prezerwatywę od Garetha z zenującym szelestem.

Idąc do drzwi, zauważam, że ludzie dziwnie na mnie patrzą. Rozglądam się i widzę, że otaczają mnie same pary. Tak bardzo przyzwyczailem się do chodzenia wszędzie samemu albo z Hanną, że nie pomyślałem o tym, by zaprosić kogoś innego. Mi osobiście nie przeszkadza, że jestem sam, ale inni najwyraźniej mają z tym problem.

– Hej, geju! Jesteś bez pary?

Dan Dukas unosi w moją stronę kieliszek z szampanem. Carmen stoi u jego boku, ubrana w olśniewającą czerwoną sukienkę, która przylega do każdego milimetra jej ciała. Wygląda na nieco zagubioną.

– Wszyscy twoi kumple byli zajęci – odpowiadam. – Cześć – witam się ze swoją zmyśloną byłą dziewczyną, podczas gdy Dan próbuje wpaść na jakąś sensowną odpowiedź.

– Cześć – odpowiada nieśmiało Carmen.

Czuję się, jakbym powinien ją znać. Jestem pewien, że gdyby nie nasz urojony związek, nigdy w życiu nie powiedziałbym jej „cześć”. Posyłam jej szeroki uśmiech, a ona go odwzajemnia.

Dan wskazuje na mnie kieliszkiem.

– Ten koleś ma dwóch ojców – informuje Carmen.

– Mam też dwa penisy – mówię. – Mogę ci jednego oddać.

Właśnie powiedziałem „penisy” w obecności ładnej dziewczyny, z którą byłem w nieistniejącym związku. Złość na Hannę dodaje mi skrzydeł.

Dan wygląda na skonsternowanego.

– Dzięki, już jednego mam.

– Dobrze wiedzieć, że plotki jednak nie są prawdziwe. Miło cię było spotkać, Carmen.

– Co powiedziałaś, geju? – woła za mną Dan, kiedy odchodzę korytarzem. – Jakie plotki?

W tłumie unosi się aura tłumionego szaleństwa; impreza rozpocznie się na dobre dopiero wtedy, gdy wyjdą dorośli. Nikt nie wygląda korzystnie w białym smokingu. Zerkam w wiszącą w hallu lustro i cieszę się, że nie zdjąłem czapki.

Stevie stoi obok stolika z szampanem.

– Widziałeś Trixie? – pyta.

Kręcę głową.

Wygląda, jakby mu ulżyło.

– Ja też nie – mówi. – Gdzie Han?

– Ma szlaban – wyjaśniam, sięgając po szklankę soku. Imprezy u Dana często przybierają niespodziewany obrót. Wolę być trzeźwy na wypadek, gdybym musiał znaleźć wyjście podczas pożaru.

– No ładnie – mówi Stevie, chociaż nie jestem pewien, co ma na myśli. – Stary, Trixie prosiła, żebym przyniósł jej drinka do tamtego pokoju, ale chciałbym na chwilę wyskoczyć do chłopaków.

Będziesz czynił honory?

Posłusznie zanoszę kieliszek Trixie do drugiego pokoju. Przez chwilę mam jakiś cel. Wygląda na to, że wszystkie dziewczyny na imprezie zadekowały się w tym jednym pomieszczeniu. Dostrzegam tylko jednego faceta, który lekko spanikowany stoi przy kominku w przepelnionym pokoju. Wygląda jak w potrzasku.

Trixie przypomina aluminiową puszkę, cała w stalowoszarych plisach, z nabłyszczonymi kośćmi policzkowymi. Stoi w grupie dziewczyn ubranych w inne metaliczne kolory: złota, srebra, brązu. Czuję się jak na współczesnym polu bitwy.

– Gdzie Stevie? – pyta, kiedy podaję jej szampana.

– W kibelku. – Mimo wszystko lubię Steviego. – Niedługo wróci.

– Cześć, Sol – odzywa się Vashti Wong.

Pozostałe dziewczyny chichoczą.

– Cześć – odpowiadam ostrożnie.

Czarne jak węgiel oczy Vashti migoczą. Może to jej srebrne rzęsy odbijają się w tęczówkach.

– Podoba mi się twój smoking – mówi. – Idealnie na tobie leży.

Wyciąga dłoń zakończoną srebrnymi szponami i ściska moje ramię, jakby sprawdzała, czy jest dostatecznie jędrne. Pozostałe dziewczyny chichoczą głośniejsze.

– Nie ma dziś Hanny? – pyta.

– Nie słyszałaś o tym, Vash? – mówi Trixie ściszone głosem. – Hanna Bergdahl ma szlaban za to, że pocięła matce jej najdroższą sukienkę. Kosztowała chyba z tysiąc funtów, czy coś koło tego.

Znowu to rzucanie nazwiskami. Ile Hann zna Trixie?

– Chciała zaimponować Danowi – ciągnie Trixie. – To trochę smutne, bo jemu już dawno przeszło.

Vashti nadal stoi krępująco blisko mnie.

– Miło cię widzieć samego chociaż ten jeden raz, Sol – mówi, przesuwając palcami po rękawie mojego smokingu. – Bo jesteś sam, prawda?

– Nikogo nie przyprowadziłem, jeśli o to pytasz.

Nachyla się jeszcze bardziej. Czuję jej gorący oddech na swoim uchu.

– Mam słabość do samotnych wilków – szepcze.

Czuję się bardziej jak królik złapany w światła reflektorów nadjeżdżającego samochodu. Vashti jest ładna, ale te dziewczyny mają w sobie coś takiego, że zaczynam się przy nich denerwować. Wiem, że jeśli szybko sobie nie pójdę, utknę tu na wieki, jak ten nieszczęśnik przy kominku.

Próbuję odejść. Vashti kładzie mi dłoń płasko na piersi, dokładnie na kieszeni smokingu. Prezerwatywa radośnie szeleści. Wiem, że ona wie, co to jest.

– Dokąd się tak spieszysz? – Świdruje mnie wzrokiem.

Ta dziewczyna praktycznie pyta, czy się z nią nie prześpię. Przez całe życie zamieniłem z nią może ze trzy słowa. Kto powiedział, że tylko faceci mogą być drapieżnikami?

# Sol

Oddycham z ulgą, kiedy udaje mi się wrócić do hallu. Najchętniej poszedłbym do domu i zajął się projektowaniem papierowych figurek do nowego filmu. Myślę, że tym razem będzie to pole bitwy, ale zamiast włóczyniami figurki będą wojować facetami takimi jak ja.

Sięgam po kolejną szklankę soku i wychodzę na szeroki taras z widokiem na ogród na tyłach domu. Chłopaki grają w nogę wokół fontanny z figurką lwa, która stoi dokładnie w miejscu, które idealnie nadawałoby się na boisko.

Stevie rzuca swoją marynarkę na rabatę z kwiatkami.

– Pilnujesz, żeby Trix nie wpakowała się w kłopoty? – woła do mnie. – Mam u ciebie dług wdzięczności.

Gdyby zebrać wszystkie długi wdzięczności, jakie u mnie ostatnio zaciągnięto, zebrałaby się spora sumka.

– Bez obaw – mówię.

– Ta dziewczyna sprawia więcej kłopotów, niż jest tego warta – krzyczy ktoś w zapadającym zmierzchu.

– Pieprz się – woła przyjaźnie Stevie.

Jake Molino robi pajacyki obok fontanny, żeby się rozgrzać.

– Czy ktoś widział Vashti? – pyta. – Podobno zachowuje się jak jeden z tych naprowadzanych termicznie pocisków z *Top Gun*. Kiedy już cię wypatrzy, to jej nie uciekniesz. Muszę znaleźć tę dziewczynę.

Niektórzy chłopcy zaczynają głośno wiwatować i trochę mocniej kopać piłkę.

– Przed chwilą próbowała ustrzelić mnie – mówię.

Wszyscy śmieją się na całe gardło.

– Gorzej nie mogła trafić, co? – odpowiada Stevie.

– Nie jestem gejem – mówię, ale nie na głos, bo, szczerze mówiąc, nie mam zbyt wielkiej ochoty na kolejną rozmowę dotyczącą mojej orientacji seksualnej.

Powtarzam sobie, że Vashti nie uważa mnie za geja. A jeśli nawet, to wydaje jej się, że mogłaby mnie cudownie nawrócić.

*Pip.*

Wyciągam telefon.

– Wypłakuję sobie tu oczy od godziny – mówi Hanna słabym głosem. – Muszę porozmawiać z mamą, ale wróci dopiero późnym wieczorem. To czekanie to jakaś tortura.

– Poradzisz sobie.

Kiwa głową i wyciera nos. Smarki rozmazują jej się po twarzy. Czasami żałuję, że wynaleziono FaceTime.

– Jak impreza? – pyta.

– Okropnie. Jak długo muszę tu jeszcze zostać?

– Wyjdź, kiedy będziesz chciał. Nie musisz więcej spełniać moich prośb. Czy Dan nadal jest z Carmen?

– Był, kiedy przyszedłem. Co nie znaczy, że nadal jest.

– Dzięki – mówi zrozpaczonym głosem. – No wiesz, za to, że ze mną wytrzymujesz.

– To nie moją sukienkę pocięłaś – zauważam.

– Wiem o tym – krzywi się. – Nadal masz ochotę na wieczór filmowy w tym miesiącu?

– A co? – pytam nagle zaniepokojony. – Chcesz go odwołać?

Hanna kręci głową.

– Nie, a ty?

– Nie – odpowiadam.

– To dobrze. Myślałam, że może nie chcesz się już ze mną spotykać po tym jak... no wiesz. Po

tym wszystkim.

– Han, mówisz tak, jakbyś mnie wcale nie znała.

– W gruncie rzeczy chyba właśnie tak jest.

Zastanawiam się, co ma na myśli.

– To co z tym wieczorem filmowym? – pytam.

– Wybrałam tytuł wieki temu, ale zastanawiam się nad zmianą. Może *Fisher King* albo *Pokuta* byłyby lepsze.

– Przestań się nad sobą użalać – upominam ją. – Wybierz, co zechcesz. Przyjdę.

Wchodzę do środka przez wielkie szklane drzwi i widzę Vashti Wong obejmującą Dana Dukasa. Ma twarz wtuloną w jego szyję, a dłonie Dana ściskają ją za tyłek. Kompletnie nie zwracają uwagi na to, że Trixie i pozostałe dziewczyny stoją w pobliżu w ciasnym kółku, udając, że nic nie widzą. Carmen nie ma nigdzie w okolicy. Atmosfera jest pełna nerwowego podekscytowania. Wszyscy wiedzą, że dzieje się coś ważnego.

Krew zaczyna się we mnie gotować. Nie wiem, czy to z powodu zazdrości, bo w końcu zaledwie pół godziny temu Vashti dała mi jasno do zrozumienia, że ma na mnie ochotę, czy po prostu jestem wściekły w imieniu swojej zmyślonej byłej dziewczyny. A może chodzi o Han i sylwestra. Niezależnie od przyczyny, zaślepiam mnie gniew wymierzony przeciwko Danowi Dukasowi.

Pobyt w Stanach nie dał mi co prawda amerykańskiego akcentu, ale nauczył mnie dwóch rzeczy: jak uciekać i jak się bić. Kiedy jesteś chuderlawym rudym Anglikiem, którego rodzice są gejami, obie te umiejętności mogą się okazać bardzo przydatne. Mięśnie łydek pchają mnie przez tłum, jakbym był podłączony do kanistra z benzyną. Czuję, jak zaciskają mi się pięści, a łokcie przesuwają się do tyłu. Nie potrafię się już powstrzymać od wymierzenia Danowi Dukasowi ciosu w szczękę.

Dan piszczy. Vashti odskakuje jak oparzona, jej wargi układają się w błyszczące, śliwkowe O. Trixie i reszta dziewczyn wrzeszczy. Przepycham się przez tłum, jakby to były papierowe figurki mojego autorstwa – chcę jak najszybciej stąd uciec. Co ja sobie myślałem, przychodząc tu i zachowując się jak osobisty miłośny zwiadowca Hanny-niech ją szlag-Bergdahl?

Tuż za drzwiami wpadam na kogoś. Kogoś, kto zalewa się łzami i ma oczy prawie tak samo czerwone jak sukienka. Jest tu całkiem sama. Podtrzymuję ją, żeby nie wpadła w krzaki.

– Carmen? Boże, tak mi przykro. Nie patrzyłem, gdzie idę. Nic ci nie jest?

Na początku mnie nie poznaje. To oczywiste, w końcu widziała mnie tylko raz, przez krótką chwilę, kiedy oznajmiłem jej, że mam dwa siusiaki.

– Skąd wiesz, jak mam na imię? – pyta, ocierając oczy.

Ano właśnie. Dan nigdy nas sobie nie przedstawił.

– Przyjaźnię się z Hanną. – Dziewczyną, którą w tym momencie równie mocno kocham, co nienawidzę.

Carmen otwiera szeroko swoje piękne, smutne oczy.

– Hanną ze szkoły? Hanną Bergdahl?

Krzyki wewnątrz domu stają się coraz głośniejsze. Teraz, kiedy trochę ochłonałem i zaczyna mnie boleć ręka, dociera do mnie, że powinienem wyjść, zanim Dan poważnie mnie uszkodzi.

Biorę Carmen pod rękę.

– Odprowadzę cię do domu, jeśli chcesz – zerkam niepewnie przez ramię. – Pewnie nie masz ochoty tu dłużej zostać?

Kręci głową.

– Przyszłam w płaszczu – mówi. – Czerwonym. Jest w środku.

No jasne, że tak. Biorę głęboki oddech i wparowuję w sam środek zamieszania, z nisko opuszczoną głową i tłukącymi się po niej wspomnieniami z sylwestra. Cholera, dłoń pulsuje mi niczym motocykl Dana na pełnym gazie. Dzięki Bogu, że płaszcz Carmen jest czerwony. Natychmiast go znajduję i wyciągam ze sterty, zanim ktokolwiek mnie zauważy i zlinczuje.

– Proszę – mówię, okrywając płaszczem jej drżące ramiona. – Chodźmy.

– Co tam się dzieje? – pyta, zerkając na panujący w środku chaos.

– Coś, w czym żadne z nas nie powinno uczestniczyć.

Carmen idzie szybkim krokiem. Nie ma na sobie idiotycznych szpilek, które Hanna i pozostałe dziewczyny uparcie zakładają na imprezy. Jej buty są płaskie, błyszczące i dobrze się trzymają długich śniadych nóg. Po chwili docieramy na ten sam przystanek autobusowy, na którym zatrzymaliśmy się w Nowy Rok z Hanną. Tam, gdzie zaczął padać śnieg i... nic się nie wydarzyło.

– Ładne buty – mówię znużony. Czy mógłbym jeszcze dobitniej podkreślić fakt, że wychowuje mnie dwóch facetów?

Carmen patrzy, jak prostuję i zaciskam palce.

– Co ci się stało w rękę?

– Właściwie to... przywaliłem twojemu chłopakowi – przyznaję.

Łapie oddech i unosi ręce do twarzy.

– Boli cię?

– To nic takiego – mówię, chociaż boli mnie jak cholera. Będę musiał obłożyć rękę lodem, gdy tylko dotrę do domu.

Idziemy dalej. Carmen przygląda mi się z coraz większym zainteresowaniem. Zaczyna mi się od tego kręcić w głowie.

– Wiesz, jak mam na imię – mówi. – Ale ja nie znam twojego.

– Sol. Solomon.

– Solomon – powtarza, jakby chciała sprawdzić, jak to brzmi.

A w jej wybitnie pięknych ustach brzmi egzotycznie. Czy Hanna naprawdę myślała, że mógłbym chodzić z kimś tak ślicznym? Czuję się niemal dumny.

– Czy to dla mnie uderzyłeś Dana, Solomonie? – pyta Carmen.

Przez chwilę zastanawiam się nad odpowiedzią.

– A jeśli tak – mówię w końcu – to czy uznasz mnie za brutala i dziwaka? Bo wcale taki nie jestem. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co tam się stało.

O mój Boże. Jedna z najładniejszych dziewczyn, jakie w życiu spotkałem, właśnie wsunęła swoją dłoń w moją. I nie próbuje jej stamtąd zabrać. Ręka wcale mnie już tak bardzo nie boli. Pęcznięję z dumy. Chyba dodam postać rycerza do mojego papierowego pola bitwy.

Idziemy razem jeszcze przez chwilę. Dociera do mnie, że Carmen skręca w ulicę Hanny.

– Mieszkasz tutaj? – pytam nieufnie, zerkając na znajome frontowe drzwi, które właśnie mijamy.

– Kawalek dalej. Solomonie, dziękuję, że mnie dziś uratowałeś. Nikt nigdy nie zrobił dla mnie czegoś podobnego.

Wyciąga rękę z mojej ręki, kładzie obydwie dłonie na moich policzkach i mnie całuje. Naprawdę mnie całuje, na samym środku ulicy.

Wow.

Smakuje ciepłym miodem. Ma miękki język i sprężyste wargi. Pod palcami obolałej dłoni czuję jej gęste włosy. Nie całowałem się z nikim – nawet z melonem – od czasów Lucy Shapiro. Okazuje się jednak, że z całowaniem jest jak z jazdą na rowerze: nie można zapomnieć, jak się to robi.



## Hanna

Chyba jeszcze nigdy nie czułam się tak podle. Ani po odejściu taty, ani po tym, jak rzucił mnie Dan, ani nawet, gdy straciłam połowę punktów na egzaminie GCSE<sup>5</sup>, bo nie odwróciłam kartki. Tym razem to prawdziwe dno.

Na FaceTimie Sol wyglądał całkiem niezłe w tej swojej czapce i białym smokingu. Może nawet się z kimś dzisiaj spiknie, skoro po raz pierwszy wyrwał się gdzieś beze mnie. Jeśli tak się stanie, to mam nadzieję, że będzie to dziewczyna na imprezę, a nie na poważnie. W moim obecnym stanie chyba bym nie zniosła, gdyby zaczął się z kimś umawiać.

Wyłączam górne światło, siadam na łóżku, opuszczam głowę na poduszkę i patrzę na papierowy Układ Słoneczny zwisający z sufitu. Zrobiliśmy go z Solem w podstawówce. Nie zdjęłam go, chociaż planety są przekrzywione, Księżyc zrobiony przez Sola z piłeczki ping-pongowej zaraz się urwie, a polistyrenowe Słońce jest tak wielkie, że uderzam w nie głową za każdym razem, gdy zrywam się z łóżka bez zastanowienia. Saturn kołysze się na wietrze wlatującym przez uchylone okno; krzywo wycięty papierowy pierścień przeważa go na jedną stronę. Z ulicy dobiega mnie zwykły sobotni gwar, w którym nie uczestniczę. Mogłabym zniknąć z powierzchni ziemi i nikt by na to nie zwrócił uwagi. Ludzie mówiliby: „No tak, Hanna, była z niej samolubna krowa, co? Niewielka strata”. To dołujące, że Sol jako jedyny by za mną tęsknił. Dlaczego nie mam więcej przyjaciół? Sama nie wiem, może dlatego, że *jestem najokropniejszą osobą na całym świecie?*

Powinłam zadzwonić do mamy. Zrzucić z piersi ten ciężar. Tyle tylko, że pojechała z Jamesem na ich comiesięczną randkę. W sukience, której nie zdążyłam jeszcze pociąć. Nie będzie chciała dziś ze mną rozmawiać. Pewnie już nigdy nie będzie miała na to ochoty.

Schodzę na dół. Raz leży na kanapie z nosem w *Zbrodni i karze*, w dłoni ścisną butelkę piwa. Wygląda na padniętego.

- Umyję lodówkę – oznajmiam, przechodząc przez salon do kuchni.
- Dlaczego?
- Bo należałoby ją umyć.

I rzeczywiście: półki są lepkie od brudu, ser przydałoby się przepakować, a butelki z keczupem i majonezem – wytrzeć. W szufladzie na warzywa poniewierają się stare liście sałaty, a kilka kubeczków z jogurtem zaraz samo wymaszeruje z lodówki.

Starannie układam na stole nadające się jeszcze do jedzenia produkty, reszty się pozbywam, wyciągam brudne półki i wkładam je do zlewu, spryskując obficie płynem do mycia naczyń. Zakładam parę gumowych rękawic. Później mogłabym się zająć szufladą na sztucce – i tak nie mam nic lepszego do roboty.

Raz z głośnym hukiem rzuca książkę na stół, obok baterii pozasychanych butelek z sosami.

– Czytam *Zbrodnię i karę* – mówi, pociągając łyk piwa z butelki – więc umiem rozpoznać u kogoś wyrzuty sumienia. Chodzi o sukienkę mamy?

– Chodzi o *lodówkę*.

Raz siada przy stole i patrzy w milczeniu, jak szoruję półki i butelki. Skąd się u niego wziął ten podły nastrój? Z zewnątrz dobiegają dźwięki wystrzałów i trzaski – zaledwie kilka ulic stąd odpalono urodzinowe fajerwerki Dana.

– Raz – mówię wreszcie, ustawiając w lodówce świeżo wypolerowane słoiki i butelki według rozmiaru – co jest najgorszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłeś?

Przygląda się swojej butelce piwa.

– Pewnie rzucenie Leah przy pomocy SMS-a – odpowiada. – Chociaż wtedy wydawało mi się to całkiem na miejscu.

Nieruchomieję ze słoikiem pikli w rękę.

– Co masz na myśli, mówiąc o rzuceniu Leah?

Raz uśmiecha się blade.

– Nie wiem, jak inaczej miałbym to ująć, Hanno.  
– Dlaczego to zrobiłeś?  
– Przyłapałem ją na pisaniu pikantnych SMS-ów z innym facetem.

Z wrażenia aż muszę usiąść.

– OMG, Raz. Z kim?

– I to jest właśnie najlepsze – odpowiada Rasmus. – Z Jonem.

– Twoim najlepszym przyjacielem Jonem?

Raz śmieje się smutno.

– Już nie.

Trąca paznokciem strony w książce.

Rasmus bez Jona to jak frytki bez soli; Rasmus bez Leah – jak niebo bez morza. Równowaga znanego mi świata właśnie przestała istnieć.

– Nigdy za nimi nie przepadałam – oznajmiam słabym głosem.

W odpowiedzi na moje kłamstwo Rasmus tylko zwiesza głowę.

– W takim razie chyba nie powinienem się z nimi godzić.

Myślę o Danie. I o Lizzie. O najlepszych przyjaciółkach oraz tym, jak strasznie boli zdrada z ich strony.

– Zrobiłbyś to? – pytam. – Wróciłbyś do Leah, gdyby to było możliwe?

Raz wygląda na zmęczonego i zasmuconego.

– Mam nadzieję, że nie byłbym taki głupi. Ale rozum i serce rządzą się oddzielnymi prawami.

Odkładam wszystkie półki z lodówki na miejsce, robię sobie kubek herbaty i wracam na górę.

Mam rozpaczliwą ochotę zadzwonić do Sola, żeby usłyszeć, co się dzieje na imprezie, a jednocześnie brakuje mi na to siły.

Zasłony w moim pokoju nadal są rozsunięte. Odstawiam kubek na biurko, wyciągam rękę, żeby je zasłonić, i nagle widzę dwie splecione ze sobą postacie. Ona ma na sobie jaskrawoczerwoną sukienkę. On – czapkę i biały smoking.

W ich pocałunku nie ma nic delikatnego.

Zaciągam zasłony. Ten nagły ruch okazuje się zabójczy dla zrobionego przez Sola księżycy z piłeczki ping-pongowej, który zrywa się ze swojej nitki z cichutkim „plink” i toczy pod moje łóżko. Zamykam oczy, zsuwam się plecami po ścianie, siadam na podłodze i chowam głowę między kolana. Mam nadzieję, że nagły atak mdłości zdąży ustąpić, zanim zwymiotuję na podłogę.

31 marca

Oglądamy dzisiaj film?

Han?

Ziemia do Han \*stuka w mikrofon\*

Jasne

Już się tak nie ekscytuj

Mam trochę problemów

Nie musimy oglądać filmu, jeśli nie chcesz

Dostałeś lepszą propozycję?

Co?

Nie ma sprawy, możemy się nie spotykać

Znowu jadłaś ser? Wiesz, że po nim zamulasz

\* \* \*

KIEDY HARRY POZNAŁ SALLY (1989)

Reżyseria: Rob Reiner

Scenariusz: Nora Ephron

W 1977 roku absolwenci college'u Harry Burns (Billy Crystal) i Sally Albright (Meg Ryan) jadą samochodem ze swojego uniwersytetu w Chicago do Nowego Jorku. Podczas wspólnej podróży spierają się o to, czy jest możliwe, aby kobieta i mężczyzna przyjaźnili się czysto platonicznie. Przez kolejne dziesięć lat Harry i Sally spotykają się kilkakrotnie. Okazuje się, że nie jest im łatwo pozostać wyłącznie przyjaciółmi.

Za piosenki nagrane do filmu Harry Connick Jr. otrzymał swoją pierwszą nagrodę Grammy w kategorii Najlepszy Męski Występ Jazzowy.

# Sol

Hanna na pewno wie, że uderzyłem Dana. Jak sama by powiedziała, wszyscy już wiedzą, sądząc po trwającej od dwóch dni burzy w mediach społecznościowych. Dlaczego nie przyznała mi się, że wie? Szkoda, że po prostu do mnie nie przyszła i nie powiedziała, że się na mnie gniewa. Wtedy moglibyśmy oczyścić atmosferę i wrócić do normalności. Najwyraźniej jednak mam się sam wszystkiego domyślić z jej uszczypliwych SMS-ów. Tamtego wieczoru dowaliłem facetowi twoich marzeń, Hanno. Przykro mi z tego powodu, okej?

Jeśli nie przestaniesz się tak zachowywać, dzisiejszy wieczór będzie koszmarem.

Jakby tego było mało, przez większą część ostatnich czterdziestu ośmiu godzin zastanawiałem się, kiedy Dan Dukas wniesie przeciwko mnie oskarżenie o pobicie. To nie w jego stylu, żeby wybaczać beta samcom spuszcającym mu łomot na jego własnej osiemnastce. Najwyraźniej ma więc inne plany. Napięcie przyprawia mnie o potworny ból głowy.

Jest też Carmen. Piękna Carmen Mendoza, której z niewyjaśnionych przyczyn się podobam. Większość weekendu spędziliśmy razem. Połowa mnie jest napięta niczym sznurek od latawca podczas wichury z powodu dziwnego zachowania Hanny i strachu przed tym, że mnie aresztują i pójdę siedzieć, podczas gdy druga połowa jest rozmiękczona, wyluzowana i odprężona. Niepokojąca kombinacja.

Brat Hanny otwiera mi drzwi po drugim dzwonku.

– A oto i nasz Mohammed Ali – wita mnie. – Nie wiedziałem, że masz w sobie tyle ikry, bracie.

Zastanawiam się, czy powinienem zdjąć czapkę, ale postanawiam tego nie robić. Potrzebuję dzisiaj zbroi.

– Przykro mi z powodu Leah – mówię.

– Takie jest życie. – Raz zwraca się do butelki z piwem, którą trzyma w dłoni. – Moja siostra jest w pokoju telewizyjnym.

Skręca mnie w żołądku. Po co w ogóle tu przyszedłem? W swoich wcześniejszych SMS-ach Hanna dała mi jasno do zrozumienia, że jej na tym nie zależy. Dobrze chociaż, że się nie przebrałem.

Hanna również tego nie zrobiła. Kiedy wchodzę do pokoju, tłucze pięścią w leżącą na kanapie poduszkę.

– Siadaj – mówi. – Przyniosę przekąski.

Robię, co mi każe. Szczerze mówiąc, lekko przerażają mnie dobiegające z kuchni hałasy. Otwieranie paczek z chipsami i wsypywanie przekąsek do ceramicznych misek jeszcze nigdy nie wydawało mi się takie głośne.

– Więc jednak nie *Fisher King*? – rzucam, kiedy Hanna wraca do salonu i ciężko odstawia przekąski na stolik kawowy.

– Jednak nie.

Siedzimy i oglądamy dwoje starszych ludzi mówiących o miłości prosto do kamery. Zastanawiam się, czy naprawdę są parą opowiadającą swoją historię czy po prostu dwojgiem aktorów, więc wyciągam telefon, żeby to sprawdzić. Czytanie o filmie z pewnością będzie mniej krępujące od siedzenia bez ruchu obok kogoś, kto cię nienawidzi.

– Piszesz do kogoś? – pyta Hanna.

Odkładam telefon. Oglądamy kolejne pół godziny filmu uznanego przez Amerykański Instytut Filmowy za dwudziesty trzeci najzabawniejszy obraz w historii amerykańskiej kinematografii w całkowitej ciszy. W okolicach sceny, gdy Harry spotyka Sally w nowojorskiej księgarni, nie mogę tego dłużej znieść.

– Przepraszam, że go uderzyłem – mówię.

Hanna bierze garść chipsów i zaczyna chrupać.

– Kiedy zobaczyłem, jak publicznie olewa Carmen, coś we mnie pękło. – Ulicą przejeżdża policyjny radiowóz z włączonym kogutem. Sztywnieję i rozluźniam się dopiero, gdy dźwięk syreny niknie w wieczornej ciszy. – Naprawdę mi przykro.

Hanna odzywa się dopiero podczas sceny w muzeum, tej z paprykarzem.

– Całe szczęście, że tata Carmen jest tym, kim jest.

Jako były chłopak Carmen doskonale wiem, do czego pije. Jako skołowany facet w prawdziwym świecie, nie mam bladego pojęcia.

– Mmm – mruczę.

– Mmm – powtarza Hanna. – Przydatne słowo, prawda, Sol? Słowo, które niczego nie oznacza i jeszcze mniej wyraża.

– Mmm.

– To wszystko?

A czego jeszcze ode mnie oczekuje?

Atmosfera wcale się nie poprawia. Jeśli już, to od Hanny jeszcze bardziej wieje chłodem. Oglądamy film z ponurą determinacją. Nie pomagają nawet ścieżka dźwiękowa, która poprawia humor większości widzów. Zastanawiam się, czy zdołam wymyślić jakąś wymówkę, żeby wyjść jeszcze przed napisami końcowymi.

Docieramy do finałowej sceny przyjęcia sylwestrowego. Harry wbiega do budynku, bo chce jak najszybciej rozpocząć resztę swojego życia.

– Zadzwoń do niej – odzywa się Hanna. – Przecież ci nie zabraniam.

Patrzę na nią niepewnie.

– Do kogo mam zadzwonić?

– Do Carmen – odpowiada bez mrugnięcia okiem.

Może i cały świat wie, że uderzyłem Dana, ale nikomu nie pisałem nawet słówka o Carmen. A już na pewno nie Hannie. Skąd ona wie o Carmen? Sam prawie nic nie wiem.

– Dlaczego miałbym do niej dzwonić? – pytam słabym głosem.

Hanna piorunuje mnie spojrzeniem.

– Widziałam, jak się lizaliście przed moim domem.

Moje policzki robią się wściekle czerwone, jakbym został przyłapany bez spodni. Hanna *nas widziała*? Czuję się... dziwnie.

– Przyjaciele do siebie dzwonią. – Hanna gwałtownie strzepuje niewidzialny pyłek z dżinsów. – Mówią sobie o takich rzeczach.

– Mówię ci o wszystkim!

Nieprawda. Nagle dociera do mnie, jak rzadko cokolwiek jej mówię. To ona ciągle mi o czymś opowiada. Płaczę się jak niedźwiedź w ciemnościach. Wcale mi się nie podoba ta rozmowa.

Hanna wyłącza telewizor szybkim ruchem nadgarstka w momencie, gdy Sally mówi Harry'emu, jak bardzo go nienawidzi.

– Chyba nigdy się nie dowiemy, jak to się skończyło – mówię.

Kiepsko wybrałem moment na ten żart, nawet jak na siebie.

5 kwietnia

Hanna

Ostatnio często mi się śni, jak mój tata odchodzi. W rękę trzyma walizkę, już prawie wychodzi przez frontowe drzwi, ale się odwraca, a ja krzyczę, bo ma głowę ryby i zamiast słów z jego ust wydobywają się bąbelki. Miewam ten sen tylko wtedy, kiedy naprawdę kiepsko się czuję, kiedy wszystko w moim życiu jest do dupy. Nie śniłam go, odkąd zeszłego lata Lizzie spiknęła się z Jake'em.

Postanowiłam nie żałować tego, że w zeszłym tygodniu jednak nie zdecydowałam się na zmianę repertuaru. To był przecież film o miłości. Z przesłaniem. Z *ważnym* przesłaniem. Nie mogę jednak zapomnieć tamtego wieczoru. Odtwarza się w kółko w mojej głowie, jak chomik goniący w kołowrotku. Dałam Solowi tyle szans na to, żeby powiedział mi o Carmen, a on słowem się o niej nie zająknął, dopóki go nie przycisnęłam. To nie jest przyjaźń. To zwykłe chamstwo.

Czuję się bardziej zdradzona niż wtedy, gdy Dan pocałował Lizzie. Nie mam wokół siebie jakichś tabunów przyjaciół. Sol jest jedynym porządnym przyjacielem, jakiego mam. Vashti i Laura tolerują mnie wyłącznie dlatego, że trzymam się z Trixie, na tej samej zasadzie w szkole Lizzie i ja tolerowałyśmy Trixie. Nie bardzo mi się podoba ta zmiana układu sił. Jak to się stało, że nie mam już władzy? Teraz, gdy straciłam i chłopaka, i Sola, dręczy mnie przedziwne wrażenie, że nikt mi już w życiu nie został, nikt poza mną samą. Pewnie idealnie pasuje to do wyobrażenia mamy, Sola i całej reszty na mój temat: ich zdaniem interesuje mnie wyłącznie czubek własnego nosa.

Wyjmuję telefon i przeglądam listę kontaktów. Nie ma na niej ani jednej osoby, z którą miałabym ochotę porozmawiać. Ani jednej. Czy to świadczy bardziej o mnie czy o nich?

Przeglądam listę jeszcze raz i wybieram numer.

*Dodzwoniłeś się do Lizzie. Zostaw wiadomość, jeśli chcesz.*

– Um, cześć Lizzie, mówi Hanna. Hanna Bergdahl. – zawieszam głos, zastanawiając się, po co w ogóle zadzwoniłam i czego od niej chcę. – Sprawdzam tylko, czy u ciebie wszystko okej – mówię, zanim przerwa zrobi się zbyt długa. – Możesz do mnie zadzwonić? Oczywiście, jeśli chcesz.

Jedna dziwaczna wiadomość zostawiona komuś, z kim nie rozmawiałam od miesiąca. Właśnie do tego sprowadza się w tym momencie moje życie towarzyskie.

Mogłabym zabić Sola.

*Pip.*

Chcesz, żebym Ci zaśpiewał tak, jak Harry śpiewa Sally na filmie? Mogę to zrobić. Chociaż wolałbym nie.

Uśmiecham się. Ale tylko trochę.

Przepraszam. Porozmawiaj ze mną, proszę.

To, że jestem na niego wściekła, nie oznacza, że nie mogę mu wysłać SMS.

Twoje przeprosiny to już coś.

Co jeszcze mam zrobić?

Idź do diabła.

*\*dzwoni po taksówkę\* \*płaci dodatkowo za roztopione opony\**

Nie jestem jeszcze gotowa na to, żeby dać się przeprosić. Już mam zamiar wyłączyć telefon, żeby nie ulec pokusie SMS-owego maratonu z Solem, kiedy moja komórka zaczyna dzwonić.

– Cześć, Hanna.

– Lizzie? – pytam głupio. Nie spodziewałam się, że tak szybko do mnie oddzwoni. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że w ogóle to zrobi.

– Odsłuchiłam twoją wiadomość.

Jej głos jest gruby i zachrypnięty. Od razu przypominają mi się czasy, kiedy miałyśmy po czternaście lat, a Lizzie wyplakiwała sobie w toalecie oczy za Hugo Jacksonem.

– Jak się czujesz? – Nie bardzo wiem, jak zacząć rozmowę.  
– A jak ci się wydaje?  
– Pewnie kijowo?  
– Skąd wiedziałas?  
– Czy to dlatego, że... – To trudne pytanie, ale i tak je zadaję, bo najwyraźniej lubię pchać palce między drzwi. – Czy to przez Dana, Carmen i... całą resztę?  
– Pytasz mnie o to dlatego, bo chcesz być miła? Czy po prostu zamierzasz mi dokopać?  
– Nigdy bym się tak nie zachowała.  
Słyszę, jak wyciera nos.  
– Hanno, ja nie mam pojęcia, jak byś się teraz zachowała. Ostatnio rozmawialiśmy ze sobą latem. Wspomnienia Dana i Jake'a unoszą się między nami jak duchy.  
– To Dan pierwszy do mnie uderzył – rzuca Lizzie w wolną przestrzeń pozostawioną przez nasze myśli. – Nie na odwrót, jak się wszystkim wydaje.  
Chyba to wiem. Wydaje mi się, że wiedziałam o tym już od jakiegoś czasu.  
– Domyślam się, że uderzał także do Carmen i Vashti – mówię.  
– Co ty nie powiesz.  
– A tak poza tym – odzywam się po chwili – jak ci idzie w college'u?  
– Bajecznie. A tobie?  
– Doskonale.  
Obie zaczynamy się śmiać, bez większego przekonania, bo chyba obie wiemy, że nie mówimy szczerze.  
– Co u twojego brata? – pyta Lizzie.  
– Szczerze mówiąc, trochę dziwnie się ostatnio zachowuje. Parę tygodni temu rzucił swoją dziewczynę, bo zdradzała go z jego najlepszym przyjacielem.  
– No nieźle.  
Gryzę się w język, zanim wyrwie mi się coś o dziewczynach idących w tango z chłopakami swoich najlepszych przyjaciółek. Jest już o wiele za późno, żeby w to brnąć.  
– Twój brat jest takim ciachem, że nie będzie długo sam – stwierdza Lizzie. – Połowa dziewczyn w college'u się w nim kocha.  
– Nadal chcesz być architektem? – pytam.  
– Zapytaj mojego nauczyciela matematyki po egzaminach. A ty kim chcesz być?  
– Nie wiem – przyznaję. – I zaczyna mnie to martwić.  
– Masz głowę na karku. Na pewno coś wymyślisz.  
– Miło wiedzieć, że ktoś tak uważa.  
Na moment zapada cisza.  
– Chociaż to Dan zaczął – odzywa się ze skrępowaniem Lizzie – i tak powinnam cię chyba przeprosić. Myślałam, że nie jesteśmy już przyjaciółkami, więc wydawało mi się, że to nic takiego. Ale może nie miałam racji, więc – przepraszam.  
Przełykam gulę w gardle i czekam, aż wspomni o Jake'u i tamtym letnim przyjęciu.  
– Opowiedz mi o tym chłopaku, z którym zawsze jesteś – prosi zamiast tego Lizzie. – Spotykacie się?  
A więc nie zamierza mnie przeprosić za Jake'a. Pewnie dlatego, że tamto wydarzyło się wieki temu. Wtedy wydawało mi się to bardzo ważne, ale teraz Jake jest po prostu Jake'em i nie mogę uwierzyć w to, że w ogóle z nim chodziłam.  
Dziwnie się czuję, tłumacząc Lizzie swoją relację z Solem, ale robię co mogę.  
– Czyli jesteście przyjaciółmi i nic do siebie nie czujecie – podsumowuje Lizzie – a mimo to wściekasz się, że spotyka się z Carmen?  
– Wściekam się, bo nie powiedział mi o tym, że spotyka się z Carmen – poprawiam ją. – Już wcześniej się spotykali i wtedy też o niczym nie wiedziałam. Dziwne, że jej ojciec się na to godzi. Pamiętasz, że kiedyś nie mogła nawet wychodzić w weekendy?

– To z powodu jej konia. Zawsze musiała go brać na przebieżki, czyścić z gnoju, i co tam jeszcze robi się z końmi.

– Dobra wymówka, nie?

– Chcesz powiedzieć, że szef policji Mendoza podarował córce konia, żeby nie mogła nigdzie wychodzić w weekend?

– Dokładnie tak.

– Dobrze, że moi rodzice na to nie wpadli – mówi Lizzie z przejęciem.

– Na tym polega problem z ojcem policjantem. Już on wie najlepiej, co w weekendy wyprawiają nastolatki.

Od dawna nie czułam się tak odprężona. Jak to możliwe, że tyle zwlekałyśmy z tą rozmową?

– A skoro szef policji jest gotów kupić swojej córce konia, żeby nie chodziła na randki z chłopakami, to zastanawiasz się, jakim cudem pozwolił Carmen umawiać się z Danem i Solem? – domyśla się Lizzie.

– Och, z Danem to proste – odpowiadam. – Pan Dukas i szef policji Mendoza się ze sobą przyjaźnią. Czy można sobie wyobrazić lepszego chłopaka dla córki niż syn twojego partnera od golfa? A Sol to... po prostu Sol.

– Nie sądzę, żeby pan Dukas i szef policji Mendoza nadal wspólnie grali w golfa – zauważa Lizzie. – Czy przyjaźniłabyś się z facetem, którego syn publicznie rzucił twoją córkę? Rodzice też mają uczucia.

Przypomina mi się okropna scena z moją mamą i jej zniszczoną sukienką.

– I to jeszcze z tą zdzirowatą Vashti Wong – dodaje.

Nic na to nie mówię.

– Przepraszam – odzywa się po chwili. – Wiem, że jest twoją przyjaciółką.

– Nie nazwałabym jej przyjaciółką. Raczej sojuszniczką.

– Chyba rozsądnie jest ją mieć po swojej stronie. Wiem z doświadczenia.

– Czy gniewasz się na mnie? – zbieram się na odwagę.

Lizzie głośno wzdycha.

– Jestem na ciebie cholernie wściekła. Porzuciłaś mnie jak jakiegoś starego kundla. W jednej sekundzie byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami, a w drugiej zostawiłaś mnie na rzecz nowiutkiej paczki.

Mocno zaciskam palce na telefonie.

– Przepraszam – mówię. – Trixie opowiadała różne rzeczy, a w pierwszym tygodniu college’u byłam taka skołowana...

– Co takiego opowiadała Trixie?

Równie dobrze mogę jej to powiedzieć i oczyścić atmosferę.

– No wiesz. O tym, co zrobiłaś latem z Jake’em.

Po drugiej stronie linii zapada martwa cisza i nagle dociera do mnie to, czego powinnam się była domyślić już dawno: że Lizzie i Jake’a nigdy nic nie łączyło.

– Lizzie – odzywam się z niepokojem. – Jesteś tam?

– Nie dzwoń do mnie więcej.

W uszach dudni mi sygnał przerwanej linii i trwające pół roku kłamstwo Trixie Logan.



# Sol

Nie odpisała. Chociaż żart o oponach wydał mi się całkiem zabawny.

Nie powinienem myśleć o Hannie przed randką z Carmen. Nie odkryła we mnie jeszcze nudnego niedorajdy, ale jeśli się nie ogarnę, wkrótce to zrobi. Przywołuję w pamięci obraz jej gęstych, ciemnych, niesamowicie pachnących włosów, żeby pomógł mi się skoncentrować na tym, co istotne.

Rzucam się na dzwoniący telefon. Wiedziałem, że żart z oponami się opłaci.

– Solomon? – odzywa się w słuchawce Carmen.

– Cześć – mówię zaskoczony.

– Czy możemy zmienić plany? Mój ojciec chciałby cię poznać.

– Twój ojciec? – powtarzam.

– Przepraszam, jest bardzo opiekuńczy – mówi wyraźnie zawstydzona.

Wyobrażam sobie pana Mendozę jako boksera z epoki wiktoriańskiej, w obcisłej kamizelce i z wielkimi nawoskowanymi wąsami.

– Powinienem się go bać? – pytam w nadziei, że się roześmieje.

– Tak – odpowiada krótko.

Droga ode mnie do domu Carmen zajmuje około piętnastu minut. W noc osiemnastki Dana wydawało mi się, że trzy, ale chyba napędzały mnie wtedy adrenalina i zachwyty. Teraz potrzebuję trochę czasu, żeby zebrać myśli. Tak się składa, że jestem w idealnym miejscu.

– Daj mi pół godziny – mówię, patrząc na schody prowadzące na kładkę. Nie ma to jak zanurzyć się przez moment w życiu innych ludzi, żeby nabrać dystansu do własnego.

– Dziękuję. Jest na posterunku.

Zastygam ze stopą na pierwszym schodku.

– Na posterunku?

– Policyjnym.

– I chce się ze mną spotkać?

– Tak. W cztery oczy. Przykro mi. Napisz do mnie, jak już będzie po wszystkim, okej?

Chociaż wieje silny wiatr, jak zwykle opieram ramiona o poręcz, kładę brodę na złączonych rękach i próbuję się uspokoić. Peron pode mną jest pełen ludzi, na stację właśnie wjeżdża pociąg do Londynu. Pary się całują, starsze panie sprzecząją, jakiś koleś siłuje się ze składanym rowerem, który za nic złożyć się nie chce. Nagle przed oczami miga mi coś czarnego; przez peron przebiega kot. Wygląda trochę jak Nigel. Staram się oczyścić umysł, myśląc o rozmaitych historiach i możliwych punktach widzenia. Wyciągam telefon i filmuję przez chwilę, robiąc zbliżenia na interesujące twarze i nakrycia głowy. W myślach kielkuje mi pomysł na film łączący w sobie prawdziwe nagranie z animacją poklatkową. Mam nadzieję, że pożyję dostatecznie długo, aby go zrealizować.

– Mendoza, policja – instruuje telefon, trzymając go blisko ust, żeby nie było słycać szumu wiatru.

*Alex Mendoza został szefem policji w Surrey w lutym 2012 roku. Karierę rozpoczynał w Metropolicarnej Służbie Policijnej, po czym przeniósł się do Krajowej Kryminalnej Służby Wywiadowczej, gdzie pełnił funkcję nadinspektora. W 2002 roku z nieposzlakowaną opinią przeniósł się do Surrey, gdzie nadzorował wiele operacji o zasięgu ogólnokrajowym. W 2009 roku na krótko powrócił do MSP. W 2010 roku został nagrodzony Medalem Królowej za wybitną służbę.*

O mój Boże. Tata Carmen jest RoboCopem.

Szef policji Mendoza patrzy na mnie z za wielkiego brązowego biurka. Ma ogromne ręce. Naprawdę gigantyczne. Mógłby nimi zagarniać całe kontynenty.

– A więc to ty stanąłeś w obronie mojej córki w zeszłym tygodniu – mówi.

– Chyba tak. Sir – dodaje po chwili namysłu.

Zdaje się, że mu się to podoba.

– Moja córka jest tobą mocno zauroczona – kontynuuje. – Na pewno nie wykorzystasz jej wdzięczności w nieodpowiedni sposób.

– Nigdy bym tego nie zrobił – odpowiadam urażony.

Szef policji nachyla się w moją stronę.

– Ze mną nie ma żartów – mówi.

Przez chwilę wyobrażam sobie jego biurko pokryte akcesoriami klauna.

– A ja nie wykorzystuję dziewcząt. – Staram się wytrzymać jego spojrzenie. – Sir.

Żywy lub martwy, i tak pójdziesz ze mną. Han rozpoznałaby ten cytat. Nie myśl teraz o Han – upominam się. Ten facet pewnie potrafi czytać w myślach.

Szef policji Mendoza przygląda mi się w milczeniu; mam wrażenie, że trwa to z półtora roku, ale jeśli wierzyć zegarowi wiszącemu na ścianie za jego wielgachną głową – tylko trzy sekundy.

– Oto zasady – mówi wreszcie. – Żadnych randek w dni szkolne. Nie wozisz nigdzie mojej córki samochodem. Nie zabierasz jej do pubu. Nie pijesz alkoholu w jej obecności.

– Ja nie piję, sir. Mam dopiero siedemnaście lat.

– Nie narażasz jej na niebezpieczeństwo – kontynuuje, jakbym wcale się nie odezwał – nie poniżasz ani nie dopuszczasz do sytuacji, która postawiłaby mnie w złym świetle. Czy to jasne?

Myślę o Danie Dukasie, który mógłby mnie oskarżyć o pobicie. Coś mi jednak mówi, że nie nastąpi to w najbliższym czasie. Staram się tym pocieszyć, to lepsze od paraliżującego strachu.

– Jasne jak słońce – mówię.

Kiwa głową.

– Carmen czeka na ciebie w Costa – mówi, wracając wzorkiem do sterty papierów leżących na biurku. – Nie spóźnij się.

Chyba mogę odmaszerować.

*Nie zawieź publicznego zaufania, chroń bezbronnych, przestrzegaj prawa.* Po wyjściu z posterunku policji wysyłam SMS do Carmen, tak jak prosiła. Dzwoni mój telefon. Odbieram drżącymi rękami.

– Miałaś rację co do swojego taty – mówię.

– A co z nim?

Powinienem w końcu zacząć sprawdzać, kto do mnie dzwoni.

– Przepraszam, Hanno. Myślałem, że to Carmen.

Z telefonu wieje chłodem.

– Przykro mi, że cię rozczarowałam – odpowiada sztywno Hanna.

– Możemy zacząć jeszcze raz? – mówię szybko, póki się nie rozłączyła. – Przepraszam, że nie powiedziałem ci wcześniej o Carmen, ale to się dopiero zaczęło i...

– Nieważne, Sol. Muszę z tobą pilnie porozmawiać. Stało się coś złego. Cóż, właściwie stało się to kilka miesięcy temu, ale muszę sobie pewne rzeczy poukładać. Czy możemy się spotkać?

O rany. Ale niezręczna sytuacja.

– Jestem w drodze do Costy. Umówiłem się tam z Carmen...

– Ach tak. – To jej „ach tak” rani mnie jak nóż.

– Ale możemy się spotkać później, jeśli...

– Nieważne.

Rozłączyła się. Czy powinienem do niej oddzwonić? Oczywiście, że tak. Zrobię to. Nie, chwileczkę, jestem zbyt blisko posterunku. Nie mogę dzwonić do innej dziewczyny w drodze na randkę z córką szefa policji. Dowiedziałby się o tym; w końcu jest z *policji*. Od razu poczułby... zapach oszustwa przez okno swojego biura. Przypominam sobie jego gigantyczne ręce.

Ale Hanna miała taki głos, jakby naprawdę ją coś gryzło. I nie było to zmartwienie w rodzaju: „Nie mam się w co ubrać” ani nawet „Dan całuje się z Lizzie Banks”. Sprawiała wrażenie poważnie zaniepokojonej.

Oddzwaniam do niej, kiedy jestem już na High Street. Nie odbiera. Część mnie oddycha z ulgą. Hanna nie może teraz powiedzieć, że nie próbowałem. Próbuję przekonać samego siebie, że to po prostu

kolejny z emocjonalnych kryzysów Hanny. Ten jeden raz będzie się z nim musiała uporać sama, bo ja mam RANDKĘ.

Jestem tak zamyślony, że wpatruję się w machającą do mnie zza okna Costy Carmen przez bite trzy sekundy, zanim przypominam sobie o tym, żeby jej odmachać.

## Hanna

– Fajny telefon.

Otrząsam się z zamyślenia.

– Co takiego?

Vashti postukuje długim czerwonym paznokciem w mojego smartfona.

– Powiedziałam, że fajny telefon.

Zastanawiam się nad poprawną odpowiedzią. „Dzięki” powinno być okej, ale nie jestem tak zupełnie pewna, co ma na myśli Vashti, mówiąc „fajny telefon”. „Stary rzęch, ale daje radę” – ryzykowne, bo telefon rzeczywiście może jej się podobać. Laura powiedziała by pewnie: „Szkoda, że mama nie kupiła mi iPhone’a”, więc może to jest prawidłowa reakcja, tylko że ja naprawdę lubię swój telefon, na dodatek całkiem sporo kosztował. „Twój też” można zrozumieć dwojako: Vashti mogłaby pomyśleć, że z niej żartuję albo docenić mój komplement.

Zanim udaje mi się odpowiedzieć, Vashti odwraca się do Laury. Rozmawiają przez chwilę o wspólnych koleżankach ze szkoły, sącząc latte z odtłuszczonym mlekiem i kompletnie o mnie zapominając. I dobrze. Mam o czym myśleć.

Pojawia się Trixie; przemierza stołówkę w połyskliwych balerinach, które widziałam w weekend na wystawie i sama chciałam sobie kupić. Serce zamienia mi się w mały twardy kamyk. Próbowałam dzwonić do Trixie z mojego fajnego/niefajnego telefonu tuż po tamtej okropnej rozmowie z Lizzie – a właściwie tuż po prawie-tak-samo-okropnej rozmowie z Solem – ale nie odebrała, a ja nie odważyłam się do niej zadzwonić jeszcze raz, bo, szczerze mówiąc, nie wiedziałam, co jej powiedzieć. „Trixie, czy ty mnie okłamałaś w sprawie tego, co robili latem Lizzie i Jake?” – brzmiało w mojej głowie zbyt ostro. Sol wiedziałby, co powiedzieć, ale najwyraźniej był zbyt zajęty obściskiwaniem się z Carmen nad piernikową latte, żeby do mnie oddzwonić.

– Cześć, skarbie – wita ją Vashti. – Ładne buty.

– Dzięki – odpowiada z zadowoleniem Trixie.

– Prawie je kupiłam – ciągnie Vashti – ale znalazłam ładniejszą parę w The Courtyard.

Wysuwa w naszą stronę smukłą kostkę, żebyśmy mogły podziwiać jej eleganckie srebrne baleriny z dżetami na paskach. Cieszę się, że nie odpowiedziałam „dzięki” na uwagę Vashti o moim telefonie.

– Przesuń się, Hanno – zwraca się do mnie po chwili Trixie. – Boże, tego ranka prawie nie mogłam się ruszyć. Weekend był *szalony*.

Laura śmieje się z czegoś, co mówi Vashti. Żadna z nich nie kontynuuje wątku rozpoczętego przez Trixie.

– Z czego się śmiejecie? – pytam, kiedy Trixie bierze duży łyk swojej odtłuszczonej latte.

Vashti macha ręką.

– Chodzi o coś, co powiedział mi wczoraj w lesie Dan.

Obie z Laurą chichoczą, a Trixie posyła mi jedno z tych swoich współczujących spojrzeń. Spuszczam wzrok na kawę. Jak ja nienawidzę latte z odtłuszczonym mlekiem.

– Trix, twoje włosy wyglądają niesamowicie – odzywa się Vashti.

Trixie unosi rękę do czarnych loków i uśmiecha się niezobowiązująco. Widzę, że nie zamierza drugi raz powtórzyć tego samego błędu.

– Han – zwraca się do mnie – czy ty przypadkiem do mnie wczoraj nie dzwoniłaś? Oddzwoniłabym, ale robiłam coś totalnie szalonego i totalnie o tym zapomniałam.

Nie mam nastroju, żeby zastępować Vashti i pytać o weekendowe szaleństwo Trixie.

– Trix – zaczynam. – Kojarzysz Lizzie?

Trixie wygląda na zaskoczoną.

– Lizzie Banks? Boże, nie wiem, dlaczego o nią pytasz, po tym co ci zrobiła.

Obraz Lizzie całującej Dana – Dana całującego Lizzie – przelatuje mi przed oczami.

– A pamiętasz, co się stało latem? – kontynuuję.

Trixie posyła Vashti i Laurze ukradkowe spojrzenie.

– Tamto lato było niesamowite, co? Pamiętacie imprezę nad basenem u Steviego?

– Mówiłaś mi, że Jake i...

Wtedy zauważam w korytarzu znajomy chód Lizzie i urywam. Jej cygańska spódnica jest tak długa, że wlecze się po ziemi. Spod rąbka wystrzępionego czerwonego materiału wystają buty przypominające dwa duże czarne żuki. Nie patrzy w moim kierunku, chociaż wiem, że ona wie, że tam siedzę. Jestem jednocześnie zła i smutna.

– Boże – odzywa się Vashti. – Co Lizzie Banks ma na sobie?

– Halloween było sześć miesięcy temu – dodaje Trixie.

– Właściwie to pięć – mówi Laura, zerkając na Vashti.

– Pamiętasz, Trixie, jak powiedziałaś mi, że latem... – próbuję jeszcze raz.

– Trix. – Vashti kładzie dłoń na jej kościstym nadgarstku. – Chcesz pojechać ze mną wieczorem do lasu? Dan będzie jeździł na motocyklu.

Trixie aż się rumieni ze szczęścia.

– Boże, byłoby super! – mówi, jakby oglądanie Dana Dukasa telepiącego się po lesie na motorze i obściskującego się z Vashti w przerwie między kolejnymi okrążeniami było szczytem jej marzeń.

Spojrzenie, które posyła mi Vashti, jest raczej wyzywające niż zapraszające.

– Oczywiście też możesz przyjść, Hanno, skarbie – mówi. – Decyzja należy do ciebie. Nie chcę cię stawiać w krępującej sytuacji.

Wyobrażam sobie Steve'a McQueena prującego przez Alpy na swoim triumfie 6 w *Wielkiej ucieczce*. Obserwowanie wyczynów Dana byłoby znacznie zabawniejsze, gdyby dorzucić trochę kolczastego drutu i paru rozwścieczonych niemieckich żołnierzy. Raz jeszcze patrzę za oddalającą się Lizzie.

– Chętnie – mówię, zmuszając się do upicia swojej latte. Jest chudsza niż piegowate ręce Laury.

## Sol

Han wygląda na przemarzniętą na kość, gdy tak stoi w ciemności na moich frontowych schodach.

– Mogę wejść? – pyta, szczerkając zębami z zimna.

Zamykam jej drzwi przed nosem i pędzę na górę, przeskakując po trzy stopnie naraz. Moja ostatnia partia papierowych figurek wala się po całym pokoju: na biurku, na podłodze, na półce z książkami. Tym razem nie robię filmu dla Hanny, ale nie trzeba być geniuszem, żeby na ich widok wszystkiego się domyślić.

Frank siedzi na moim biurku, jeśli można tak powiedzieć.

– Skąd ten pośpiech? – pyta, zaglądając do swojej kamerki internetowej. – Hej, czy to są twoje nowe figurki? Mogę zobaczyć? Moje zawsze bardziej przypominają modliszki niż ludzi. Tak się tym frustrowałem, że pan Yamauchi kazał mi wrócić do królików.

Wrzucam figurki do pudełka szybciej i mniej delikatnie niż zwykle.

– Nie masz własnego życia? – pytam, wpychając pudełko z obciążającymi dowodami na dno szafy, i ściągam telefon ze statywu.

– Lucy Shapiro trzyma je w takiej małej śniegowej kuli, podobnej do tych z wieżami parlamentu, które przywozi się z Londynu.

– To uczucie nie ma żadnych szans, Frank – mówię. – Im szybciej się z tym pogodzisz, tym lepiej.

Wyłączam Franka, składam statyw i pędzę z powrotem po schodach. Kiedy ponownie otwieram drzwi, Hanna jest już w połowie ulicy. Może zamknięcie jej drzwi przed nosem nie było najmądrzejszym pomysłem, ale co innego miałem zrobić? Gdyby weszła do mojego pokoju, wszystko by zobaczyła.

– Hanno! – wołam.

Biegnę za nią, chociaż nie mam na nogach butów. Chodnik jest zimny, i wiem, że pies sąsiadów mieszkających dwa domy dalej, załatwia na nim swoje potrzeby – to chyba świadczy o tym, jak bardzo mi zależy na tym, żeby ją zatrzymać. W połowie drogi wyskakuje na mnie Nigel, zatapia zęby w mojej nagiej kostce i ponownie znika w ciemności jak wampir.

Słyszając moje zawodzenie, Hanna zatrzymuje się i odwraca. Krzywi się. Podchodzi do mnie, a ja mocno ją przytulam. Czuję na twarzy lodowato zimny dotyk jej włosów. Cholernie boli mnie kostka.

– Przyszłam nie w porę? Jest u ciebie Carmen? Zastanawiałam się, czy... – Patrzy mi w twarz i się czerwieni. – Wyglądałeś na zszokowanego i pobiegłeś na górę. Pomyślałam, że może Carmen... no wiesz. Jest w twoim pokoju.

Wyobraziłem sobie Carmen na moim łóżku. A później wyobraziłem sobie twarz szefa policji Mendozy.

– Jej tata by mnie zabił – mówię.

Hanna wygląda, jakby jej ulżyło.

– W szkole Carmen była naprawdę urocza. Cieszę się, że do siebie wróciliście. Przepraszam, że tak dziwnie się zachowywałam. To chyba dlatego, że trzymałeś to przede mną w sekrecie. Przyniekasz, że nigdy więcej nie będziesz miał przede mną tajemnic?

Wyobrażam sobie, jak moje filmy i figurki wypalają powoli dziurę w ścianie szafy.

– Postaram się – mówię.

Chwytam lodowate palce Hanny i prowadzę ją z powrotem w stronę ciepłego światła płynącego z mojego korytarza. Dlaczego, u diabła, nie ma na sobie płaszcz?

Po wejściu do domu Hanna płacze przez dobre pięć minut. Stoję i czekam, czując się okropnie. Ile może się wydarzyć w ciągu tygodnia?

– Napijesz się herbaty? – pytam, kiedy przestaje płakać.

Pociąga nosem z wdzięcznością.

– Masz pełnotłuste mleko?

Zabieramy herbatę do mojego błyskawicznie wysprzątanego pokoju, gdzie Hanna o wszystkim mi opowiada. Staram się za nią nadażyć, ale gubię wątek gdzieś w okolicy balerinek Trixie.

– A więc zadzwoniłaś do Lizzie? – cofam się do ostatniej informacji, która miała dla mnie jakikolwiek sens.

– I było to bardzo miłe, wiesz? Rozmawiałyśmy jak kiedyś, a potem powiedziałam jej o tym, czego dowiedziałam się od Trixie na temat jej i Jake’a. – Hanna z westchnieniem sięga po chusteczkę. – To jasne, że nigdy nie zrobiła tego, o co oskarżała ją Trixie. Co ze mnie za przyjaciółka, skoro w to uwierzyłam? Lizzie wiedziała, że się z nim spotykam, i nigdy nie zrobiłaby mi takiego świństwa. Gdy tylko to powiedziałam, dotarło do mnie, że nie mam racji, ale ona już się rozłączyła...

– Wróćmy jeszcze do tych balerin Trixie – proszę. – Czy ona zaczęła ćwiczyć taniec?

Hanna patrzy na mnie i zaczyna się śmiać. Uspokaja się dopiero po jakichś pięciu minutach, podczas których kilkakrotnie uderza pięścią w stół i powtarza słowo „baleriny”.

– Boże – odzywa się wreszcie, ocierając oczy chusteczką, i upija łyk herbaty z mlekiem. – Ale z ciebie idiota.

– Wiem o tym. – I nadal nie mam pojęcia, o co chodzi z tymi balerunami.

– Myślisz, że Carmen uznałaby to, co nas łączy, za dziwne? – pyta Hanna. Wypiliśmy herbatę, a teraz leżymy na moim łóżku.

Biorę kosmyk jej włosów i owijam go sobie wokół palca. Ześlizguje się z niego jak woda. Włosy Carmen są grubsze i bardziej sprężyste; pewnie dlatego, że się kręcą.

– Carmen to zrozumie, ale nie wiem, co z jej tatą.

Chociaż mówię to w żartach, Hanna wygląda na zaniepokojoną.

– Nie mów mi, że nie możemy się więcej spotykać, Sol. Chyba bym tego nie przeżyła – wyznaje szczerze. – Nie masz pojęcia, jak mi było źle bez ciebie.

Miło jest się czuć pożądanym. Przez chwilę pławię się w tym uczuciu.

– W porządku, Han, naprawdę.

– Mówiłaś jej o mnie? Co powiedziała? Pamięta mnie ze szkoły? Jest taka ładna i miła.

– Ty też.

Hanna kręci głową.

– Han, jesteś idealna – tłumaczę jej cierpliwie. – Masz śliczne włosy, jesteś miła, masz proste zęby i jesteś zabawna, twoje oczy są barwy szafirów, a poza tym masz w pełni sprawne ciało. Powinnaś być z tego dumna.

– Nie jestem idealna – jęczy Hanna. – Mam obsesję na swoim punkcie. Jestem kiepską przyjaciółką.

– No tak, ale...

– Nie powinienes się z tym zgadzać.

– Co chcesz ode mnie usłyszeć? „Wcale taka nie jesteś, skarbie”. Oboje wiemy, że to nieprawda.

Hanna wygląda na dziwnie dotkniętą.

– Nie mów do mnie „skarbie”.

– Wydawało mi się, że dziewczyny tak się do siebie zwracają.

– Ale ty nie jesteś dziewczyną.

– Zauważyłaś to, skarbie?

– Proszę, nie żartuj tak.

Wygląda, jakby się miała znowu rozplakać, więc nic już nie mówię. To miłe, że znowu tu jest, a ja nie mam już ochoty rzucić się na nią z jęczorem. Wreszcie możemy się przyjaźnić bez podtekstów. Hanna może za to podziękować Carmen.

Wstaje z łóżka.

– Lepiej już pójdę.

Jeśli to zrobi, będę mógł poustawiać figurki na miejscach i może nawet nakręcić kilka sekund filmu przed kolacją. Mam też trochę zaległości w nauce, którymi powinienem się zająć. Ostatnio coraz trudniej jest mi się skupić na szkole.

– Jasne – mówię, również wstając.

– Dobra. No to idę.

– Chyba właśnie to miałaś na myśli, mówiąc „lepiej już pójdę”?

Hanna nadal stoi w progu. Ku mojemu przerażeniu widzę papierową figurkę leżącą na dywanie tuż za drzwiami.

– Myślisz, że powinnam znowu zadzwonić do Lizzie? – pyta.

Jeśli nie przestanę się gapić na figurkę, Hanna podąży za moim wzrokiem i też ją zauważy.

– Przeprosiłam mamę za sukienkę. I staram się pytać mamę, Jamesa i Raza, co u nich, za każdym razem, gdy ich widzę. Z początku wydawało im się to trochę podejrzane, ale już się przyzwyczaili. Zostaje mi już tylko sprawa z Lizzie. Naprawdę staram się nie myśleć ciągle o sobie, tak jak mi kazałeś.

Nie pamiętam, żebym jej mówił coś takiego.

– Świetnie – mówię, powtarzając sobie w myślach: tylko nie patrz na podłogę. I nie otwieraj szerzej drzwi, bo zmiążdżysz tego ludzika, a zrobienie nowego zabierze mi całe wieki.

– Dzięki, Sol. Za wszystko.

Robi krok do przodu, mijając maleńką figurkę o ledwie kilka centymetrów, i mnie przytula.

– Za dwa tygodnie spotykamy się u mnie na wieczorze filmowym – przypominam jej i się odsuwam.

– Co to będzie?

– Klasyk.



24 kwietnia

Czy ten film nie jest jakiś strasznie stary?

Przecież mówiłem, że klasyk. A to zwykle oznacza *stary*.  
Smutny?

Miażdżący.  
Czy ktoś umiera?

Wszyscy umierają. Wewnętrznie.  
Pomaluję rzęsy wodoodpornym tuszem!

Założ zawadiacki kapelusz. I nie zapomnij o akcencie z wyższych sfer. Sorry, muszę lecieć.  
Do co w sobotę?

Nie będzie mnie w domu.  
A w niedzielę?

Pogadamy jutro.  
OK! Serwus szanownemu panu!!

(Widzę, że gadam do siebie!!)

\* \* \*

SPOTKANIE (1945)

Reżyseria: David Lean

Scenariusz: Noël Coward

W drodze powrotnej z zakupów w pobliskim miasteczku zameżna gospodyni domowa Laura Jesson (Celia Johnson) poznaje na peronie cnotliwego lekarza Aleca Harveya (Trevor Howard). Podczas ich cotygodniowych spotkań przelotna znajomość zamienia się w coś więcej. Oboje muszą stawić czoło potencjalnemu zamętowi, jaki ich pogłębiająca się relacja może wprowadzić w życie kochanych przez nich osób.

Scenariusz powstał na podstawie jednoaktowej sztuki Noëla Cowarda *Still Life* z 1936 roku. Muzycznym motywem przewodnim filmu jest Koncert fortepianowy nr 2 Siergieja Rachmaninowa.

4 maja  
Hanna

Znów stoję przed Diabelskim Zakrętem, cała obsypana piachem. Przynajmniej tym razem wieczór jest przyjemny i brak płaszcza nie stanowi problemu. Słońce prześwieca przez wysokie sosny, jasne promienie łączą się między gałęziami.

– Trixie, oglądałaś kiedyś *Spotkanie*? – pytam.

Trixie poprawia swoje ogromne okulary przeciwsłoneczne, w których wygląda trochę jak mucha. Stoi w cieniu, więc nie jestem pewna, po co w ogóle są jej potrzebne.

– A co to jest, skarbie, jakiś kanał na YouTube?

– Film. Naprawdę smutny. I bardzo znany. Oglądałam go z Solem któregoś dnia. Opowiada o dwojgu ludzi, którzy już kogoś poślubili, ale zakochują się w sobie na stacji kolejowej.

– Noszą kurtki z kapturem jak te dziwadła z lornetkami i notesami?

Myślę o kapeluszu Celi Johnson, leżącym idealnie na jej głowie, i o malującym się na jej twarzy potwornym żalu, kiedy jej przyjaciółka trajkocze jak najęta, a Trevor Howard zostawia ją na zawsze, na pożegnanie w milczeniu ściskając jej ramię.

– Nie – mówię.

Vashti stoi obok nas, w jeszcze większych okularach niż Trixie.

– Wszystko w porządku, Vash? – pyta współczująco Trixie.

– A dlaczego pytasz? – dziwi się Vashti.

Trixie przekrzywia głowę.

– Musi ci być ciężko patrzeć na Dana i Laurę. Naprawdę świetnie sobie radzisz. Prawdę powiedziawszy, nie mogę uwierzyć, że dzisiaj przyszedł. Jak przeczytać niektóre komentarze w Internecie... Aż trudno uwierzyć, jacy ludzie potrafią być wredni.

– Szczerze mówiąc, zaczynał mnie już nudzić – odpowiada Vashti.

– No jasne, że tak, skarbie. – Trixie poklepuje ją po ramieniu.

Jake Molino zbliża się do nas z piskiem opon. Jedzie na wyprostowanych nogach i zarzyna silnik swojego motocykla, żeby nam zaimponować. Vashti zsuwa okulary i posyła mu znad nich przeszywające spojrzenie. To miejsce na szlaku nie od parady nazywa się Diabelskim Zakrętem. Jake prawie wpada na drzewo.

– Dan to już historia – mówi Vashti z satysfakcją.

Zza Jake'a na swoim motorze wyłania się Steve.

– Dajesz, Stevie! – krzyczy Trixie. Jej chłopak macha, gdy mijają nas z rykiem silnika, a ona zaczyna się bawić okręconym wokół szyi szalikiem. – Kupił mi go wczoraj – zwierza mi się dostatecznie głośno, żeby Vashti też mogła ją usłyszeć. – Miło, że po pięciu miesiącach nadal za mną szaleje, prawda? Ups, przepraszam, Vashti – dodaje, robiąc zasmuconą minę. – Tak jakby chciało ci się tego słuchać akurat *teraz*!

Dociera do mnie, że Trixie rozkoszuje się swoją przewagą, tak samo jak wtedy, gdy zerwaliśmy z Danem. Chwilą triumfu, szansą bycia numerem jeden w naszej paczce. Robi mi się od tego trochę słabo.

– Trixie, dlaczego okłamałaś mnie w sprawie Lizzie? – pytam.

– Co masz na myśli? – pyta Trixie, odwracając się z powrotem w stronę tego, co dzieje się na szlaku. – Sama widziałaś, jak się obściskowała z Danem.

– Nie mówię o Danie, tylko o Jake'u i Lizzie latem.

Trixie patrzy najpierw na Vashti, a później na mnie.

– Powiedziałaś ci o Jake'u i Lizzie Banks dla twojego własnego dobra, skarbie.

– Nieprawda. – Akurat tego jestem pewna.

– Możesz mi wierzyć, że tak. Lizzie Banks nie miała szans na powodzenie w college'u z tymi swoimi dziwacznymi ciuchami i zachowaniem.

– Lizzie była twoją *przyjaciółką*, kiedy chodziłyśmy do szkoły – mówię zbulwersowana. Jak Trixie może wygadywać takie rzeczy? – Podobnie jak moją. Dlaczego tak o niej mówisz?

– Porozmawiamy o tym później, Hanno.

Czuję na sobie przenikliwy wzrok Vashti.

– Nie chcę rozmawiać o tym później, tylko teraz. Dlaczego uwzięłaś się latem na Lizzie? Dlaczego skłamałaś o niej i Jake’u? Nic ich ze sobą nie łączyło, prawda?

Twarz Trixie zmienia wyraz, jak u jednej z tych gumowych rozciągliwych pacynek, które można kupić w sklepie ze śmiesznymi rzeczami.

– Prawda? – naciskam, nieustępliwa niczym Terminator w *Terminatorze 2*. Wszyscy wiedzą, że ten koleś z płynnego metalu był znacznie bardziej zawzięty niż Arnie w *Terminatorze 1*.

Trixie łapie mnie za ramię i odciąga kawałek dalej, między sosny, gdzie unosi się silny zapach żywicy i psich kup.

– Powinnaś mi dziękować – mówi, najwyraźniej nie mogąc oderwać wzroku od Vashti. – Dzięki mnie w tym roku ludzie cię *akceptują*, Hanno. W college’u wszyscy na nas patrzą, wyrabiają sobie opinię na nasz temat. Nasze potknięcia, nasze ciuchy, nasze telefony, to, z kim się zadajemy – to wszystko ma znacznie większe *znaczenie* niż miało w szkole. Nie chcesz być kimś, z kim inni się liczą? Bo ja chcę. – Wyjmuje błyszczak i nakłada go na wargi szybkimi, nerwowymi ruchami. – Ludzie mówią o nas to, co powinni. Dostajemy zaproszenia na imprezy, zdobywamy chłopaków.

– Raczej ty zdobywasz moich chłopaków. – Ledwo rozpoznaję własny głos. – Przejęłabyś Dana w pół sekundy, mam rację? Gdyby tylko okazał ci zainteresowanie. Biedny, oddany Stevie.

Twarz Trixie jeszcze bardziej się wykrzywia.

– Nie wszyscy są tak po prostu ładni i popularni jak ty. Niektórzy muszą na to ciężko pracować.

Prawie wybucham śmiechem. Nie czuję się ładna, a już z pewnością nie popularna. Nie wśród ludzi, którzy się liczą.

– W każdym razie – ciągnie Trixie – nie zgrywaj mi tu niewiniątka. Wiesz, że tak to działa. Skoro zależało ci na przyjaźni z Lizzie Banks, to dlaczego kopnęłaś ją w tyłek, gdy tylko poszłyśmy do college’u, opierając się na jakiejś plotce, którą być może usłyszałaś od mnie?

Nic mi nie przychodzi do głowy. Na jakimś głębokim i naprawdę przerażającym poziomie ma niestety rację.

Trixie głośno zamyka błyszczak.

– A teraz – ciągnie – mam chłopaka i całe życie przed sobą. Wróćmy do Vashti i udawajmy, że ta rozmowa nigdy się nie odbyła.

– Zawsze byłaś na marginesie, co? – mówię, otrząsając się z szoku. – Łaziłaś po szkole za mną i Lizzie jak natrętna mała pchła, przeskakująca z jednej osoby na drugą i wysysająca krew, skąd się tylko dało.

– Nie bądź obrzydliwa.

– A tego lata dostrzegłaś szansę, żeby stać się psem. – Nagle wszystko wydaje mi się tak okropnie jasne.

– Jestem psem?

Słowa Trixie to dosłowny cytat z filmu *Kiedy Harry poznał Sally*, o czym z całą pewnością nie ma pojęcia. Sol by to wiedział.

Podobnie jak Lizzie.

\* \* \*

– *Zrobiłabym to z Jake’em* – stwierdza Lizzie, kiedy obie leżymy pod wielkim drzewem porośniętym mdlejącymi z gorąca, zlaknionymi deszczu liśćmi. – *Na co ty jeszcze czekasz?*

*Chodzę z Jake’em od trzech tygodni. Jesteśmy na etapie, kiedy on zaczyna wspominać o kolejnym kroku. Nie wiem, co z tym fantem zrobić, a rozmowa z Lizzie wcale mi nie pomaga.*

– Daj spokój – mówię niby to żartem, chociaż wcale nie żartuję. Poprawiam bikini. Jest białe i mikroskopijne, dokładnie tak jak trzeba. Szczerze mówiąc, czuję się trochę za bardzo obnażona, ale muszę się postarać o opaleniźnę przed wyjazdem do Szwecji, bo tam wszystkie dziewczyny są śliczne i brązowe jak kasztany, a poza tym warto się trochę pomęczyć, żeby zasłużyć na te wszystkie spojrzenia z przeciwnej strony basenu.

– Mówię poważnie. – Lizzie uklada się na ręczniku, poprawiając paski kostiumu. – Czego tu się bać? Seks to tylko połączenie dwóch pasujących do siebie ciał.

– Wcale się nie boję.

Do basenu wpada piłka, opryskując nas wodą. Piszczę i zrywam się na równe nogi, obciążając gwałtownie dół od bikini. Lizzie tylko się śmieje i sięga po książkę.

– Ładnie się ruszasz, Han! – woła Stevie.

– Podobasz się Steviemu – zauważa Trixie. Opala się na leżaku po mojej drugiej stronie, ubrana w bikini, które jest jeszcze mniejsze niż moje, ale wręcz wisi na jej szczupłutkiej sylwetce. – Ciągle się na ciebie gapi. Jeśli nie potrafisz zdecydować, co z Jake'em, może powinnaś dać szansę Steviemu. Jest uroczy.

– Skąd wiesz, że gapi się na mnie? – pytam, mile polechtana jej słowami. – Równie dobrze może patrzeć na ciebie.

Trixie obraca w palcach tubkę kremu do opalania.

– Ale tego nie robi.

– W takim razie na Lizzie.

Trixie znacząco spogląda na kostium kąpielowy Lizzie. No tak.

– Musiałaś go założyć, Lizzie? – pytam. Sięgam do jednego z pasków jej kostiumu i strzelam z niego jak z procy. – To nie zawody pływackie w ósmej klasie.

– Nie przeżywaj tak, Złotowłosa – odpowiada Lizzie, kładąc sobie książkę na twarzy.

Jeszcze ani razu nie pływałam. Boję się, że jeśli zanurkuję, spadnie mi bikini. Cóż to by było za upokorzenie! Jest mi jednak strasznie gorąco.

Wstaję z leżaka, świadoma faktu, że wszyscy mi się przyglądają, i wsuwam się do najgłębszej części basenu z największą gracją, na jaką mnie stać. Woda jest zimna, ale staram się tego nie pokazać.

Stevie wskakuje do basenu, praktycznie mnie podtapiając. Kiedy kończę płuć wodą i thuc go gdzie popadnie, szeroko się uśmiecha; jego piegowata twarz marszczy się niczym przyjazna papierowa torba.

– Co się stanie, jeśli za to pociągnę? – pyta, sięgając do jednego ze sznureczków przytrzymujących dół od mojego bikini.

Przez chwilę ganiamy się wokół basenu, rozpryskując wodę.

– Ani mi się waż – dyszę, kiedy wreszcie mnie dogania.

– Innym razem, Bergdahl – szepcze mi do ucha, poprawiając mi warkocz na ramieniu.

Wyjście z basenu okazuje się kolejnym problemem. Wysiłki Steviego znacznie poluzowały sznurki od dolnej części bikini, muszę się więc niezłe nagimnastykować, żeby uniknąć katastrofy.

Lizzie i Trixie nie ma już na leżakach. Wałęsam się po ogrodzie, rozkoszując się dotykiem słońca na wilgotnej skórze, mijając obściskujące się pary i starając się wciągać brzuch. Nigdzie nie widzę Lizzie.

Trixie wychodzi zza domu, owinięta ręcznikiem.

– Hej Trix. Widziałaś Lizzie?

Patrzy na mnie w milczeniu.

– Tak – odpowiada po chwili.

– Jest w domu?

Jej oczy są mocno wytrzeszczone.

– Tak.

– To ja tylko...

Trixie łapie mnie za łokieć.

– Nie idź tam – mówi.

Patrząc na jej dziwną minę, czuję się tak, jakby Stevie O'Shea znowu opryskał mnie zimną wodą.

– Co się dzieje? – pytam.

– Chodzi o Lizzie. Lizzie i Jake'a.

– Co takiego? – pytam, kiedy znowu mogę oddychać.

Trixie ściska mnie za rękę. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby miała takie wielkie oczy.

– Tak mi przykro, skarbie. Nawet nie wiesz jak bardzo.

\* \* \*

– Jestem psem? – powtarza Trixie, wlepiając we mnie wzrok. – Za to ty jesteś niewdzięczną suką, Hanno. Spieprz własne życie, jeśli chcesz, ale nie moje.

Poprawia okulary przeciwsłoneczne, chociaż słońce zdążyło się już schować za wzgórzem, i wraca do Vashti. W tym momencie Dan przeskakuje nad wzniesieniem z rykiem silnika, jakby był

królem dżungli, a nie Motocyklowym Gamiem z Surrey. Trixie klaszcze jak rozszalała groupie, Vashti piorunuje ją wzrokiem, a trochę niżej, za linią mety, Laura Hamilton czeka z zapartym tchem, bijącym sercem i rozchylonymi ustami na spocone, tymczasowe awanse Dana.

Schylam się, zbieram garść wilgotnego piachu, ugniatam go w dłoniach i celuję w szybującego nad wzgórzem Dana. Gruda trafia w jego kask z donośnym plaśnięciem i obsypuje mu ramiona złocistymi drobinami.

– DUPEK! – krzyczę.

Vashti się odwraca. Trixie zaciska błyszczące usta. Dan rzuca mi zdziwione spojrzenie znad uniesionej osłony zapiaszczonego kasku. Ląduje i wjeżdża w Diabelski Zakręt, obsypując Trixie piachem od stóp do głów.

# Sol

Ustawiam aparat fotograficzny, szykując się na długą, porządną sesję na kładce. Nastal wieczór, światło jest niesamowite. Lada chwila przyjadą dwa pociągi. Życie jest piękne.

Później jestem umówiony z Carmen w kawiarni Costa. Zaczynam mieć serdecznie dosyć serwowanych tam frappe, ale Carmen jest tego warta. Twierdzi, że mnie lubi, bo nie udaję kogoś, kim nie jestem, więc zastanawiam się, czy nie powiedzieć jej o tym, że kręcę filmy. Mógłbym nawet zrobić jakiś dla niej. Miło byłoby dla odmiany nakręcić film dla dziewczyny, która będzie wiedziała, że to ode mnie.

Na peronie pierwszym, w pobliżu toalet, wywiązuje się kłótnia pomiędzy dwoma biznesmenami. Przechylam się przez krawędź kładki i ustawiam ostrość. Kiedy telefon zaczyna mi dzwonić tuż przy oku, prawie dostaję zawału.

– Cześć, to ja. Nie uwierzysz, co się właśnie stało. Byłbyś ze mnie dumny. Gdzie jesteś? Możemy się spotkać?

– Teraz?

– Tak, teraz. Masz czas?

Jeden z pociągów wjeżdża na stację z głośnym piskiem hamulców.

– Boże, co to było? – pyta Hanna.

– Pociąg – odpowiadam, zastanawiając się nad tym, jak grzecznie zakończyć tę rozmowę.

– Zabawne. Dużo dziś myślałam o *Spotkaniu*. Doszłam do wniosku, że Celia Johnson i Trevor Howard powinni byli po prostu razem uciec tym pociągiem, chociaż oboje byli po ślubie i mieli dzieci. Zanim sam to powiesz, wiem, że mój tata dał nogę, chociaż był żonaty i miał dzieci, i czuliśmy się wtedy okropnie, ale przecież mama i James są ze sobą bardzo szczęśliwi, a Raz i ja nie mielibyśmy Linusa, gdyby tata nie odszedł, prawda?

Na peron drugi lada moment wjedzie pociąg.

– Twój tata zdecydował inaczej niż bohaterowie *Spotkania* – mówię. – Być może żadne z rozwiązań nie jest ani dobre, ani złe: to po prostu decyzje, które popychają nas w różne strony.

Sprzeczka na peronie pierwszym nabiera rumieńców. Ktoś powinien wymyślić telefon, przez który można by było jednocześnie rozmawiać i kręcić nim film.

– *Świetnie* to ująłeś, wręcz idealnie. Właśnie o tym chciałam ci opowiedzieć: o decyzji, która popchnęła mnie w złym kierunku. Właśnie wchodzę do miasta, więc powiedz mi: jesteś zajęty czy nie?

Widzę majaczący w oddali pociąg, który zbliża się do peronu drugiego, błyskając światłami. Pewnie powinienem sobie kupić prawdziwą kamerę, ale wolę nagrania telefonem, bo bardziej przypominają reportaż. Może wystarczyłby po prostu drugi telefon?

– Jesteś tam? – pyta Hanna.

– Nie. Zadzwoń później.

Rozłączam się w samą porę, żeby nagrać moment, gdy duży koleś w garniturze zamachuje się na małego kolesia w garniturze. Złe ocenia wysokość swojego przeciwnika i wali pięścią w słup z kutego żelaza nad jego głową. Do akcji wkracza ochroniarz, a ludzie zaczynają wyglądać przez okna pociągu. Jakby emocji było mało, na peron drugi właśnie wjeżdża kolejny pociąg. Zauważam kota, który z wyglądu przypomina Nigela, przyczajonego w pobliżu schodów prowadzących na kładkę.

Robię zbliżenie.

To *jest* Nigel.

Telefon znowu dzwoni.

– Czym ty się zajmujesz? – pyta dziwnym głosem Hanna. – Akurat w tej sekundzie?

Zastanawiam się, czy zdołam złapać kota, nim zaatakuje chmarę ludzi, która lada moment wysiądzie z pociągu.

– Hanno, naprawdę nie mogę teraz rozmawiać – mówię, puszczając się biegiem.

Zauważam ją na ulicy pod kładką. Przygląda mi się zmrużonymi oczami, z przyciśniętym do

ucha telefonem.

– Wszystko ci wyjaśnię – zapewniam ją pospiesznie, zeskakując po dwa stopnie naraz. Żelazne schody brzdękają mi pod stopami. – Ale nie teraz.

Drzwi pociągu się otwierają. Widzę ogon Nigela wściekle wywijający w powietrzu tuż pod ostatnim stopniem. Za kilka sekund jakiś nieszczęśnik dostanie ataku serca.

– Obiecałeś, że nie będziesz miał przede mną już żadnych sekretów! *Obiecałeś*, Sol, nie udawaj, że tak nie było!

Pierwsi wysiadający pasażerowie zdecydowanie zbyt szybko zbliżają się do kładki.

– Nie obiecałem, że nie będę ich miał – mówię, przyspieszając. – Tylko że się postaram.

– Jeszcze się kłócisz? Nie odbierasz moich telefonów ani nie odpisujesz na SMS-y. Kłamiesz w sprawie swojej dziewczyny, a teraz wygląda na to, że ukrywałeś przede mną również swoją miłość do pociągów. I bez tego mam dość gównianych przyjaciół w swoim życiu, dziękuję bardzo. Na wypadek gdybyś się zastanawiał nad wieczorem filmowym w tym miesiącu, to jest on ODWOŁANY.

Zeskakuję z dwóch ostatnich stopni, wyciągam ręce po Nigela, modląc się, żeby nie skoczył na tory pod napięciem, które biegną zaledwie metr dalej, po mojej prawej, i nie eksplodował w chmurze czarnego futra i zębów. Z całych sił staram się też nie wpadać na ludzi idących z przeciwnej strony. Zanim udaje mi się schwytać Nigela, zostać przez niego podrapanym i przeprosić każdą z mijanych osób po sto razy, Hanna odchodzi i znika mi z oczu.

Na randkę z Carmen też jestem już spóźniony.

\* \* \*

ANNIE HALL (1977)

Reżyseria: Woody Allen

Scenariusz: Woody Allen i Marshall Brickman

Komik Alvy Singer (Woody Allen) opisuje historię swojego burzliwego związku ze śpiewającą w nocnych klubach piosenkarką Annie Hall (Diane Keaton). Alvy wspomina lata swojego dzieciństwa i dojrzewania, a później opowiada o tym, jak poznali się z Annie, zakochali w sobie i starali się przezwyciężyć przeszkody, z jakimi borykają się współczesne związki; łączy przy tym sceny pełne surrealistycznej fantazji z momentami emocjonalnego napięcia.

Krytyk Roger Ebert nazwał *Annie Hall* „najbardziej lubianym filmem Woody’ego Allena”. Na ścieżce dźwiękowej pojawia się piosenka znana również z *Kiedy Harry poznał Sally – It Had To Be You*. W 1977 roku *Annie Hall* zdobyła Oscara dla najlepszego filmu.



31 maja

Hanna

– Nadal jestem na niego wściekła, żebyś wiedziała jak.

Lizzie sięga po miskę z chipsami i wysypuje sobie okruchy do ust.

– Co ty nie powiesz?

Sięgam po narzutę leżącą na oparciu kanapy. Lizzie zawsze umiała mnie postawić do pionu. Kolejną rzeczą, której mi brakowało, są jej hinduskie haremki. Wyglądają śmiesznie, ale uroczo.

– Napijesz się coli? – pytam, chcąc zmienić temat.

– Pod warunkiem że nie tej dietetycznej, którą piją chudzielce. Niszczy nerki.

Schodzę na dół do kuchni, wyjmuję z lodówki butelkę dietetycznej coli i wylewam jej zawartość do zlewu.

– Sorry, jednak nie mamy coli – wołam w kierunku schodów. – To może kawy?

– Z tłustym mlekiem?

– Wręcz otyłym – odpowiadam z wdzięcznością.

– Nie mogę uwierzyć, że nazwałaś Dana dupkiem – mówi Lizzie, kiedy wracam z dwiema kawami tak mlecznymi, że prawie muczą.

– Ja też nie. – Rozjaśniam się na samo wspomnienie. – Byłabyś ze mnie dumna. Zrobiłam to, nie przejmując się opinią innych.

– Wypijmy za to.

Stukamy się kubkami z moją najlepszą przyjaciółką. Po raz pierwszy od wieków czuję się szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa.

– Przypomnij mi, co będziemy oglądać? – pyta Lizzie, podczas gdy ja włączam film.

– *Annie Hall*.

Lizzie kiwa głową z aprobatą. Wiem, że go uwielbia. To jeden z powodów, dla których go wybrałam. Nie mam pojęcia, czy Sol go lubi czy nienawidzi, i mam to gdzieś.

– Czy uwierzysz, że przyłapałam go, jak gapił się na pociągi?

– To i tak mniej szkodliwe dla środowiska niż jazda po lesie na podrasowanej motorynce. No chyba że... – Lizzie unosi w górę palec. – Vashti, Trixie i Laurze by się to nie spodobało.

– Nie obchodzi mnie, co one myślą – mówię, oblewając się rumieńcem.

– W takim razie to nic złego, że Sol lubi pociągi. Dzięki temu świat jest lepszym i ciekawszym miejscem. A teraz zamknij się wreszcie i oglądaj film.

Patrzmy jak Alvy i Annie brną przez swój, z góry skazany na porażkę, związek. Zawsze mam nadzieję, że przezwyciężą problemy, chociaż wiem, że tak się nie stanie. Zaczynam się zastanawiać, dlaczego zawsze musimy pragnąć niemożliwego.

Słyszymy dźwięk otwierania frontowych drzwi.

– Cześć, dziewczynki – mówi mama, gdy z Linusem mijają pokój telewizyjny.

Mama chyba w ogóle nie zauważyła, że miałyśmy z Lizzie przerwę. Dla niej widok mojej dawnej przyjaciółki jest czymś zupełnie normalnym, a ostatnie dziesięć miesięcy mojego życia to jak mrugnięcie okiem.

Mój młodszy braciszek jest nieco bardziej spostrzegawczy. Wbiega do pokoju.

– Cześć, brudne majtki – mówi Lizzie.

– Cześć, śmierdzący tyłku – odpowiada Linus. – Przed chwilą zjadłem brownie.

– Raczej pół brownie – poprawia go Lizzie. – Drugą połowę masz na twarzy.

Linus rozpląszcza ręką nos Lizzie. Lizzie odwdzięcza mu się tym samym. Linus posyła szybkie spojrzenie najpierw mnie, a później jej.

– Przyjdiesz do nas jeszcze? – pyta. – Może pobawimy się wtedy klockami Lego?

– To zależy od tego, czy twoja starsza siostra wróci do Idiotkowa.

– Na pewno tam nie wrócę – mówię, kiedy Linus wybiega z pokoju.

– Opowiedz mi jeszcze raz, jak nazwałaś Dana dupkiem – prosi Lizzie, gdy już go nie ma. – Tylko ze szczegółami.

– Mogę cię o coś zapytać? – pytam, kiedy kończę swoją opowieść. Nerwowo składam dłonie. – Czy przespałaś się z Danem? Wszyscy twierdzą, że tak, ale... no cóż. Nie warto wierzyć plotkom.

– A mimo to uwierzyłaś w plotki o mnie i Jake’u.

– Wiem – odpowiadam, przyjmując cios na klatę. – Właśnie dlatego pytam o to ciebie, a nie pocztę pantoflową. To i tak nieważne, po prostu... chciałabym wiedzieć.

Lizzie unosi podbródek.

– Owszem, spałam z Danem. A ty?

– Prawie to zrobiłam – przyznaję.

Pamiętam naszą rozmowę o Jake’u sprzed miesiący: Lizzie głosem eksperta namawiała mnie, żebym poszła z nim do łóżka.

– Nie bardzo mam się czym chwalić – dodałam ze skruchą.

Lizzie uśmiecha się blado.

– Kiedy zdecydujesz się z kimś przespać, zadbaj o to, żeby był to ktoś miły. A nie facet, który niedługo potem cię rzuci i na dodatek powie, że jeszcze z żadną tak kiepsko mu się nie bzykało.

– Ktoś cię tak potraktował? – pytam ze zgrozą.

Lizzie badawczo przygląda się dnu swojego kubka. Kiedy wreszcie doznaję olśnienia, krwawi mi serce. Lizzie i Dan.

Właśnie *Dan*.

– Dan był twoim pierwszym? – dziwię się. – W szkole mówiłaś przecież, że...

Lizzie macha lekceważąco ręką.

– W szkole dużo gadałam, ale niewiele robiłam. Początek college’u był dla mnie ciężki. A później przespałam się z Danem, ponieważ już się nie przyjaźniłyśmy i wydawało mi się, że powinnam to zrobić, i się sparzyłam. Wielka mi rzecz.

Myślę o rzeczach, które Trixie i Vashti wygadywały w tym roku na temat Lizzie. A także o tym, co sama mówiłam. I że nie było mnie przy niej, kiedy najbardziej tego potrzebowała. Żałuję, że nie mogę cofnąć czasu. Wrócić do tamtego lata, nad tamten basen, wyminąć Trixie, odszukać Lizzie i z nią porozmawiać.

– Tak mi przykro – mówię, chociaż to o wiele za mało. – Spotkasz kogoś miłszego, gwarantuję ci to. Kogoś, kto cię zrozumie, będzie się śmiał z twoich żartów i nie będzie wygadywał o tobie okropnych rzeczy za plecami.

– A skoro mowa o kimś miłszym, jak sobie radzi Raz w świecie bez Leah?

– Na pewno nie będzie sobie na razie szukał nowej dziewczyny. Poza tym nie możesz się spotykać z moim bratem, to by było zbyt dziwne. Może Sol zna kogoś odpowiedniego. – Przypominam sobie, że nadal się na niego gniewam i marszczę brwi. – Zapomnij, że to powiedziałam. Sol nie widzi świata poza pociągiem do Basingstoke o dziesiątej piętnaście.

– Sol jest uroczy – stwierdza Lizzie. – Przypomina lisa, jest taki zwinny i smukły. Wiesz, któregoś dnia zdejmował w szkole bluzę, T-shirt podjechał mu do góry i każda dziewczyna, która akurat stała w korytarzu, z wrażenia zapomniała, jak się nazywa.

– Podoba ci się Sol? – pytam z niedowierzaniem.

– Chcesz powiedzieć, że nigdy cię nie kusiło?

Spoglądam na swoją dłoń i blady strupek w miejscu, które zabandażował mi Sol tamtego dnia, kiedy przeleciałam przez dach garażu Dana.

– Nigdy. To by było kompletnie nie na miejscu.

– Wiesz, co mówią o zakazanym owocu.

– Że można z niego wycisnąć sok?

Obie się śmiejemy.

– Han – odzywa się Lizzie, nagle poważniejąc. – Tylko nie udawaj w poniedziałek, że mnie nie znasz.

- Nigdy bym tego nie zrobiła.
- Za to Trixie tak.
- Nie jestem Trixie.
- To dobrze, bo przez moment miałam wątpliwości.

## Sol

Przeglądałam obojętnie filmy na Netflixie, zastanawiając się, który z nich wybrałaby Hanna na dzisiejszy wieczór. Pewnie *Zaręczyny po irlandzku*. Dobrze, że się wywinąłem.

Przestałem próbować się do niej dodzwonić jakieś dwa tygodnie temu. W końcu dotarło do mnie, że nie ma sensu do niej wydzwaniać i zostawiać kolejnych wiadomości, nie dostając niczego w zamian. Zamiast tego poświęciłem się spotkaniom z Carmen tak, jak postąpiłby każdy normalny chłopak na moim miejscu. Umówiliśmy się jeszcze na trzy randki w kawiarni i dwa razy wybraliśmy się do kina. Byłem u niej w domu na herbacie i czterokrotnie uścisnąłem ogromną dłoń szefa policji Mendozy. Zostałem odprawiony – stanowczo, chociaż uprzejmie – z domu Mendozów przed osiemnastą dwie niedziele z rzędu; Carmen pomachała mi na pożegnanie i wróciła na górę do swojego pokoju, żeby dalej przygotowywać się do egzaminów. Nie całowałem się z nią tak często, jak bym sobie tego życzył. Poza tym przez ostatnie trzy tygodnie poświęciłem więcej czasu na naukę niż w całym swoim dotychczasowym życiu, bo dosłownie nie miałem nic innego do roboty.

Ostatecznie wybieram *Annie Hall* i sięgam po chrupki. Postanowiłem zatracić się przez chwilę w geniuszu Woddy'ego Allena i spróbować zapomnieć o Hannie Bergdahl. Będę się rozkoszował surrealistycznymi scenami, śmiał się z kilkusekundowego występu Jeffa Goldbluma, zachwycił Diane Keaton i cieszył każdą chwilą.

– Sol! – wrzeszczy Gareth. – Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie zostawiał swoich butów na środku korytarza? To prosta droga do wypadku! Mamy stojak na buty, służący właśnie do ODSTAWIANIA BUTÓW!

Dzisiaj są urodziny matki Garetha. Jak zwykle do niej nie zadzwonił. I jak zwykle kręci się po domu jak burza gradowa, którą lepiej omijać.

– Mam co robić i bez wycieczki do szpitala na izbę przyjęć!

Z kuchni rozlega się wycie i przeciągły pisk.

– NA MIŁOŚĆ BOSKĄ, ANDREW, WYKASTRUJĘ TWOJEGO KOTA GOŁYMI RĘKAMI, DZIĘKI CZEMU WSZYSCY OSZCZĘDZIMY NA RACHUNKU OD WETERYNARZA!

Andrew wchodzi do salonu z szarpiącym się w jego ramionach Nigelem i pada na kanapę obok mnie. Częstuję go chrupkiem.

– Ta cholerna baba nadal sprawia nam kłopoty, chociaż nie kontaktuje się z nami od dwudziestu lat – mówi. Nigel wpija się w jego nadgarstek niczym czworonożna pijawka. – Przestań mnie zjadać, Nigel. Nie jestem tuńczykiem.

– Chcesz ze mną obejrzeć film? – pytam.

– Wydawało mi się, że umawiacie się na wieczory filmowe z Hanną. – Andrew przekręca Nigela tak, żeby mógł ogryzać dla odmiany jego prawy nadgarstek. Kot przygląda mi się swoim najdzikszym wzrokiem.

– Nie rozmawiamy ze sobą.

– A dziewczyna, której nie pozwoliłeś nam poznać?

– To nie tak. Po prostu jeszcze jej tu nie przyprowadziłem. Poza tym nie spotykamy się w tygodniu. Uczy się wtedy do egzaminów.

– Spędziłem więcej czasu na zbieraniu cięgów za to, że patrzyłem na drużynę piłki nożnej w nieodpowiedni sposób niż na nauce do egzaminów – przyznaje Andrew. – To były piękne czasy. – Wypuszcza Nigela, który wściekle pędzi do kuchni.

Odzywa się mój telefon.

Cześć Solomonie. Tęsknię za Tobą. C xxx

Nie wiem, jak powinno się odpisywać dziewczynom na tego rodzaju wiadomości. Kiedy pisze do mnie Hanna, to zwykle z jakimś żartem albo cytatem z filmu. Wtedy jest łatwo. Kiedy pisze do mnie Carmen, to po prostu jest... miła.

– Dziewczyna? – pyta Andrew.

– Wiadomość od operatora.

Skąd we mnie ten przymus kłamania w prywatnych sprawach? Odkąd Hanna przestała mnie angażować w swoje problemy, ciągle to robię.

Andrew obejmuje mnie ramieniem. Przy uchu pobrzękują mi jego bransoletki.

– Wszystko w porządku?

– Eee, tak.

– Lepiej, żeby tak było, do cholery – mówi Gareth, wchodząc do salonu. – Włożyliśmy dużo wysiłku w twoje podanie o przyjęcia na studia dla przyszłych księgowych. Masz przewagę nad resztą kandydatów. Nie możesz teraz zawieść, Sol, to zbyt ważne.

– Wiem o tym.

– Wiesz, ile dzieciaków traci czujność na tym etapie? Dwunasta klasa to łatwizna, mówią. Egzamin z dodatkowych przedmiotów się nie liczą, mówią. Powodzenia z takim podejściem.

– Gareth – upomina go łagodnie Andrew. – Sol wie, czego może się spodziewać. Okaż mu trochę zaufania.

Zaczyna mi się robić niedobrze.

– Jak do tej pory zdawanie egzaminów szło mi całkiem nieźle – mówię, byle tylko coś powiedzieć. – A przygotowania do reszty też idą zgodnie z planem.

– Tak trzymaj – radzi mi Gareth. – Nie chcę być namolnym rodzicem...

Andrew głośno odchrząkuje. Sporo ryzykuje, biorąc pod uwagę nastrój Garetha. Ale Gareth wszedł już na swój ulubiony temat i nie da się go powstrzymać.

– Rynek pracy nie jest taki jak wtedy, gdy Andrew i ja byliśmy młodzi...

Przez głowę przelatuje mi wariacka myśl o przejściu się z nożyczkami wzdłuż wieszaków z prążkowanymi garniturami w Marksie i Spencerze. *Mogliśmy przebierać w ofertach...*

– Z dyplomami wyższych uczelni, mogliśmy przebierać w ofertach, ale teraz wszyscy studiują, a zważywszy na to, jak zmienia się rynek...

– I rewolucję technologiczną – wtrąca Andrew.

– I rewolucję technologiczną... – Gareth orientuje się, że Andrew z niego żartuje i przerywa. – No cóż – mówi po chwili. – Rozumiesz chyba, w czym rzecz. Nadal chcesz zrezygnować z geografii?

Rozmawiamy o prywatnych sprawach, prawda? To nie takie trudne.

– Chyba tak.

Andrew włącza się do rozmowy.

– Nie chciałbym zabrzmieć jak twój tata, którym jednakowoż jestem, ale porządne firmy zajmujące się księgowością nie będą się przejmować geografią.

Wyobrażam sobie pokój pełen księgowych zżywieniem dyskutujących o starorzeczach. Myślę, że Andrew robi to samo.

– Kto by pomyślał – odzywa się znowu. – Księgowy w rodzinie! Nie wiem, czy powinienem być z ciebie dumny, czy raczej cię wydziedziczyć.

– W tych czasach to najbezpieczniejszy zawód – wtrąca Gareth. – Myślałeś raczej o audycie czy podatkach?

Teraz myślę przede wszystkim o tym, jak stąd uciec. Na kołnierzyku mojej koszuli zbiera się pot.

– Biorę pod uwagę różne możliwości – odpowiadam.

– Mam nadzieję, że jednak niezbyt różne. Porządna kariera wymaga skupienia na jednej rzeczy.

– Rozumiem – odpowiadam zawstydzony.

– Masz głowę do liczb. Tak jak ja. Twoja biologiczna matka też sobie z nimi dobrze radziła.

*Nie jestem ani tobą, ani nią.*

– W tym bezlitosnym świecie to prawdziwy dar. Wykorzystaj swój talent do cna.

Brzmi to raczej jak polecenie niż komplement. Cieszę się, że chociaż jeden z nas ma co do tego pewność.

– Pewnie odziedziczyłeś zdrowy rozsądek po Garcie, bo na pewno nie po mnie – stwierdza

wesoło Andrew. – Jeśli potrzebujesz pomocy z transportem na uniwersyteckie dni otwarte, daj mi znać. Chociaż mój taksówkarski limit to pewnie jakieś trzy godziny jazdy, więc jeśli zdecydujesz się na Edynburg albo Harvard, będziesz sobie musiał radzić sam.

– Świetnie, dzięki.

Gareth posyła mi wymuszony uśmiech i poklepuje mnie po plecach.

– Lepiej sprawdzę, gdzie się podział Nigel. Jeśli znowu rozwalił klapkę w drzwiach, wydamy fortunę na rachunki za ogrzewanie.

Idę na górę i włączam komputer. Ten jeden jedyny raz Frank jest offline, więc nie mogę z nim porozmawiać. Czy to nie smutne, że mój jedyny przyjaciel mieszka osiem tysięcy kilometrów ode mnie i jest dostępny tylko w dwóch wymiarach? A na dodatek jest idiotą? Sam już nie wiem. Dryfuję samotnie na fali, która może albo się okazać zwykłą falą, albo zapowiedzią gigantycznego tsunami.

Wracam do pracy nad moim ostatnim filmem. Odtwarzam postacie kłócących się biznesmenów najlepiej, jak potrafię, ale jakoś nie mam do tego serca. Widok dwóch papierowych figurek zastygłych w scenie spuszczenia sobie łomotu tylko przypomina mi o piwie, które nawarzyłem sobie z Hanną. Nie mam teraz ochoty na nie patrzeć.

Mój telefon ponownie pika.

Widzimy się jutro w Coście o zwykłej porze? Tata się zgadza, jeśli wrócę przed szóstą. C xxx

8 czerwca

Hanna

Podczas sesji college wydaje się jakiś inny. Korytarze spowija cisza, która kojarzy mi się z hotelem ze *Lśnienia*. Im szybciej ulotni się stąd ta dziwna atmosfera, tym lepiej.

Zaczęłam się umawiać z Lizzie niedaleko jej przystanku autobusowego, żebyśmy mogły wchodzić do szkoły razem. Jej obecność przy moim boku pozwoliła mi odzyskać odwagę, o której zapomniałam, że w ogóle ją kiedyś miałam. Wiem już, że cała ta sprawa z Solem była moim buforem bezpieczeństwa w pozbawionym Lizzie, zalanym jogurtem świecie.

Biorąc pod uwagę to, że chodzimy do jednego college'u, zadziwiająco rzadko wpadamy na siebie z Solem, odkąd przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Wcześniej nasze ścieżki przecinały się co chwilę. Chyba oboje wytworzyliśmy wokół siebie jakąś odpychającą tarczę. To jedyne wytłumaczenie. Nie wiem nawet, kiedy Sol zdaje egzaminy. Na pewno zdawał matematykę w tym samym terminie co Lizzie, zdaniem której po wszystkim nie wyglądał na zmartwionego, a to chyba dobry znak.

Ludzie zaczynają wychodzić z sal. Niektórzy po oddaniu prac są podnieceni jak dzieci na cukrowym haju. Inni – w tym samym momencie – wyglądają blado jak śmierć. Lizzie i ja stoimy oparte o ścianę i patrzymy z góry na tłumy uczniów płynące w przeciwnych kierunkach.

– Pobawmy się w łyżeczkę od herbaty – odzywa się Lizzie.

– Kto?

Wskazuje głową na chłopaka wiążącego sznurówki sportowych butów pośrodku całego tego zamieszania.

– On.

– Nie widzę jego twarzy.

– Musisz zaryzykować. Pytanie brzmi jak zawsze: czy wolałabyś go pocałować, czy oderznąć sobie głowę tępą łyżeczką od herbaty?

– Nie widzę, jak wygląda!

– Wybieraj.

Koncentruję wzrok na chłopaku wiążącym sznurówki. Ma niezłe ramiona, na głowie czapkę, która może kiepsko wyglądać z przodu, ale z góry wydaje się okej.

– Pocałunek – odpowiadam.

Chłopak się prostuje. Czapka okazuje się tragiczna.

– Twoja kolej – mówię, kiedy już przestajemy się śmiać. – Ten z zamszowym plecakiem.

– Tępa łyżeczka – odpowiada Lizzie.

– Dlaczego nigdy się nie mylisz? – pytam, kiedy chłopak się odwraca.

Macha palcami jak magik i uśmiecha się tajemniczo.

– Mam seksualny zmysł.

– Nie ma czegoś takiego.

– Oczywiście, że jest.

– W porządku. Tamten – wskazuję.

– Hanno, on dopiero co zamknął drzwi klasy. Widziałam go przez pół sekundy.

– Wybieraj.

– Pocałunek.

– Naprawdę jesteś w tym niezła – mówię z uznaniem.

– Dlaczego? Kto to jest?

– Alistair McDonald. Chodzi na medioznawstwo z Trixie i Vashti. Niezłe ciacho.

– No nie mów. Plastik weszła wokół niego od początku roku.

Krzywię się, słysząc aluzję do *Wrednych dziewczyn*.

– Zanim mnie znowu przeprosisz – mówi Lizzie na widok mojej miny – przyjmijmy, że przeprosiłaś mnie już za wszystko, co wydarzy się w bliżej nieokreślonej przyszłości, i bawmy się dalej.

Za pięć minut mam egzamin z fizyki.

Staram się uspokoić swój zawstydzony mózg – *trzymałam się z Plastikami* – kiedy zza drzwi wylaniają się męskie plecy. Chłopak wycofuje się na korytarz. Ma na sobie dopasowane dżinsy. I fajne sportowe buty. Nowe, ale lekko zdarte, jakby nie za bardzo przejmował się swoim wyglądem.

– On – mówię.

– Mam zdecydować na podstawie jego tyłka?

– Całkiem niezłego – zauważam.

– To prawda. Pocałunek.

Czekamy, aż Chłopak z drzwi pokaże nam się w pełnej krasie.

– Mówiłam ci, że to ciacho – zauważa Lizzie z satysfakcją.

Nieświadomy naszych spojrzeń Sol idzie korytarzem z nareczem książek i zsuniętą na tył głowy czapką w kolorze trawiastej zieleni. Robi mi się gorąco. Nie mogę uwierzyć w to, że dopiero co śliniłam się na widok jego tyłka.

– Wyglądasz, jakbym przyłapała cię na fantazjowaniu o własnym bracie – śmieje się Lizzie.

Przyciskam dłonie do twarzy. Płoną mi policzki.

– Hanno, to nic złego, że podoba ci się Sol – mówi z rozbawieniem. – On podoba się wielu dziewczynom.

– Ale nie mnie – odpowiadam.

– W takim razie to nic złego, że podoba ci się jego tyłek.

– *Nie podoba* mi się jego tyłek! – mówię głośno.

Dwie dziewczyny zerkają w naszą stronę i chichoczą, spiesząc się na egzamin.

– Nie podoba mi się jego tyłek – powtarzam już ciszej. – Ani żadna inna część jego ciała, Lizzie.

– Jak sobie chcesz. Co teraz masz? Angielski?

Czuję się bardzo dziwnie. Jakby nie całkiem we własnej skórze.

– Tak – odpowiadam po chwili, kiedy dociera do mnie, że Lizzie czeka na odpowiedź. – Za jakieś piętnaście minut.

– Powodzenia. Widzimy się później.

Egzaminy zaczynają mi się dawać we znaki. Jestem wściekła, że ze wszystkich tyłków na świecie spodobał mi się akurat ten należący do Sola.

– Hej.

Dan zmaterializował się przede mną niczym zły, chociaż seksowny, duch. Zwierzęca cząstka mnie – która najwyraźniej jest dziś pobudzona i nie w formie – zauważa, że wygląda bosko. Ma kilkudniowy zarost, a włosy zaczesał sobie do tyłu i związał na karku, co podkreśla zarys jego szczęki. Oczy ma nieco zaczerwienione, ale to jedyny mankament, jaki jestem w stanie dostrzec.

– Ekhm – chrząkam. – Tobie też hej.

Dan unosi kącik ust w półuśmiechu. Wygląda teraz jak Pippi, psiak naszej Farmor<sup>6</sup>, który też tak robi, kiedy się go podrapie po brzuszku.

– Idziesz na angielski – stwierdza. – Pachnie tak samo cudownie i cytrynowo jak w listopadzie.

Zapach jest tak znajomy, że zaczynam się zastanawiać, czy ostatnie pół roku w ogóle się wydarzyło.

Z całych sił próbuję wziąć się w garść.

– No tak.

– Nie widziałem cię od tej akcji w lesie. – Siada obok mnie na schodach.

– Rzeczywiście.

– I praktycznie nie rozmawiamy ze sobą od grudnia.

– A to zabawne. Jak ci się układa z Laurą?

Ma taką minę, jakby nie kojarzył, o kim mówię.

– Twoją dziewczyną? – odpowiadam.

Jego twarz się rozjaśnia.

– Ach, z Laurą. Zerwaliśmy ze sobą w zeszły weekend.

Przewraca mi się w żołądku. Tylko trochę. Nic na to nie mogę poradzić. Jest zbyt przystojny.



– Nie mogła dłużej znieść bycia obsypywaną piachem? – pytam.

Dan się śmieje.

– Jesteś zabawna.

– Tak, boki zrywać. – Przetrzęsłam kieszenie, żeby sprawdzić, czy mam wszystko, co potrzebne na egzaminie: długopis, ołówek, maskotkę, piłeczkę odstresowującą. Ściskam ją w milczeniu. *Znowu rozmawiam z Danem. A on rozmawia ze mną. Chociaż nazwałam go publicznie dupkiem.* – Nie wiem, czy nie wybrać się z tym do *Mam talent*.

– Posłuchaj – mówi, wsuwając dłonie do tylnych kieszeni spodni. – Wybierzmy się gdzieś w sobotę.

– Co? – Zaciśkam palce na piłeczce. Pewnie nie jest to najinteligentniej brzmiące pytanie, jakie zadałam w swoim życiu.

Dan wykonuje bliżej nieokreślony gest.

– Chodźmy gdzieś razem – powtarza. – Może do tej chińskiej knajpki, do której nie zdążyliśmy zajrzeć w listopadzie?

Dan chce się ze mną umówić? Znowu? Po tym wszystkim? Dan Dukas nigdy nie chodzi dwa razy z tą samą dziewczyną. Czyżbym przedostała się do równoległego świata, jak w filmie *Donnie Darko*?

Docieramy do sali, w której będziemy pisać egzamin z angielskiego. Setki osób obsesyjnie sprawdza swoje długopisy i ołówki. Trixie, Laura i Vashti siedzą razem, zbite w stadko, i zerkają w naszą stronę. Laura jest jeszcze chudsza i bledsza niż zwykle. Vashti wygląda na wściekłą. Brwi Trixie unoszą się niczym dwie gaśienice usadowione na podnośniku wózka widłowego.

Muszę to rozegrać na chłodno. Muszę zebrać myśli. Co zrobiłaby na moim miejscu Lizzie? Nie, chwileczkę, ona ma do niego żal, co zresztą zrozumiałe. Muszę sobie poradzić bez niej. Sama napisać swój scenariusz.

– Jasne.

– Fajnie. Spotkajmy się przy...

– Rany, Dan – przerywam mu. – Naprawdę pomyślałeś, że mówię serio?

Na jego twarzy maluje się coś, czego nigdy wcześniej tam nie widziałam. Szok.

– Co? – pyta, całkiem dobrze naśladowując mnie samą sprzed kilku chwil.

– Nigdzie z tobą nie pójde – wyjaśniam.

Wygląda na zdezorientowanego.

– Ale przecież mówiłaś, że pójdziesz.

– Żartowałam. – Rozkładałam ręce. – Przykro mi.

Nie wiem, skąd się we mnie bierze to beztrojskie podejście, ale lubię łączące się z nim uczucie władzy. Być może jest ono związane ze świeżo odzyskanym poczuciem lojalności wobec Lizzie albo nowym, odwróconym porządkiem wszechświata, który zwałił mi się na głowę z chwilą, gdy obciłam wzrokiem tyłek Sola. Lub też strachem, który zawsze dopada mnie przed wejściem na salę egzaminacyjną i na kilka krótkich godzin odbiera mi zdrowy rozsądek.

– A więc nie idziemy nigdzie w sobotę? – pyta Dan. – Czy jednak tak? Wiesz, tak dla jasności.

Chyba nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby Dan Dukas o cokolwiek dopytywał. Nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Wygląda na kompletnie skołowanego.

– Powodzenia – mówię, kiedy otwierają się drzwi, i klepię go w ramię. – Mam przecucie, że będzie ci ono potrzebne.

## Sol

Wlepiam wzrok w pytanie dotyczące powodzi w Sundarbanach i wyobrażam sobie tygrysy płynące przez lasy mangrowe, ich paski zlewające się w jedno ze zmarszczkami na wzbierających wodach.

*Korzystając wyłącznie z danych w punkcie drugim, skomentuj wpływ czynników fizycznych i ludzkich na powódzie.*

Rozpisuję się na temat zależności Kalkuty od szybko znikających lasów mangrowych, które chronią ją przed coraz gwałtowniejszymi burzami i powodziąmi dotykającymi delty rzek Ganges i Brahmaputra. Nie mogę wyrzucić z głowy obrazu płynących tygrysów. Ich lśniących wilgotnych głów i wąsów ciężkich od wody – ociekających jak wąsy Nigela po incydencie w stawie z karpami koi u naszych sąsiadów.

Kończę pisać egzamin. Zimne regiony polarne, tundra, przemysł rybołówczy w Nowej Fundlandii, osuwająca się linia wybrzeża w Suffolk. Miejsca, których nigdy nie odwiedzę, ludzie, których nigdy nie zobaczę zza swojego nudnego biurka w nudnym biurze rachunkowym w swoim nudnym krawacie i nudnych butach.

– Jak ci poszło?

Patrzę na piegowatą twarz Steviego O'Shei, kiedy wychodzimy z korytarza i wracamy do normalnego życia.

– W porządku – odpowiadam krótko. – A tobie?

Krzywi się.

– Chyba nigdy nie przyda mi się wiedza o tym, gdzie leżą Sundarbany.

– To zależy od tego, co chcesz robić w przyszłości.

Stevie kopie niewidzialną piłkę i posyła ją w górny róg korytarza.

– Na pewno nic mającego cokolwiek wspólnego z erozją wybrzeża. Widzimy się wieczorem? Wybieramy się z kilkoma chłopakami do Dana.

– To zaproszenie chyba mnie nie dotyczy – mówię. – Nie sądzisz?

Steve rechocze i wymierza pięścią cios w powietrze.

– Mocno mu przywaliłeś, stary. Gdzie się tego nauczyłeś? Nie wyglądasz mi na faceta, który ma w garażu worek treningowy.

– Nie mam nawet garażu.

– Powinniśmy się częściej spotykać – stwierdza Stevie, dźgając mnie palcem w pierś. – No wiesz, jak kumple – dodaje po krótkiej chwili.

*Spokojnie, Stevie, myślę. Nie jesteś w moim typie.*

W korytarzu przed nami miga dziewczęca blond głowa, kierująca się w stronę głównego wyjścia i czekającego za nim słońca. Jestem prawie pewien, że to Hanna, ale słońce przemyka po jej sylwetce jak po płynących tygrysach, i już jej nie ma.

– Ale laska – mamrocze pod nosem Stevie. Zerka na mnie z ukosa. – Powiedziałem to na głos? Sorry.

– Nie masz za co przeproszać.

Czyżby myślał, że powiem o tym Trixie?

Stevie macha ręką.

– Wiem, że teraz jest jakby twoja.

Jego słowa mają podwójny wydźwięk. Szczególnie, że mówienie o Hannie jako o „jakby mojej” jest teraz jak najdalsze od prawdy.

– Nie jestem jej najlepszym przyjacielem gejem, Stevie – mówię.

Wzrok Steviego nadal jest utkwiony w miejsce, w którym zniknęła nam z oczu Hanna.

– Nie jestem gejem. – Otwieram usta, układam odpowiednio wargi i język i w końcu to mówię.

Na głos. – Szczerze mówiąc, w tym momencie nie jestem nawet jej najlepszym przyjacielem. Ale przede wszystkim... Nie. Jestem. Gejem.

Stevie przenosi wzrok z powrotem na mnie.

– Wiem o tym, stary – mówi.

– Mam już dość tego, że wszyscy z góry zakładają, że jestem gejem... – urywam, przewijając w myślach to, co właśnie powiedział. – Nie uważasz mnie za geja?

– Nie.

– Ach tak – mówię, nieco zbity z tropu. – Ale na początku myślałeś, że nim jestem?

Stevie wygląda na skołowanego.

– Nie – powtarza.

– Z powodu moich rodziców – naciskam. – Wszyscy myślą, że jestem gejem, bo mam dwóch ojców. To oczywiste.

– Oczywiście jest to, że od pierwszego dnia college’u szalejesz za Hanną.

Nie tego się spodziewałem.

– Dan uważa, że jestem gejem.

– Tak, ale Dan to palant.

Celuję w niego oskarżycielsko palcem.

– Na imprezie u Dana powiedziałaś tym swoim sarkastycznym tonem, że Vashti nie mogła gorzej trafić.

– Bo nie zwracasz uwagi na żadną dziewczynę z wyjątkiem Hanny – wyjaśnia Stevie.

– A kiedy powiedziałaś, że nie wyglądam na faceta, który ma w garażu worek treningowy... – mówię słabym głosem.

– Nikt tak chudy i wyluzowany jak ty nie spędzałby weekendów, tłukąc w worek treningowy. Jezu, ile razy mam ci to jeszcze powtórzyć? Nikt nie uważa cię za geja. – Stevie zastanawia się przez chwilę. – No, może z wyjątkiem kilku dziewczyn.

– Dlatego, że mam dwóch ojców.

– Nie, dlatego że spędzasz cały swój czas z Hanną Bergdahl i nigdy nie próbowałaś do niej uderzać – wyjaśnia Stevie.

Nikt nie uważa mnie za geja. Wszyscy myślą, że zakochałem się w Hannie. Sam już nie wiem, co gorsze.

– Musisz sobie poukładać sprawy z Hanną – stwierdza Stevie.

– No cóż, to nie takie proste.

– Wpakowałaś się w Strefę Przyjaźni. – Kiwa głową Stevie. – To widać. Błąd nowicjusza, przyjaciela. Posłuchaj, wybieramy się w weekend nad jezioro. Z Jake’em i paroma innymi chłopakami. Chcesz się przyłączyć?

Odchrząkuję.

– Jasne.

– Wyślę ci SMS. – Stevie wyciąga rękę do góry i idzie korytarzem w stronę wyjścia. – Albo będzie dobrze, albo będzie źle – śpiewa. – Piłka jest okrągła, a bramki są dwie!

Korytarz rozbrzmiewa setkami różnych dźwięków powiadomień, po tym jak uczniowie po skończonych egzaminach włączają telefony. Ja też wyciągam swój.

Jak Ci poszedł egzamin? C xxx

Dobrze, a Tobie?

Okropnie! Tata mnie zabije!! Costa wieczorem? C xxx

Jasne. Do zobaczenia.

Mój palec zawisa nad znakiem x, ale nie mogę się zmusić do tego, żeby go nacisnąć. Wysłałam wiadomość, czując się jak tchórz, i chowam telefon do kieszeni.

Jutro czeka mnie ostatni egzamin, a później zamierzam poświęcić trochę czasu na poukładanie

sobie wszystkiego w głowie. Dopiero w zeszłym miesiącu dotarło do mnie, jak bardzo trzymam się na uboczu.

16 czerwca

Hej

Cześć!

Wróciłam \*wiwatuje\*

Co u Ciebie? Jak egzaminy?

W porządku. A Twoje?

Możemy się znowu przyjaźnić?

Słuchaj, chcę wrócić do tego, co było, ale pod jednym warunkiem

Chyba napisaliśmy do siebie równocześnie.

xD

Przepraszam za wszystko.

Jesteś idiotą

Jaki to warunek?

Nie będziesz mnie więcej okłamywał

To było przemilczenie, nie kłamstwo.

Chcesz powiedzieć, że nigdy mnie nie okłamałeś?

Widziałem Cię z Lizzie...?

Znowu się przyjaźnimy. Co u Carmen?

W porządku.

Dan chciał się ze mną umówić

Zgodziłaś się?

Nie!!! Nie jestem taka głupia. Chcesz obejrzeć film w tym miesiącu?

Czyja teraz kolej?

\* \* \*

ZAKOCHANA ZŁOŚNICA (1999)

Reżyser: Gil Junger

Kat Stratford (Julia Stiles) jest piękna, mądra i niemiła dla większości swoich rówieśników, w szczególności płci męskiej. Niestety jej młodsza siostra Bianca (Larisa Oleynik), nie może się z nikim umówić, dopóki Kat nie znajdzie sobie chłopaka, dlatego planuje spiknąć ją z przystojnym Patrickiem Veroną (w tej roli Heath Ledger), który dopiero od niedawna uczy się w ich szkole. Czy Kat opuści gardę i uchroni Biancę przed samotnością?

Film Gila Jungera powstał na podstawie sztuki Williama Szekspira *Poskromienie złośnicy*.

12 lipca

Sol

Stevie podaje mi puszkę i beka bez skrępowania.

– Jak to możliwe, że w ogóle masz dziewczynę? – pytam.

Stevie napina swój wielki, opalony biceps.

– Na szczęście dla wszystkich zainteresowanych, Trixie obchodzi tylko to.

Zerkam na swoje ramiona. Co prawda są umięśnione, ale blade jak brzuchy ślimaków, nawet po kilku godzinach spędzonych na popołudniowym słońcu.

– Nie spinaj się – uśmiecha się przebiegle Stevie.

– Niektórzy z nas rozwijają intelektualną stronę swojej osobowości trochę bardziej niż inni – mówię, zakładając koszulę.

Stevie wyciąga mi z dłoni puszkę, którą dopiero co w nią włożył.

– W takim razie lepiej ci to zabiorę, nie? Wszyscy wiedzą, że alkohol niszczy mózg. JAKE, łamago! Bramka jest w tamtą stronę!

Stevie rzuca się z powrotem w wir meczu rozgrywanego nad brzegiem jeziora niczym wielki, nakrapiany łosoś w wodospad. Siedząc wygodnie na słońcu, przeglądam dzisiejsze nagranie, przysuwając bliżej telefon, żebym mógł cokolwiek na nim zobaczyć. Światło o tej porze dnia jest mocne i żółte jak śmietana. Zastanawiam się, czy zdołam połączyć animację poklatkową z klasycznym nagraniem. Papierowy tygrys z Sundarbanów sunący przez tatarak w jeziorze to by było coś.

Czyjaś ręka wyciąga się nad moim ramieniem i wrywa mi telefon.

– Masz tam jakieś rozbierane fotki, geju? Pewnie lubisz sobie popatrzeć na porządnie nasmarowanych, muskularnych kolesi na plaży.

Odkąd go uderzyłem, Dan woli mnie omijać z daleka i najczęściej nie wchodzimy sobie w drogę. Najwyraźniej jednak nie potrafi się powstrzymać od tych swoich gier. To jak podważanie paznokciem strupka na kolanie.

– Miło słyszeć, że masz szerokie zainteresowania – mówię.

Wyraźnie słyszę gwizdzący dźwięk, kiedy moja uwaga przelatuje gdzieś nad głową Dana i ląduje w piasku z łagodnym plaśnięciem. Dan odgarnia z twarzy błyszczące czarne włosy i siada obok mnie.

– Chcesz tego posmakować? – pyta, przysuwając mi jeden ze swoich bicepsów pod sam nos. Jego skóra błyszczy od olejku do opalania i pachnie kokosem. – Pewnie na sam widok robi ci się gorąco.

Zerkam na mecz piłki nożnej i zastanawiam się, czy nie warto się przyłączyć.

– Czy to propozycja? – pytam.

Dan odsuwa rękę.

– Zbok.

– To ty wymachujesz mi przed nosem czym popadnie – zauważam.

Dan spogląda w stronę plaży, skąd pożera go wzrokiem grupa dziewczyn. Wyciąga ramiona nad głowę, żeby mogły się przyjrzeć jego muskułom, po czym nachyla się i mnie uderza. Właściwie jest to bardziej kuksaniec w ramię, być może bardziej przyjacielski niż zaczepny.

– Słuchaj – mówi. – Dobrze znasz Hannę.

Nie widziałem jej od naszego ostatniego wieczoru filmowego. Jeśli mam być szczery, było dziwnie. Oboje staraliśmy się zachowywać jak najpoprawniej i żadne z nas nie bawiło się zbyt dobrze. Nie przytuliliśmy się na powitanie ani na pożegnanie. Nie dotknęliśmy się chyba ani razu. Nie wiedziałem, czy Hanna wybrała ten film, bo jej się podoba, czy może chciała mi przy jego pomocy dać lekcję na temat lojalności i kłamstwa. Gwoździem do trumny okazała się nasza rozmowa na temat śmierci Heatha Ledgera.

– Nadal jej się podobam – stwierdza Dan.

Zastanawiam się, jakie to uczucie być tak pewnym własnej atrakcyjności, wiedzieć, że żadna dziewczyna ci się nie oprze. Nie mieć co do tego nawet cienia wątpliwości.

– Chociaż zachowuje się, jakby było wprost przeciwnie – ciągnie. – To się już robi nudne, bo litości...

Mówiąc to, z uwagą przygląda się swojemu ciału. Naprawdę to robi. Kusi mnie, by mu powiedzieć, że Hanna ma go za idiotę, ale co ja tam wiem? Może Dan rzeczywiście podoba się Hannie, która tylko udaje, że jest inaczej. Wcześniej miała przecież na jego punkcie obsesję i to tak wielką, że praktycznie się zabiła, wpadając do jego garażu przez dach.

– Pewnie sam powinieneś ją o to zapytać – mówię.

– I właśnie tu do akcji wkraczasz ty, geju. – Dan strzepuje ze swojej klatki piersiowej grudkę piasku. – Powiedz jej, żeby do mnie zadzwoniła. – Ponownie zerka w stronę dziewczyn na plaży. – Nigdy nie zostają na rynku zbyt długo.

– Dobrze wiedzieć – mówię, gdy się podnosi. – To naprawdę rozczulające. Na pewno jej przekażę.

Dan kiwa głową. Przegląda kilka krótkich nagrań na moim telefonie i rzuca mi go z powrotem.

– Fajne filmiki – mówi. – Chociaż nie ma mnie na żadnym.

Cały wyświetlacz jest zabrudzony śladami jego tłustych, kokosowych palców. Z irytacją wycieram ekran rąbkim koszuli, przez co obrazy skaczą po nim w górę, w dół i na boki niczym oszalałe pszczoły w słoiku. Pomyśl z tygrysem z Sundarbanów nabiera rumieńców – mógłby na przykład podstępnie zaatakować Dana Dukasa. W ciągu ostatnich kilku tygodni zgromadziłem dość materiału, aby nakręcić blisko dwudziestominutowy film.

Nagle dociera do mnie, że Dan Dukas jest pierwszą osobą, która zobaczyła coś, co sfilmowałem. Osoba, której nie lubię najbardziej na świecie, może z wyjątkiem Cheta Langdale'a, obejrzała moją krwawicę, ruszyła swoim ptasim mózdzkiem i wyraziła na jej temat opinię. Żadne z nagrań nie było co prawda obrobione, ale moje pomysły i punkt widzenia leżały przed nim jak na talerzu, obnażone niczym brzuszki kociaka. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

Ale szybko mi przechodzi. Dan się nie roześmiał. Gdyby ktoś miał to zrobić, to właśnie on. Gdyby to, co zobaczył, było kiepskie, powiedziałby mi o tym od razu, lecz tego nie zrobił. I to nie dlatego, że mnie lubi – wyraził to jasno i dobitnie – ani ze współczucia, bo Dan Dukas jeszcze nigdy nad nikim się nie ulitował. Nie powiedział, że mój film jest gówniany, bo może...

Bo może wcale taki nie jest?

14 lipca

Hanna

– Patrz i płacz, siostró – mówi Raz, przewijając coś w swoim telefonie.

– Daj spokój – protestuję, wlepiając wzrok w planszę do gry w scrabble. – *Niedzielony* to jakiś żart.

– Wściekasz się, bo wykorzystałem wszystkie swoje litery. – Szu, szu, szu. – Pięćdziesiąt punktów bonusu, szach i mat.

– Bądź grzeczna, Han – odzywa się niespodziewanie Linus z kąta salonu, gdzie buduje coś na kształt robota ze swoich nowych klocków Lego.

– Sama słyszałaś – mówi Raz, kiedy parskam śmiechem.

– Za dziesięć minut jedzenie będzie gotowe! – woła James z ogrodu na tyłach domu. – Czy ktoś może przynieść sałatkę?

– Pójdiesz po nią, Hanno? – pyta Raz. – Muszę wysłać wiadomość.

– To są *moje urodziny* – mówię poirytowana, *ale mój* brat siedzi pochylony nad telefonem i nie raczy mi odpowiedzieć.

Mama ładnie nakryła do stołu na patio; rozłożyła kraciaste serwetki i powkładała świece do lampionów. Na środku stołu leży tort Linusa, naśladujący budowlę z czerwonych, niebieskich i żółtych klocków Lego, z wbitymi siedmioma świeczkami. Mój jest okrągły i czekoladowy, z siedemnastoma świeczkami. Jestem starsza od mojego młodszego braciszka dokładnie o dziesięć lat i jeden dzień.

– Wszystkiego najlepszego, Linusie i Hanno – odzywa się James.

Wszyscy wznosimy toast. Linus unosi swoją szklaneczkę ze sprite'em i uderza nią w kieliszek mamy tak mocno, że prawie wylewa jego zawartość na jej białą, świeżo wyprasowaną koszulę.

– Oby nigdy nie zabrakło ci wyobraźni i klocków Lego, Linusie. – Następnie James wznosi swój kieliszek w stronę moją i Raza. – A teraz wznoszę toast za wasze pełne słońca i dobrej zabawy wakacje w Szwecji. Będziemy za wami tęsknić.

Tata może i nas zostawił, ale Farmor, babcia Bergdahl, nie. Myślę o wszystkich ciotkach, wujkach i kuzynach, czerwonym ganku domku letniskowego na Singö, jego drewnianym tarasie i donicach pełnych słodko pachnących ziół, o dźwięku wody liżącej piasek i starych rowerach, na których jeździmy wzdłuż brzegu, hangarach na łodzi, wodnych skuterach i samotnym pokrzykiwaniu mew. To już za tydzień, myślę. W przyszłym tygodniu oboje tam będziemy.

Kończymy jeść, powoli nastaje ciepły wieczór. Ćmy lgną do lampionów mamy, a bzyczenie komarów kojarzy mi się z Singö do tego stopnia, że niemal czuję jego zapach.

Dzwonek do drzwi rozlega się krótko po odśpiewaniu przez nas *Sto lat* i pokrojeniu tortów. Gdy ostatni raz widziałam Carmen Mendozę, była owinięta wokół Sola niczym łańcuch wokół przystrojonej na Boże Narodzenie latarni. A jeszcze wcześniej szła alejką w supermarkecie, trzymając za rękę mojego byłego chłopaka. Teraz stoi nieśmiało w moim ogrodzie, z dłońmi splecionymi na wysokości wąziutkiej talii.

– Cześć – mówię ze zdziwieniem.

– Przepraszam, że przeszkadzam. – Carmen patrzy na nas niepewnie swoimi wielkimi ciemnobrązowymi oczami.

– Może kawałek tortu? – odzywa się James. – Mamy tu dzisiaj wysyp urodzin. Przyszedłaś do Hanny?

Prowadzę ją do kuchni. W głowie mam mętlik. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz z nią rozmawiałam. Jedyne powód jej wizyty, jaki przychodzi mi do głowy, to...

– Chodzi o Sola – wyjaśnia Carmen.

Wypadek. Złamana noga. Skręcony kark. Śmierć. Powinnam była do niego zadzwonić albo napisać. Ale cóż – nie zrobiłam tego. Nasz ostatni wieczór filmowy trudno nazwać udanym. Mniej więcej w połowie seansu zaczęłam się martwić tym, jakiego rodzaju sygnał mu wysłałam, wybierając



*Zakochaną złošnicę* – czy mówiłam mu, że go nienawidzę, czy wprost przeciwnie, tak jak Kat w tym wierszu<sup>7</sup>. Poza tym ciągle myślałam o tym, w jaki sposób Heath zakłada Julii włosy za ucho, kiedy całuje ją pod koniec filmu, i jak by to było, gdyby ktoś tak zrobił z moimi włosami. Na przykład Sol. Nic dziwnego, że nasza rozmowa po filmie była raczej krępująca.

– Nie wiem, co robić – zwierza mi się Carmen. – Jesteś jego najlepszą przyjaciółką, więc pomyślałam, że może mogłabyś mi pomóc.

Masz lekko nieaktualne informacje, myślę smutno.

– Pokłóciliście się?

– Nigdy się nie kłócimy. Zawsze jest taki miły, kiedy się spotykamy. Idealny chłopak, można powiedzieć.

– No to w czym problem?

Carmen składa ze sobą dłonie.

– Potrafię to wytłumaczyć tylko w jeden sposób: jest między nami dystans, którego nie umiem skrócić. Jakby stał po przeciwnej stronie rzeki, na której nie ma mostu. Wiesz, o czym mówię?

Srający kot w pełnej krasie. Kiwam głową.

Carmen wygląda, jakby miała się rozplakać z ulgi.

– Wiedziałam, że zrozumiesz! Dostaję od tego szału: czuję się tak, jakbym to ja robiła coś źle... Tak się cieszę, że do ciebie przyszedłam. Chciałam cię więc zapytać – nachyla się w moją stronę – jak mam się przedostać na drugą stronę rzeki?

Patrzy na mnie jak na jakąś wikipedię o Solu.

– Bardzo mi przykro – mówię, czując się jak oszustka – ale nie wiem.

Carmen rzędnie mina.

– Przecież jesteście tak blisko z Solem. Wydawało mi się, że jeśli ktoś będzie znał odpowiedź, to właśnie ty...

– Nie sądzę, by ktokolwiek mógł o sobie powiedzieć, że dobrze zna Sola – mówię. – A już na pewno nie ja.

Carmen przygryza wargę. Jej brązowe oczy napelniają się łzami.

– Pewnie znasz go lepiej, niż myślisz – dodaję szybko, żeby zapobiec ich wylaniu. – W końcu chodziliście ze sobą już dwa razy.

Carmen pociąga nosem.

– Nie, dopiero teraz ze sobą chodzimy.

– Może wcześniej utrzymywaliście swój związek w tajemnicy, ale Sol powiedział mi o nim w Nowy Rok.

– Spotykam się z Solem od marca – wyjaśnia Carmen, marszcząc czoło.

Zmieszanie okrywa mnie wielkim, cuchnącym kocem.

– To *nie* chodziliście ze sobą dwukrotnie?

– Nie. Tak ci powiedział?

Wracam myślami do tamtej rozmowy. Mogłabym *przysiąc*, że Sol powiedział mi w Nowy Rok, że zerwał z Carmen.

– Może źle go zrozumiałam – mówię niepewnie. – W każdym razie to tylko potwierdza to, o czym rozmawialiśmy. Sol jest chodzącą zagadką. Wydaje mi się, że albo musisz się z tym pogodzić, albo dać sobie spokój.

– Tort ci stygnie, Han – odzywa się Raz, wsuwając głowę do kuchni.

Carmen czerwieni się i wstaje od stołu.

– Zająłam ci już dużo czasu. Dziękuję, Hanno. Daj mi, proszę, znać, gdybyś jednak wpadła na pomysł, jak mogę się zbliżyć do Sola. I wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

– Jakim cudem Solżenicyn ją sobie przygruchał? – pyta Raz, kiedy za Carmen zamykają się drzwi.

31 lipca

Jak Szwecja?

Bardzo szwedzka. A Wenecja?

Gorąca, wilgotna i cuchnąca. Jak bardzo piękna pacha.

Uroczy obraz, dzięki

Widziałaś jakieś filmy?

Mnóstwo. Mają tu darmowe seanse na świeżym powietrzu

Tutaj też. Ale nie darmowe. Szkoda, że przegapiliśmy wieczór filmowy.

Szkoda, że przegapiliśmy wieczór filmowy. Ha! To może w sierpniu? Ty wybierasz film.

\*Nie udało się wysłać wiadomości\*

3 sierpnia

Sol

Światło w Wenecji przypomina to na starych obrazach: brzoskwiniowe, miękkie i połyskliwe. Każdy inny rodzaj światła, jaki do tej pory widziałem, wydaje się przy nim płaski i nijaki. Chciałbym się w nim skąpać, wciągnąć w pory mojej skóry i zatrzymać je tam na zawsze. Wracam do hotelu po dziesięć razy dziennie, żeby zgrać kolejną partię zdjęć. Menadżer hotelu myśli pewnie, że mam biegunkę.

Ze wszystkich mostów w Wenecji właśnie ten jest moim ulubionym. W porównaniu z życiem, które tętni pode mną, nasza stacja kolejowa przypomina ciemną stronę księżyca. Zakochani płyną w wysmukłych i pięknych gondolach, przypominających bardziej ptaki niż łodzie. Tulą się do siebie zaledwie kilka centymetrów od czterech liter swoich obojętnych *gondoliere*. Za nimi pruje hałaśliwa barka straży pożarnej; *vaporetto* pełne turystów zwisających ze wszystkich stron niczym przystrojone aparatami fotograficznymi bożonarodzeniowe bombki; jaskrawoniebieska łódź karawan, niewzruszona swoim poważnym ładunkiem. Obserwuję to wszystko w towarzystwie pięciu kotów, które siedzą na gzysie obok mnie, nieruchome niczym figury lwów na jego krańcach. Widok kotów przypomina mi o Nigelu. Ciekawe, czy zdążył już zabić jakieś psy albo przechodniów pod naszą nieobecność.

Mnóstwo dziewczyn w Wenecji przypomina z wyglądu Hannę. Widzę niezliczoną ilość blond kucyków, przemykających wzdłuż alejek i mostów. Można by pomyśleć, że częściej będę tu spotykał dziewczyny w typie urody Carmen, ale nie.

Mruga do mnie ikonka FaceTime'a. Odrywam wzrok od przepływającej w dole łodzi pogotowia ratunkowego, którą właśnie próbuję sfotografować.

- Inaczej wyobrażałem sobie kanały w Wielkiej Brytanii – zauważa Frank.
- Pewnie dlatego, że jestem w Wenecji.
- W Las Vegas czy w tej drugiej?
- Tej prawdziwej.
- Obie są prawdziwe, stary.
- Tej we Włoszech – odpowiadam cierpliwie. – Gdzie się podziewałeś?
- Porządkowałem swoje życie miłosne, tak jak mi radziłeś.

Siadam na gzysie. Jeden z kotów zeskakuje ze swojego miejsca i zaczyna ocierać się brudnym futerkiem o moje kolano.

- Czyżby Lucy w końcu rzuciła Cheta?
- Mhm. Mówiłem ci, że to kwestia czasu.
- Nie ciesz się za bardzo. Lucy ciągle kogoś rzuca.
- Ciebie jakoś nie rzuciła.
- W porę wyniosłem się z kraju, więc nie musiała. Początki zawsze są miłe, Frank, ale później zawsze nadchodzi katastrofa. Kompletnie straciłeś głowę, jeśli myślisz...

Chet Langdale przechodzi przez niewielki ekran, tuż za ramieniem Franka. Jestem tak przerażony jego widokiem, że prawie wyrzucam telefon przez barierkę mostu, prosto do wody. Nie może mnie przecież uderzyć, będąc w Kalifornii, prawda? Nikt jeszcze nie wymyślił aplikacji, w której pięść przebija się przez ekran dotykowy?

- Frank – mówię cicho. – W twoim pokoju jest Chet.

Frank błogo się uśmiecha.

- Wiem o tym.

Gardło tak mi zaschło, że jest teraz idealnym przeciwieństwem kanału pode mną.

- I chyba nie ma na sobie koszuli. Frank, w twoim pokoju jest półnagi Chet Langdale.

- Owszem.

Odkładam telefon wyświetlaczem do dołu na gorące kamienie u moich stóp i zakrywam oczy. Kot z gzysu ponownie mnie zaczepia. Odczekuję dwadzieścia sekund i sięgam po telefon.

- Klasyczne wyparcie – stwierdza Frank. – Na szczęście już mu przeszło.

– Gdybym przewidział coś takiego, nigdy bym cię do tego nie namawiał – mówię, kiedy wreszcie odzyskuję głos. – Ten koleś jest psychopata. Zapomniałeś już, co ci robił? Bicie, tortury? Jak wywiesił cię z okna na czwartym piętrze, przytrzymując za kostki?

– Był sfrustrowany i skołowany. Homoseksualistom jest najtrudniej. Osoby biseksualne, takie jak ja, po prostu płyną z prądem.

– Tak dla jasności, który z was zrobił pierwszy krok?

– Czy naprawdę musisz pytać?

– Jesteś niesamowity – stwierdzam z przerażeniem. – Gdybyś się pomylił, już byś nie żył.

Frank przez chwilę się nad tym zastanawia.

– Może i tak – mówi wreszcie. – Ale miałem rację.

Na ekranie pojawia się twarz Cheta, wykrzywiona furią jak zwykle.

– Jeśli komuś o tym powiesz, Adams, wypatroszę cię jak zająca – mówi.

– Jakie to słodkie – zachwyca się Frank. – Lucy zaczęła lekko świrować, kiedy przyłapała nas razem, ale spotyka się już z Prestonem Lubitzem, więc chyba jej przeszło. Co u Hanny?

Kolejny klon Hanny przechodzi wzdłuż kanału pod mostem.

– Nie mam pojęcia – mówię. – Spotykam się teraz z Carmen.

– Nie nadażam za tobą. Czy to jakaś gorąca laska?

– Jest urocza.

– W ten sposób określa się starych ludzi – stwierdza Frank obojętnie. – Czy Carmen to czyjaś babcia?

Chet ponownie przechodzi przez ekran, prężąc klatę. Odsuwam telefon na długość ramienia.

– Będę się zbierał, Frank – mówię. – Co za dużo, to niezdrowo.

Kończę połączenie i przez chwilę wpatruję się niewidzącym wzrokiem w kanał. Myślę o Franku podrywającym największy postrach w całej szkole. Wiedział, że jeśli się myli, Chet rzuci mu się do gardła, a jednak to zrobił. Czy sam podjąłbym tak wielkie ryzyko, nawet gdybym spodziewał się czegoś dobrego? Jakoś nie umiem sobie tego wyobrazić.

Zielona łódź śmieciarka płynie z łoskotem w stronę mostu. Jestem tą łodzią, myślę ponuro, podnosząc się z kocich łbów, i ponownie opieram się o gzyms. Pełen syfu ukrytego głęboko w ciemnych czeluściach kadłuba. Smukłe białe ramię łodzi sięga po błyszczące pojemniki na śmieci stojące obok kanału i unosi je nad kontenery; ich srebrne dna otwierają się jak muzyczne pozytywki. Widok tego parszywego, lecz rytmicznego tańca jest urzekający. Filmuję go przez chwilę, uspokajając się powoli.

14 sierpnia

Hanna

Pluskam lekko stopą o powierzchnię jeziora. Obok mnie wznosi się trampolina. Woda jest zimna i miękka, łagodnie omywa mi palce. Chciałabym tu zostać na zawsze, ale to by oznaczało, że nie zjem pulpetów Farmor – nie ma takiej opcji.

Raz w końcu leży nieruchomo, po raz pierwszy od wielu godzin, z okularami przeciwsłonecznymi na nosie i palcami splecionymi na piersi. Coś mi się wydaje, że ten jego tryb odpoczywającego Buddy to tylko cisza przed burzą. Staram się zignorować przecucie, że coś się święci, i zamiast tego rozmawiam z nim o swoich planach, z którymi noszę się od chwili przyjazdu. Raz chyba nawet mnie słucha, chociaż stuprocentowej pewności nie mam.

– W Wielkiej Brytanii nie ma zbyt wielu uczelni, na których można studiować skandynawistykę, ale znalazłam kilka w sieci. UCL<sup>8</sup> oferuje skandynawistykę połączoną ze studiami filmowymi – kompletny odlot, nie sądzisz? Poza tym wysyłają cię na rok do Uppsali lub Göteborga.

– Mmm – mruczy Raz.

Dźgam go palcem.

– Nie mów tak. Sol zawsze tak mówi, kiedy nie chce o czymś rozmawiać, więc praktycznie ciągle to powtarza. Myślisz, że to głupie, że chcę się uczyć szwedzkiego?

– Te studia dotyczą nie tylko Szwecji – mówi Raz. – Będziesz się też zajmować innymi językami nordyckimi. Nie ma w nich nic pięknego. Która godzina?

– Pytałeś mnie o to pięć minut temu. Powiedziałam wtedy „dwadzieścia pięć minut do klopsików”. Możemy więc śmiało założyć, że teraz zostało dwadzieścia minut do klopsików. No więc jak? Myślisz, że to dobry pomysł?

– Jaki?

– Skandynawistyka – powtarzam.

– Pasowałyby do ciebie takie studia.

– To dobrze czy źle?

– Nie wiem. Przecież nie jestem tobą, prawda? – pyta z irytacją.

Cały spokój wyparował – Raz znów nerwowo stuka stopą w pomost i bębni palcami o piersi. Gdybyśmy grali w *Gniewie oceanu* albo *Życiu Pi*, na wodzie wezbrałyby fale.

– Czekamy na coś? – pytam.

Raz osłania oczy przed słońcem i wpatruje się w brzeg. Nagle jakby się spina.

– Do zobaczenia po tamtej stronie – mówi.

Wyciąga rękę przez pomost i mnie popycha. Wpadam z piskiem do lodowatego, satynowego jeziora. Kiedy się wynurzam, Raz jest już w połowie drogi do brzegu. Przez chwilę młóczę wściekle wodę, poprawiając kostium, a potem rzucam się w pogoń. Nie ćwiczyłam od zajęć gimnastycznych z panią Salter jeszcze w szkole przy Gordon Lane, a mimo to docieram do brzegu zaledwie kilka sekund po moim bracie.

– Oszukiwałeś – mówię bez tchu, gramoląc się z wody.

Raz obejmuje mnie ramieniem i pomaga mi wstać. Jest tak ciężkie i zimne od lodowatej wody, jakby należało do zmarłego.

– Han – mówi. – Nie gniewaj się na mnie, okej?

Odgarniam z oczu mokre włosy.

– Za co miałabym się gniewać?

Nad brzegiem jeziora zatrzymuje się samochód; w ciszy słychać terkot silnika. Za kierownicą siedzi jakaś blondynka, a od strony otwartych drzwi pasażera zbliża się do nas mężczyzna, który wygląda jakby znajomo. Ma na nosie takie same okulary jak Raz.

– Za niego.

Widzę wystające zęby taty i staję jak wryta. Czy to nie dziwne, jakiego rodzaju szczegóły

zapamiętujemy? Patrzę na Raza, szukając u niego wskazówki, jak powinnam zareagować.

Kiedy tata do nas dochodzi, przyglądamy się sobie jak zwierzęta zamknięte w oddzielnych boksach w zoo. Ktoś powinien zacząć sprzedawać lody.

– Oboje jesteście bardzo podobni do swojej matki – odzywa się wreszcie tata. – To dziwne, jak rozkładają się geny. – Zerka w stronę samochodu i siedzącej za kierownicą kobiety. Z tylnego okna wysuwają się dwie małe, blondwłose dziecięce główki; patrzą na nas jak na film w kinie.

Chcę coś powiedzieć, ale nie mam pojęcia co. Wszystko, co przychodzi mi do głowy, brzmi strasznie głupio. Jak się masz? Czy to ona? To twoje dzieci? A może „przyniosłam melona”<sup>9</sup> byłoby odpowiednie w tej sytuacji?

– Nie mogę długo zostać – uprzedza tata.

– Im krócej, tym lepiej – odpowiada Raz.

Tata nasuwa okulary na głowę i po raz pierwszy od ośmiu lat widzę jego oczy. Strzela nimi nerwowo na boki.

– Przecież to ty się ze mną skontaktowałeś, Rasmusie.

Raz wygląda na zdenerwowanego.

– Powiedziałem, że chcę cię zobaczyć, nie z tobą rozmawiać. Możesz już wracać do swojej drugiej rodziny.

– Jechałem tutaj dwadzieścia minut, żeby to usłyszeć?

– Szerokiej drogi. – Raz strzela w powietrze palcami. – Sio!

– Nie zachowuj się tak, Raz – proszę skrepowana.

– Przepraszam, Hanno – zwraca się do mnie tata. – Myślałem, że oboje chcecie ze mną porozmawiać. Ale wygląda na to, że Raz wezwał mnie tu tylko po to, żeby dać mi nauczkę.

Kobieta za kierownicą woła coś do taty i przywołuje gestem do siebie. Jedno z dzieci na tylnym siedzeniu zaczyna płakać; jego zawodzenie roznosi się w ciepłym letnim powietrzu.

Słychać trzask siatkowych drzwi i zauważam wybiegającą z domu Farmor; pędzi na złamanie karku przez trawnik, w powiewającej na wietrze żółtej podomce, mocno zaciskając palce na swoim starym drewnianym różańcu.

– Skoro to wszystko, na mnie już czas. Przed nami długa droga.

– Dokąd jedziesz? – Dociera do mnie, że ostatnim razem, gdy się widzieliśmy, zadałam mu dokładnie to samo pytanie.

– Na północ. Rodzina Else ma letni domek w Juniskär. To jakieś cztery godziny drogi stąd. Dzieci powinny zjeść lunch.

– Nie możemy im sprawić zawodu, co? – odzywa się Rasmus.

– Przepraszam – mówi tata. – Nie powinienem był tu przyjeżdżać.

Wraca do samochodu. Ledwo zamykają się za nim drzwi, kobieta rusza z piskiem opon. Farmor dociera do nas zziązana, z przyciśniętymi do piersi dłońmi, lecz samochód już znika w oddali.

– Wszystko w porządku, Farmor. – Raz odnajduje moją dłoń i mocno ją ściska. Ma spoconą rękę i trzęsą mu się palce. – I tak nie był zaproszony na klopsiki.

24 sierpnia

Co powiesz na duńszczyznę?  
Dzięki, już jadłam

Duński film, którego akcja rozgrywa się we Włoszech. Oglądałem go w Wenecji. Jest NIE-SAMO-WI-TY.

Nigdy nie widziałam u Ciebie takiego entuzjazmu. Ale czy szwedzki to nie to samo co duński...?

Chcesz studiować skandynawistykę połączoną z filmoznawstwem? To będzie świetne przygotowanie.

Czy ten film wymaga koncentracji?

Pewnie trochę więcej niż poprzednie. Ale zdecydowanie warto.  
To dobrze, bo muszę przestać MYŚLEĆ

Widziałaś się z Trixie?  
Haha NIE

\* \* \*

WŁOSKI DLA POCZĄTKUJĄCYCH (2000)

Reżyseria: Lone Scherfig

Subtelna komedia romantyczna opowiadająca historię sześciu ludzi, których losy splatają się pewnej ponurej kopenhaskiej zimy. Krótco po przyjeździe do miasta, Andreas (Anders W. Berthelsen), młody, wrażliwy duchowny, zostaje namówiony, by zapisać się na kurs włoskiego razem z pięciorgiem innych samotnych dusz. Gdy pojawia się na zajęciach, każdy z bohaterów podejmuje ważną decyzję, która odmieni bieg ich życia.

*Włoski dla początkujących* został nakręcony zgodnie z surowymi regułami ruchu Dogma 95, który zezwala na korzystanie wyłącznie z naturalnego oświetlenia i kamer ręcznych oraz postuluje nieużywanie efektów specjalnych. W maju 2010 roku Scherfig przyznał się, że zapożyczył pomysł na film z książki irlandzkiej pisarki Maeve Binchy *Evening Class*.

31 sierpnia

Sol

Kiedy nastawiam film, trzęsą mi się ręce.

– Dlaczego tak się denerwujesz?

Długie opalone nogi Hanny są tak zasupłane, że do rozplątania ich będzie chyba potrzebowała obfitej porcji smaru.

Wycieram spocone dłonie o dzinsy i próbuję uspokoić palce. To niedorzeczne, żebym się tak czuł przez jakiś tam film. Od powrotu z Wenecji widziałem go pewnie dwudziestokrotnie i za każdym razem byłem tak samo zachwycony jak za pierwszym. Pewnie zawsze będzie mi się kojarzył z zapachem zardzewiałej łodzi śmieciarki sunącej późną nocą kanałem pod oknem naszego hotelu, kiedy ja wlepiąłem urzeczony wzrok w ekran telewizora.

– Po prostu bardzo mi zależy, żeby ci się spodobał – mówię.

– Czy któryś z aktorów ma szansę mi się spodobać?

– Han, musisz zacząć poważniej myśleć o filmach, jeśli chcesz je studiować. To sztuka, a nie pornografia.

– Nie musisz być taki śmiertelnie poważny, profesorku.

– Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało, po prostu... Kocham ten film.

Sadowię się obok niej, zanurzam się w pracę ręcznej kamery i szare, ponure światło kopenhaskiej zimy. Urywane duńskie słowa grzmą w pokoju; surowe, przykre dla ucha i hipnotyzujące. Na tym tle wszystkie poprawki, które wprowadzam we własnych filmach, wydają mi się strasznie sztuczne. Wreszcie coś prawdziwego.

Hanna odzywa się po jakichś dwudziestu minutach.

– Łatwiej ich zrozumieć, niż myślałam. Duńczycy rozumieją Szwedów, ale w drugą stronę to już nie zawsze działa.

– Od tego są napisy – zauważam.

– Napisy nie są do końca poprawne. Są w nich błędy.

– Są w porządku – mówię, usiłując się skoncentrować.

– *Okropne* ma te włosy, co? – komentuje Hanna kilka minut później. – Wyglądają jak para zatłuszczonych zasłon.

Przez kolejne dziesięć minut okrasza film podobnymi uwagami. Wszyscy są brzydcy. Czy tam nigdy nie przestaje padać?

– Oglądamy czy nie? – pytam.

– Mam przestać mówić. W porządku. Już się nie odzywam.

Przez kolejne czterdzieści pięć minut mogę się bez przeszkód zatracić w opowieści. Nieszczęśliwi bohaterowie przypominają papierowe figurki na zajęciach pana Yamauchiego, kanciaste i skostniałe. Żadnych sztuczek, żadnych rekwizytów. Żadnej scenografii. Wszystko boleśnie, cudownie prawdziwe.

Kiedy akcja filmu przenosi się do Wenecji, tak zimnej i deszczowej, że przypomina Manchester, Nigel wbiega do pokoju i rzuca się na zasłony. Podskakuję jak oparzony, wylewając na siebie resztki lodowatej herbaty.

Ściągam podkoszulek, kiedy Gareth zjawia się w drzwiach z transporterem na kota w dłoni, w ogrodniczych rękawicach i masce do szermierki.

– W okolicy został już tylko jeden weterynarz, który zgadza się go odrobaczyć... – mówi głosem stłumionym przez maskę. – Mam nadzieję, że będzie miał silniejsze nerwy niż poprzednik. Hanna już sobie poszła?

Dopiero wtedy dociera do mnie, że nie ma jej na kanapie.

– Może jest w łazience? – strzelam.

Gareth przysuwa krzesło do zasłon i staje na nim.



– W łazience nikogo nie ma – mówi, usiłując ściągnąć Nigela. Prawie zrywa przy tym karnisz. – Jakieś dziesięć minut temu słyszałem dźwięk zamykania tylnych drzwi. Chodź tu, ty cholerny kocie.

Hanna siedzi przy stole w ogrodzie i wpatruje się w żywopłot.

– Byłam ciekawa, kiedy zauważysz, że mnie nie ma – mówi, kiedy siadam obok niej na ławce. Znowu ma nogi na supeł, zakręcone wokół siebie niczym dwusmakowe żelki sznurki.

Czekam.

– Tata nie chce nas znać – zwraca się do żywopłotu. – Odjechał. Po dwóch minutach.

– Mówiłaś, że to Rasmus kazał mu się wynosić.

– Gdyby chciał, to by został. Czego by Raz nie powiedział. – Wyciera oczy grzbietem dłoni. –

W domu panuje teraz dziwna atmosfera. Farmor zadzwoniła do mamy i o wszystkim jej opowiedziała. Teraz mama i James chodzą wokół Raza na paluszkach, jakby był chory, a mnie traktują, jakbym była ze szkła, i ciągle pytają: jak się czujesz? Jak się czujesz? *Przez cały czas*. Sama nie wiem, jak się czuję. Nie sądzę, żeby dało się to zgrabnie podsumować jednym: jestem zła albo zdenerwowana, czy na jaką tam odpowiedź liczą.

Kładę dłoń na dłoni Hanny. Przenika mnie ciepło jej skóry. To pierwszy raz od wielu miesięcy, kiedy ją dotykam.

– Raz przygotowywał się do tych dwóch minut od marca, tuż po tym, jak zdradziła go Leah. Podobno zaczął się wtedy zastanawiać, kto był ostatnią osobą, która skrzywdziła go w podobny sposób. Skontaktował się z tatą, żeby przestać myśleć o Leah. A teraz musi sobie znaleźć coś, co pozwoli mu zapomnieć o tacie. Niezły bigos.

Waż pożerający własny ogon, myślę.

Hanna wyciąga rękę spod mojej dłoni i wyciera nos rękawem bluzy.

– Czy to odejście taty sprawiło, że zaczęłam oczekiwać po ludziach najgorszego? Tak jak po Lizzie i Jake’u zeszłego lata?

– Sama musisz sobie na to odpowiedzieć.

– Jak można nie chcieć znać własnych dzieci?

– Mama Garetha też nie chce go znać. Kiedy miał dwadzieścia lat, powiedział jej, że jest gejem, a ona wyrzuciła go z domu.

– Boże – mówi Hanna, spuszcżając wzrok.

– A to przecież moja babcia. – Czuję się w obowiązku dodać. – Gareth jest moim biologicznym ojcem. Nigdy nie poznała Andrew, chociaż moi rodzice są ze sobą od dwudziestu lat. Gareth co roku wysyła jej kartkę na święta i ani razu nie dostał kartki od niej. Gdybym zobaczył ją na ulicy, to bym jej nie poznał.

Hanna przestaje się gapić na żywopłot, przenosi wzrok na mnie i nagle czerwieni się jak burak.

– Dlaczego nie masz na sobie koszulki? – pyta.

– Herbata. – Nie wiedzieć czemu, pokazuję na swoją pierś, chociaż to jasne, że sama ją widzi. – Oblałem się przez Nigela.

– Załóż coś na siebie, na litość boską!

W jej głosie słychać autentyczne przerażenie. A mnie się zdawało, że akurat moja klatka piersiowa prezentuje się przyzwoicie. Jest nawet nieco bardziej opalona niż zwykle. Widać, jak się znam. Wchodzę do domu i wyciągam podkoszulek z szafki nad bojlerem, do której Andrew odkłada wyprane rzeczy, których nie chce mu się zanieść na górę.

– Lepiej? – pytam, wracając do ogrodu. – Posłuchaj, to świeża sprawa, oboje potrzebujecie czasu, żeby to przetrwać. Nie wymagajcie teraz od siebie za dużo.

W tym momencie brzęczy mój telefon. Mam okropne przecucie, że to Carmen. Unikałem jej od powrotu z Wenecji w nadziei, że pomyśli, że jeszcze nie wróciłem i nie mam zasięgu.

Hanna wstaje z ławki.

– Lepiej już pójdę. Pewnie masz co robić, zresztą ja też mam co robić, tak więc oboje... mamy co robić.

– Podobał ci się film? – pytam z niepokojem.

– Tak! To znaczy, właściwie go nie oglądałam, ale tak. To, co widziałam, było dobre.

– Możemy go jeszcze kiedyś obejrzyć?

Hanna nagle zaczyna wyglądać na zdenerwowaną.

– Nie uważasz, że to łamie reguły naszych wieczorów filmowych?

– W takim razie obiecaj mi, że kiedyś go obejrzysz, niekoniecznie ze mną. Po prostu go zobacz, okej? Jeśli planujesz studiować skandynawistykę połączoną z filmoznawstwem, zabłyśniesz na rozmowie kwalifikacyjnej wiedzą na temat ruchu Dogma 95.

Nigel wpada do ogrodu jak burza, tylne łapy zaplątały mu się w metalową kratkę. Dźwięk, jaki przy tym wydaje, to chyba najokropniejsze pobrzękiwanie, jakie w życiu słyszałem.

– No to cześć – mówi Hanna.

Chce mnie pocałować w policzek, ja ją też, ale robimy to tak niefortunnie, że zderzamy się nosami. Nigdy wcześniej nas to nie spotkało. Hanna wycofuje się, oblewa rumieńcem, wyciąga rękę, poklepuje mnie po ramieniu, a później wraca do kuchni niemal tak szybko, jak Nigel z niej wyskoczył.

– Spotkamy się jutro nad jeziorem? – pytam, odprowadzając ją do frontowych drzwi. – Będzie mnóstwo ludzi.

– Lepiej nie. W przyszłym tygodniu zaczynają się zajęcia, więc muszę się przygotować. – Przez chwilę udaje, że kogoś boksuje, po czym spogląda na swoje pięści, jakby nigdy wcześniej ich nie widziała. – A skoro o tym mowa, z jakiego przedmiotu rezygnujesz w tym roku? – Patrzy na mnie z takim przejęciem, jakby to była dla niej sprawa wielkiej wagi.

Jestem lekko zbity z tropu tą nagłą zmianą tematu. Dopiero co rozmawialiśmy o życiu, nie o podręcznikach.

– Z geografii. Dobrze zdałem egzamin, ale do niczego nie będzie mi ona potrzebna. A ty?

– Z historii. Lubię ją, ale myślę, że bardziej przydadzą mi się medioznawstwo i angielski, a najbardziej francuski, ponieważ francuski to język obcy, a ja powinnam udowodnić, że potrafię się porozumiewać w języku obcym – wyrzuca to z siebie z szybkością karabinu maszynowego. – Do zobaczenia.

– Ekhm, no tak – mówię do drzwi, gdy tylko się za nią zamykają. – Jasne. W przyszłym tygodniu.

– Widziałeś Nigela? – pyta zdyszany Gareth ze szczytu schodów. Z dłoni zwisają mu smętne pozostałości transportera.

Nie odrywając wzroku od frontowych drzwi, pokazuję mu kciukiem tylne wyjście. Gareth mamrocze coś pod nosem i schodzi na dół. W drodze do ogrodu uderza maską do szermierki we framugę kuchennych drzwi.

1 września

Hanna

Lizzie zerka znad okularów przeciwsłonecznych, jak wychylam się zza sosny.

– Możesz już wyjść – mówi. – Zagrożenie minęło.

– Powiedziałam Solowi, że mnie tu dzisiaj nie będzie – tłumaczę nerwowo. – Tak naprawdę nie powinno mnie tu być. Chyba po prostu... – Macham ręką w stronę przystanku. Zapach spalin wypuszczonych przez ostatni autobus nadal unosi się w powietrzu ponad koronami drzew.

– Czy chodzi o to, że zobaczyłaś jego nagą klatkę?

Chociaż to zdarzenie z wczoraj, czuję się tak, jakbym przeżywała je od pół roku.

– To było okropne, Lizzie. Sol pewnie myśli, że kompletnie zbzikowałam.

– Opowiedz mi o tym jeszcze raz – prosi Lizzie, szczerząc zęby w uśmiechu. – Nie miał na sobie *całego* podkoszulka?

– Wyjaśnij mi, jak mógłby nie mieć go na sobie tylko w połowie?

Lizzie zarzuca sobie plażową torbę na ramię.

– Teraz już rozumiesz, dlaczego wtedy przy szafkach zrobił się korek. Daj spokój, głupia. Skoro już tu jesteśmy, spędźmy miło czas, bo niedługo będę musiała wracać do domu.

Najpierw obcięłam wzrokiem jego tyłek. Teraz nigdy już nie będę mogła spojrzeć na jego klatkę piersiową i nie przypomnieć sobie kończącego się na pępku sześciopaku oraz mięśni prowadzących do paska dżinsów. A dzisiaj znowu je zobaczę, jeśli Sol rzeczywiście się pojawi. Pewnie zobaczę także resztę jego ciała. Przy tej temperaturze raczej nie będzie się kręcił nad jeziorem ubrany po szyję. Gdzie ja mam podziąć wzrok? Nieustannie patrzeć mu w oczy? Ludzie robią to tylko wtedy, gdy starają się nie patrzeć w *inne miejsca*.

Podoba mi się to, co do tej pory łączyło mnie i Sola. No, może z wyjątkiem tajemnic i gapienia się na pociągi. Teraz, gdy już uzmysłowiłam sobie, że trzymam w ręku mydlaną bańkę, jestem pewna, że zadrżą mi palce, a wtedy... PUF! Nasza relacja zamieni się w tęczową mgiełkę. Moje życie tak się ostatnio pokomplikowało, że jeszcze większy mętlik w głowie jest ostatnią rzeczą, jakiej mi potrzeba.

Od strony przystanku autobusowego idą kolejni ludzie. Pewnie mają mnie za idiotkę albo ekshibicjonistkę. Niechętnie odrywam się od drzewa i idę za Lizzie po sosnowych szyszkach, igłach i korzeniach do miejsca, w którym zaczyna się piasek.

Dzisiaj jest tu jak na prawdziwej plaży. Małe dzieci kopią kanały i napełniają fosy swoich błotnistych zamków. Dziewczyny w bikini prażą się na słońcu, a w powietrzu unosi się dym z przenośnych grillów. Jaskrawe plażowe ręczniki rozrzucone na brudnym piasku przypominają barwne plamy namalowane plakatówkami.

Niedaleko brzegu Stevie razem z tymi chłopakami co zwykle, rozgrywa mecz – uganiają się za piłką w plażowych szortach. Sola z nimi nie ma, ale to żadne zaskoczenie. Tuż obok grających, niczym szereg sztucznie opalonych kiełbasek, leżą Vashti, Laura i Trixie. Co jakiś czas wydają z siebie piski, kiedy któryś z chłopaków obsypie je piachem. Jakby nie miały dosyć po motocyklowych wyczynach Dana.

Nigdzie nie widzę Sola. Może nie...

– O, tam jest. – Pokazuje palcem Lizzie. – Z Carmen. Boże! Czyż nie wygląda obłędnie?

Sol i Carmen siedzą na plażowych krzesłach od kompletu ustawionych w sporej odległości od brzegu. Carmen, ubrana w czerwony kostium, który wydaje się zarazem skromny i niewiarygodnie seksowny, natłuszcza czymś swoje szczupłe brązowe ręce. Jej stary słomkowy kapelusz nachyla się w stronę twarzy jej chłopaka i osłania go przed słońcem. Sol ma na sobie koszulę, ale rozpiętą.

Lizzie rzuca torbę na piasek częściowo zacieniony przez szuwary, poza linią wzroku Sola i Carmen. Podobnie zresztą jak wzroku Trixie, Vashti i Laury. Całkiem okej.

– Bierzmy się do roboty – mówi, kiedy już obie jesteśmy nasmarowane kremem przeciwsłonecznym. – Najgorszy kostium?

Przestaję się gapić na Sola i Carmen.

– Tamten. – Pokazuję na mężczyznę z lodem w dłoni, przemierzającego plażę w długich, niebiesko-żółtych hawajskich szortach. – Najgorszy makijaż?

Lizzie wskazuje na posklejane rzęsy Vashti, przypominające odnóża owada. Tworzymy tę samą listę, co podczas każdej wizyty nad jeziorem w gorący, słoneczny dzień: najgorsze buty (połyskujące szpilki), najlepszy kapelusz (ogromny, biały, z obwisłym rondem, na głowie dziewczyny przy stoisku z kawą i lodami), najgorszy ręcznik (brązowa szmatka ledwie mieszcząca tyłek właściciela), najmniej odpowiedni makijaż plażowy. Z tymi ich wyskubanymi brwiami, czerwonymi ustami i błyszczącymi kośćmi policzkowymi Vashti, Laura i Trixie zdobywają pierwsze miejsce ex aequo. Śmieję się z Lizzie parodiującej Vashti, której piasek przykleił się do błyszczczyka, i czuję się... prawie normalnie.

– Tam jest Raz – odzywa się Lizzie.

Podnoszę się na ręczniku.

– Gdzie?

– Tam, gdzie patrzy połowa dziewczyn na plaży.

Ze swoją szwedzką opalenizną, lustrzankami i chmurną miną, która praktycznie nie znika mu z twarzy, Raz ściąga na siebie jeszcze więcej spojrzeń niż zwykle, gdy tak leży na ręczniku z nosem w *Wojnie i pokoju*. Podnosi wzrok znad książki, kiedy do niego macham, i natychmiast opuszcza go z powrotem.

– Myślisz, że trzeba mu nasmarować plecy? – pyta Lizzie z nadzieją w głosie.

– Mówisz o moim bracie. Jeśli go posmarujesz, to na własne ryzyko. Zachowuje się okropnie, odkąd... No właśnie. Odkąd.

– Ty też się tak zachowujesz, a jednak nasmarowałam ci plecy.

Kwaśna mina Raza w połączeniu z połyskującą taflą jeziora przywodzi mi na myśl wspomnienie, z którym nie mam ochoty się teraz mierzyć. Oczywiście wszystko znowu staje mi przed oczami. Szczególnie moment, gdy tata nas zostawia. Zaczynam myśleć o tym, co powiedział mi o swojej babci Sol. Narasta we mnie złość.

– Suka – mamroczę pod nosem.

Dobrze jest to z siebie wyrzucić. Tak jak wtedy, gdy widzisz w filmie naprawdę okropną postać i możesz na nią nawrzeszczeć, ile wlezie, bo i tak nic nie dzieje się naprawdę.

– Suka – powtarzam nieco głośniejszym głosem, przykładając do twarzy plażową torbę. – CHOLERNA SUKA – mówię już naprawdę bardzo głośno.

– Jestem oczarowana – odzywa się Lizzie spod kolorowego sombrero, które nosi od czternastego roku życia.

Opuszczam torbę.

– Dzień dobry, nazywam się Lewis – mówię spokojnym głosem. – I jestem wściekły na swojego ojca.

– *Pretty Woman*. Dobra robota, Han. Tak trzymaj.

Opadam z powrotem na ręcznik.

– Wczoraj Sol powiedział mi coś o swojej babci – odzywam się w kierunku nieba.

– To było przed tym, jak zdjął koszulkę, czy już po?

I oto klata powraca. Szeroka. Ciepła. Przycupnięta tuż obok mnie.

– Powiedział mi, że babcia wyrzuciła z domu jego tatę za to, że jest gejem. – Dociera do mnie, że jest to pierwsza naprawdę osobista rzecz, którą podzielił się ze mną Sol.

– Jak rodzic może zrobić coś takiego własnemu dziecku?

– To samo pomyślałam.

Kto ma rację, rodzic czy dziecko? – zadaję sobie pytanie w nagłym olśnieniu. Odpowiedź wydaje się oczywista. Dlaczego ta, której sama szukam, miałaby brzmieć inaczej?

Niespodziewanie wyrasta nad nami Dan ubrany w skąpe kąpielówki. Na szyi ma rzemyk z kłębkiem rekina.

– Hej, Han.

– Jesteśmy tu we dwie, Dan – mówię, a Lizzie w milczeniu naciąga sombrero na twarz.

– Jasne. Cześć, Lizzie.

Lizzie podnosi rękę znad ręcznika i pokazuje mu środkowy palec. Dan drapie się pod mocarną, pachnącą kokosem pachą. Nadal jest niesamowicie seksowny, myślę ze smutkiem. Niesamowicie, spektakularnie seksowny.

– Wiecie, gdzie mnie szukać – dodaje.

– Oczywiście – odzywa się Lizzie spod swojego kapelusza, kiedy Dan odchodzi. – Czuć go aż tutaj.

Odrywam wzrok od jego idealnie wyrzeźbionego tyłka i unoszę brzeg sombrero Lizzie.

– Więcej się z nim nie umówię – oświadczam.

Unosi niedowierzająco brwi.

– Mówię poważnie, Lizzie. Nie ma takiej możliwości, żebym poszła z nim jeszcze kiedyś na randkę. Nie po tym wszystkim. Nie po tym, co zrobił tobie.

Spoglądam na leżaki Sola i Carmen i oblewa mnie zimny pot. Sola już tam nie ma. Obracam się na wszystkie strony niczym ryba złapana na haczyk i przeczesuję wzrokiem tłum. Próbuję się przy tym zachowywać całkowicie, stuprocentowo normalnie.

Zauważył mnie. Idzie tu, żeby ze mną porozmawiać.

Chce się dowiedzieć, dlaczego wczoraj tak dziwnie się zachowywałam.

Co ja mu powiem?

Z szuwarów wylatuje mokra czapka i ląduje na piasku obok mnie. Coś zaczyna się tam potwornie kotłować. Kiedy Lizzie i ja zrywamy się na równe nogi, naszym oczom ukazuje się widok, którego nie zapomnę przez całą wieczność.

## Sol

Zsuwam czapkę i przypatruję się zmrużonymi oczami rosnącym nad jeziorem szuwarom – miejscu, które wskazała mi moja dziewczyna. Rzeczywiście, Hanna tam jest. Staram się nie gapić na jej długie opalone nogi wyciągnięte na ręczniku. Całe to szwedzkie słońce i emocje zabarwiły jej ciało na niesamowity kolor.

– Powiedziała, że jej tu nie będzie.

Carmen wciera w kostki ostatnią kroplę kremu do opalania.

– Kiedy się z nią ostatnio widziałeś?

Dopada mnie poczucie winy. Czemu? Przecież tylko dotknąłem jej dłoni, obrzydziłem swoim widokiem i popchnąłem do ucieczki. Trudno to nazwać zdradą.

– Wczoraj. Na wieczorze filmowym.

– Widziałam się z nią w zeszłym miesiącu. Mówiła ci?

Ogarnia mnie panika.

– Spotkałaś się z nią?

– Nie bój się. Nie masz kłopotów. Po prostu chciałam z nią porozmawiać.

– O czym? – pytam niespokojnie.

Carmen klepie się po nosie.

– Babskie sprawy.

Czy *babskie sprawy* obejmują dziwne kłamstwa, które nawygadywał twój chłopak o tym, że spotykał się z tobą dwa razy? Carmen coś by mi przecież powiedziała. Hanna zresztą też. A może właśnie dlatego uciekła? Mam w głowie mętlik. Pod pachami zbiera mi się pot.

– Muszę popływać. Chcesz pójść ze mną?

Carmen układa się na leżaku.

– Nie, dziękuję. Ale ty idź, jeśli chcesz. O mnie się nie martw.

Rzucam koszulę na krzesło i przechodzę przez opalające się tłumy, lawirując między dziećmi z tymi ich wiaderkami i łopatkami. Z szuwarów obserwuje mnie łabędź – kiwa z pogardą swoją śnieżnobiałą głową, kiedy zanurzam się w zieloną głębinę. Nietrudno zrozumieć, dlaczego woda odgrywa ważną rolę w tak wielu religiach. Naprawdę można poczuć, że coś z nas zmywa. Kładę się na plecach, unoszę przez chwilę, wiosłując delikatnie dłońmi, i czuję jak chłodna woda leniwie obraca mnie wokół własnej osi.

Po pewnym czasie zaczynam mieć wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Opuszczam nogi na muliste dno. Naprzeciwko mnie stoi Vashti Wong i pożera wzrokiem moją klatkę piersiową.

– Niepotrzebnie tak ją chowasz – mówi.

Czuję absurdalną potrzebę zasłonięcia się rękami.

– Hej – odpowiadam, nerwowo rozglądając się w poszukiwaniu ratunku.

Vashti zanurza się z uśmiechem i pod pływa nieco bliżej.

– Wiem, że ci się podobam – stwierdza.

Przełykam ślinę.

– A... skąd to wiesz?

Unosi jedno mokre ramię, zanurza się w wodzie i pod pływa jeszcze bliżej.

– Bo podobam się wszystkim chłopakom.

Wycofuję się w szuwar. Na nienaturalnie długich rzęsach Vashti drżą kropelki wody.

– Posłuchaj, naprawdę mi to pochlebia – zaczynam – ale jestem tu ze swoją dziewczyną i...

Jest już tak blisko, że czuję jej dotyk na swojej klatce piersiowej.

– Nikt nas tu nie zobaczy. Za dużo się martwisz.

Zdejmuje mi z głowy czapkę i rzuca ją nad szuwarami. Następnie łapie moją głowę i wpija mi się w usta. Smakują słodko i lepko. Vashti jest... Jej ciało...

Z szuwarów wyskakuje łabędź, jego maleńkie oczka złośliwie połyskują, a skrzydła wściekle

młocą wodę. Vashti wrzeszczy. Ja zachłystuję się zieloną wodą z jeziora. Widzę tylko białe pióra, twarde czarne łapy i skrawek bikini.

Vashti znowu krzyczy i zasłania głowę rękami, kiedy łabędź zaciekle się szamocze. Nad szuwarami, centralnie za całą tą sceną, pojawia się kolorowe sombrero, a obok – jak w wiejskim filmie – wyskakuje głowa Hanny. Usiłuję przepędzić ptaszysko, osłaniając się przed uderzeniami jego wielkich skrzydeł. W końcu łabędź stroszy pióra i z sykiem wycofuje się w wysokie trawy porastające brzeg jeziora. Vashti nadal piszczy niczym rakietka z balona.

– Wydawało mi się, że to jeden z tych porządnych – odzywa się sombrero. Rozpoznaję głos Lizzie.

Hanna ma takie spojrzenie, że gdyby łabędź znalazł się w zasięgu jej wzroku, zginąłby na miejscu jak rażony piorunem.

– Najwyraźniej wszyscy chłopcy są tacy sami. Ładny błyszczak, Sol.

Usiłuję zetrzeć błyszczak z warg. Jest w nim piasek. Po co dziewczyny tego używają?

– To nie tak, jak myślisz – mówię.

Hanna patrzy bez słowa na górę od bikini Vashti, która zsunęła jej się podczas walki i spokojnie dryfuje w stronę brzegu. Vashti próbuje ją złapać, zanim wpadnie w ręce któregoś dzieciaka z wiaderkiem i skończy jako flaga na wieżyczce zamku z piasku.

– Brawo, Sol – odzywa się Hanna. – Wykazałeś się prawdziwą klasą.

To naprawdę nie fair.

– Ona się na mnie rzuciła! – krzyczę.

– I pewnie to łabędź ściągnął Vashti górę od bikini? – wtrąca Lizzie.

– To dzięki przeciwnym kciukom – podpowiada Hanna. – Wszystkie łabędzie je mają.

– To nie moja wina!

Hanna rzuca mi czapkę, która uderza mnie w ramię z mokrym plaśnięciem.

– No jasne, że nie. Carmen na pewno dojdzie do podobnych wniosków.

RoboCop mnie zabije.

– Nie mów jej – proszę z przerażeniem. – Nie waż się tego robić, Hanno. To... Ja...

Hanna znika mi z pola widzenia. Siarczyście klnąc pod nosem, obchodzę szuwary i wracam na brzeg, gdzie Vashti tłoczy się na swoim ręczniku z Trixie i Laurą – wszystkie trzy wydają z siebie okrzyki i rzucają spojrzenia w moim kierunku. Hanna przecież nie powie Carmen, prawda?

– Han! – wołam i zaraz potem przewracam się na piasek, gdy piłka do nogi trafia mnie prosto w brzuch.

– Złota zasada plażowego footballu, stary. – Stevie pomaga mi się podnieść. Nie mogę złapać tchu. – Nigdy nie wbiegaj pomiędzy mężczyznę i bramkę. O co chodzi z tobą i Vashti?

– Vashti się na mnie rzuciła, a Hanna wszystko widziała – odpowiadam sfrustrowany. – Muszę jakoś jej wytłumaczyć, że to nie była moja wina.

Stevie kręci głową.

– Dziewięć miesięcy umawiania się z Trixie nauczyło mnie kilku rzeczy na temat kobiet. Po pierwsze: wierzą w to, w co chcą wierzyć.

– No cóż, Hanna uważa mnie za kompletną szumowinę!

– Lepšie to, niż gdyby myślała, że nie masz jaj. – Stevie układa piłkę na piasku. – Leci! – woła do stojącego w bramce Jake'a.

Przechodzę już nieco ostrożniej przez plażę, do miejsca, z którego macha do mnie Carmen, z daleka widoczna w tym swoim czerwonym kostiumie i z długimi czarnymi włosami.

– Co to był za hałas? – pyta.

Zakładam mokrą czapkę, naciągam ją na oczy i siadam na plażowym krześle.

– Atak łabędzia.

## Hanna

Kiedy czekam w kolejce po lody, nadal nie mogę się otrząsnąć z szoku. Już drugi raz musiałam oglądać Sola wpychającego język do gardła innej dziewczynie. Rzadko która przyjaźń przetrwałaby podobny wstrząs. Pocieram oczy. Chyba nigdy nie zdołam wymazać z pamięci obrazu Sola w szuwarach, jego rąk obejmujących Vashti Wong i wody spływającej po umięśnionym łuku jego pleców.

Już zbliżam się do lady, gdy czuję zapach cytryny i kokosa. Dan odsuwa się od pobliskiej sosny i przypuszcza na mnie kolejny atak.

– Czekasz na lody? – pyta.

– Nie – odpowiadam z irytacją. – Stoję w kolejce, żeby nacieszyć się towarzystwem os.

Dan przeczesuje palcami włosy, prezentując swoje idealnie wyrzeźbione mięśnie ramion.

– Przepraszam za to, co się stało w grudniu – mówi, patrząc na mnie spod grubych czarnych brwi.

– Postawię ci lody, żeby ci to wynagrodzić.

Dan Dukas wypowiadający słowo „przepraszam”? Nie wiem, ile jeszcze zaskoczeń zdołam dziś udźwignąć.

– Lody raczej nie wystarczą, ale dzięki.

Dan kiwa głową w stronę faceta, który w zawrotnym tempie przygotowuje dla mnie porcję lodów kawowo-czekoladowych. Po raz kolejny odbiera mi mowę.

Dan posyła mi jeden ze swoich megawatowych uśmiechów.

– Nadal pamiętam, jakie lody lubisz najbardziej, wiesz? Niczego nie zapomniałem, Birdgal.

Odruchowo pryham przez lody. Nigdy nie potrafił poprawnie wymówić mojego nazwiska.

– Przejdźmy się. – Odchrząkuje. – To znaczy: może miałabyś ochotę na spacer?

Podoba mi się ta nowa, zadająca pytania wersja Dana. Wiem, że zaraz mu przejdzie, ale i tak mnie to bawi.

– Spacer? – pytam. – Czy spacer?

– Czasami zadajesz strasznie głupie pytania, Birdgal.

Okej. No to idę w stronę otaczających jezioro drzew z obejmującym mnie Danem. Jest mi dziwnie. To krępujące. Ale też bardzo przyjemne. I jednocześnie bardzo złe. Lizzie mnie zabije.

– Tęskniłem za tobą – odzywa się Dan.

Mam usta pełne czekoladowych i kawowych lodów – mógł mi od nich zamarza i nie reaguje na te niewiarygodne słowa.

– Ty też tęskniłaś za mną – podpowiada, posyłając mi to przeciągłe spojrzenie, od którego zawsze miękną mi kolana. *Miękły* mi kolana. – Tęskniłaś za mną?

Na pewno tęskniłam za tym, myślę. Uwagą przystojniaka z czarnymi jak smoła oczami. Oderwaniem myśli od całego tego badziewia, którego ostatnio pełno w moim życiu.

– Nieszczególnie.

– Nie jesteś jak inne dziewczyny.

– Przykro mi, że akurat ja muszę ci to powiedzieć, ale dziewczyny różnią się od siebie. – Przysiadam obok korzenia wielkiego drzewa.

– Przez chwilę byłaś taka sama jak reszta. A później się zmieniłaś. – Marszczy brwi. – Rzuciłaś we mnie w lesie piaskiem.

Oblewam się rumieńcem.

– Byłam na ciebie wściekła.

– Dziewczyny nie traktują mnie w ten sposób. Nie umiem przestać o tym myśleć. O tobie. Czekałem na twój powrót, Hanno. Czekałem na to, żeby wszystko naprawić.

Pochłonęłam swojego loda żenująco szybko. Założę się, że Vashti jeszcze długo by się nim delectowała. Opieram głowę o pień drzewa, zamykam oczy i staram się nie beknać. Co ja tu właściwie robię?

– Ja nie wróciłam, Dan. Po prostu...



Czuję jego gorące wargi na moich zimnych od lodów ustach. Otwieram szeroko oczy i widzę, że Dan objął mnie ramionami i obcałowuje na całego. Wsuwa i wysuwa język z moich ust. Napiera na mnie ciepłą i pachnącą klatką piersiową, a jego ręce... też mają co robić.

Zapomniałam już, jaki jest w tym dobry.

Od dawna z nikim się nie całowałam. Brakowało mi tego. Przez ostatnie dziewięć miesięcy nawet Sol robił to sto razy częściej niż ja. Na dodatek z dwiema dziewczynami. Co najmniej. Zapomniałam już, jakie to fantastycznie, nieskomplikowane uczucie tak się całować i o niczym innym nie myśleć. Przez ostatnie tygodnie i miesiące miałam na głowie tyle spraw, a teraz wszystko ulatuje ze mnie w postaci wielkiej chmury ciepła i energii. Nie potrafię tego zatrzymać.

– Jesteś taka seksowna – mamrocze Dan, nie odrywając ode mnie ust. – Smakujesz niesamowicie.

Mam ochotę powiedzieć mu, że smakuję lodami kawowo-czekoladowymi, ale ogarnia mnie pożądanie i w końcu nie mówię nic. *Roztapiam się... ROZZZTAPIAM* – jak powiedziałyby w podobnej sytuacji Zła Czarownica z Zachodu. Ktoś musi mnie ocalić przed mną samą...

– Hanna?

Odpycham od siebie Dana, na widok czegoś potwornego – obserwującej nas spomiędzy drzew Trixie. Do głowy napłynęło mi tyle krwi, że nie potrafię sformułować jednego logicznego zdania. Trixie wydaje z siebie pisk i ucieka. Jakimś cudem podnoszę się z ziemi, ale nie jestem pewna, czy nogi zdołają mnie utrzymać.

– Nie próbuj tego więcej – mówię, ocierając usta drżącą dłonią.

Dan wydyma wargi niczym grecki bóg rozłożony u moich stóp i owija mi palce wokół kostki.

– Ale dlaczego? Birdgal, jest nam ze sobą tak cudownie.

Czyżby naprawdę tego nie rozumiał? Czy to możliwe, że jest aż taki głupi? Strzepuję go z kostki, odwracam się i niepewnym krokiem wychodzę spomiędzy drzew. Jeśli nie rozegram tego mądrze, sprawy między mną a Lizzie przybiorą równie kiepski obrót jak rok temu.

Trixie czeka na mnie na końcu plaży. Widząc jej minę, zaczynam się denerwować.

– To nie tak, jak myślisz – zaczynam. Kiepski początek, stawia mnie w pozycji osoby, która musi się bronić. Może i oglądałam *Rocky'ego* cztery razy (*Wal w żebra, o tak! Nie pozwól draniowi odetchnąć!*), ale najwyraźniej niczego się nie nauczyłam.

– Daj spokój, Hanno. Raczej nie zbierałaś tam szyszek.

– Dan wziął mnie z zaskoczenia – tłumaczę słabo.

– Poszłaś z nim do lasu. Obejmował cię ramieniem. Naprawdę cię zaskoczył? I jeszcze po tym, jak złamał serce Lizzie. – Trixie dostrzega moją zaskoczoną minę. – Nie jestem tak głupia, jak ci się wydawało, co?

Plan A nie wypalił. Chociaż nie wiem nawet, na czym miał on polegać. Z kolei plan B opiera się głównie na błaganu.

– Proszę cię, Trixie, przez wzgląd na naszą przyjaźń...

– Skarbie, nie zamieniłaś ze mną słowa od tego twojego żenującego wybuchu w lesie w obecności Vashti i Laury. Nie wydaje mi się, żebyśmy nadal były przyjaciółkami. A tobie?

Dociera do mnie, że Trixie nie jest już dawną sobą. Jest Michaeliem Corleone. Jest Clintem Eastwoodem w *Bez przebaczenia*.

– Nie miej takiej przerażonej miny, Hanno – dodaje. – Może wcale jej nie powiem.

4 września

Widziałeś w tym tygodniu Lizzie? Wszystko z nią okej? Nie mogę jej namierzyć

Jakiś problem?

Słyszałeś o czymś?

O czym?

Nieważne. Nic nie powiedziałam Carmen, chociaż powinnam to zrobić

To wyglądało gorzej niż w rzeczywistości było.

Całowałeś się z V

Byłaś kiedyś w sytuacji, która wyglądała kiepsko, ale nie z twojej winy?

Poproś Lizzie, żeby do mnie zadzwoniła, okej? Jeśli ją spotkasz?

## Hanna

– Problem z piwem – zaczyna Raz – jest taki, że bez przerwy po nim sikasz. Ktoś powinien wydestylować... – przerywa, żeby czknać – piwną esencję w malutką porcyjkę do połknięcia na raz, taką piwną filiżankę espresso.

Kiedy Rasmus jest pijany, gada jak najęty. A ponieważ nie trzeźwieje, odkąd dwa tygodnie temu wróciliśmy ze Szwecji, wypowiedział już całe mnóstwo słów.

– Zastanawiam się, czy nie spróbować absyntu. To ulubiony trunek poetów i artystów. Założę się, że Dostojewski też go pił. Podaje się go w mniejszych porcjach niż piwo. Podobno nieźle miesza w głowie.

Jeszcze raz próbuję się dodzwonić do Lizzie. Bezskutecznie. Nie wiem, co usłyszała, co wie albo co jej się wydaje, że wie. Mam tylko SMS, którego wysłała mi po tym, jak zniknęła z plaży. Pisze w nim, że musiała wrócić do domu, bo zrobiło jej się za gorąco, i że pogadamy później. Tylko że nie było żadnego później. Wcale ze sobą nie rozmawialiśmy. Nie mam bladego pojęcia, co powiedziała jej Trixie – albo czego jej nie powiedziała – i dobija mnie to.

– Zamówię butelkę absyntu przez Internet – mówi Raz, wspinając się po schodach.

Ostrożnie zamyka za sobą drzwi. Zawsze tak robi, kiedy jest kompletnie nawalony, w nadziei, że mama i James niczego nie zauważą.

Telefon ledwie zdążył pisnąć, a już trzymam go w dłoni.

– Lizzie, to się rzeczywiście stało, ale nie z mojej winy, i nadal twierdzę, że nigdy więcej się z nim nie umówię. Po prostu...

– Pozwól, że ci przerwę. – Słyszę głos Sola. – Chyba już wiem, dlaczego Lizzie się do ciebie nie odzywa.

Ręce tak mi nagle wilgotnieją, że z trudem utrzymuję w nich telefon.

– Co ci powiedziała Trixie?

– Nie rozmawiam z Trixie.

– Ale kumplujesz się ze Steviem. A on z nią chodzi, więc chyba ze sobą rozmawiają. – Jeśli ścisnę telefon chociażby odrobinę mocniej, wystrzeli mi z ręki jak kostka mydła. – Jestem przygotowana na najgorsze.

– Dziwnie się zachowujesz. Udało mi się ustalić, że Lizzie prawdopodobnie jest teraz w Szkocji i odwiedza różne uniwersytety. W tym tygodniu kilka z nich ma dni otwarte i parę osób, z którymi chodzę na matkę, tam pojechało.

Na słodkie małe borsuki baraszkujące w zachodzącym słońcu. Architektura na uniwersytetach w Strathclyde i Dundee. Lizzie nawet mi wspomniała, że się tam wybiera. Byłam tak pochłonięta całą tą sprawą z Danem, że kompletnie wyleciało mi to z głowy. Skoro Lizzie jest teraz w Szkocji, to prawdopodobnie nie rozmawiała jeszcze z Trixie. Nie ma pojęcia o mnie i o Danie. Nadal się do mnie odzywa. No, przynajmniej na jakimś poziomie abstrakcji. Może tam nie mieć zasięgu.

– To najlepsza wiadomość, jaką usłyszałam od wielu tygodni. – Oddycham z ulgą. – Mogłabym cię za nią wycalować.

Niezręcznie to zabrzmiało. Muszę się opanować.

– W przyszłym tygodniu jadę do Sheffield – mówi Sol. – Chciałbym wy badać jeden z kierunków. A ty wybierasz się na jakieś dni otwarte?

– Nie mam jeszcze planów.

– Myślałem, że będziesz chciała sprawdzić tę skandynawistykę połączoną z filmoznawstwem.

Na górze Raz włączył coś, co nazywam „gniewną muzyką”. Jest tak głośna, że wprawia w drżenie wiszącą nade mną lampę. Przypominam sobie Singö i odgłos opon przejeżdżających po żwirze.

– Bo chciałam. Ale już mi przeszło.

– Z powodu taty?

Wolałabym, żeby nie był taki przenikliwy.

– Nie rezygnuj przez niego z realizowania swoich pomysłów, Hanno. Gdybym miał się przejmować połową rzeczy, które wyczynia moja rodzina, nie wychodziłbym z sypialni.

Oczy napelniają mi się łzami. Ostatnio często mi się to zdarza.

– Jak sądzisz, co jest gorsze: kiedy nie chce cię znać twoja mama czy twój tata?

– To zależy od relacji, jaką z nimi masz.

Zastanawiam się nad jego słowami.

– W zasadzie nigdy nie nawiązałam relacji ze swoim tatą. Nawet wtedy, gdy jeszcze z nami mieszkał. To okropne, ale prawdziwe. Ciągłe podróżował. W interesach. Właściwie nawet nie wiem, dlaczego odszedł. Żadne z nas tego nie wie. Nic nam nigdy nie mówił. Gdyby to zrobił, może bylibyśmy lepiej przygotowani i może nie wydarzyłaby się żadna z tych rzeczy związanych z Rasmusem.

– Spotkałem go chyba tylko raz.

Kiwam głową, chociaż Sol nie może tego zobaczyć.

– Na moich urodzinach, w ratuszu, z wynajętym magikiem. Magik miał żywego królika i kiedy wyciągnął go z kapelusza, rozplakałam się, bo chciałam go zabrać do domu, ale tata powiedział, że nie mogę.

– Jakim cudem to jeszcze pamiętasz?

– Po prostu to były moje jedyne urodziny, na których pojawił się tata.

– A przychodził na urodziny Raza?

Wlepiam wzrok w ścianę.

– Nie wiem. Nie pamiętam.

Gniewna muzyka na górze staje się jeszcze głośniejsza.

– Razowi nic się nie stanie – mówi Sol. – Za kilka tygodni będzie się musiał zająć studiami.

– Obyś miał rację.

Przez chwilę oboje milczymy. Nie mam nic przeciwko temu. To nawet przyjemne. Układam się wygodnie na kanapie i wyobrażam sobie, jak Sol mości się na swojej. Może nawet nie ma na sobie koszuli.

– Czy mogę cię o coś zapytać, Sol? To ważne.

– Powinienem się bać?

– Wiem, że nie lubisz osobistych pytań, ale po tym, co mi powiedziałaś o mamie Garetha, pomyślałam, że może jesteś gotowy na kolejną tego rodzaju rozmowę...

– Po prostu je zadaj, Hanno.

– Jak często myślisz o swojej matce?

Zastanawiam się, czy nie przekroczyłam granicy. Ale Sol, o dziwo, odpowiada bez zająknięcia.

– Wcale o niej nie myślę. Nigdy nie była częścią mojego życia, więc nie czuję się z nią związany.

Łączy nas po prostu biologia.

– Jesteś taki poukładany.

– Jestem zaprzeczeniem poukładania, Han. Ja po prostu...

Milknie.

– Co takiego?

– Jestem ciekawy – odpowiada po namyśle. – Co miałaś na myśli mówiąc, że coś się stało, ale nie z twojej winy? Kiedy myślałaś, że rozmawiasz z Lizzie?

– Nic takiego. – Truchleję ze strachu. – Zapomnij, że to usłyszałaś. Cześć.

Kiedy się rozłączam, znowu myślę o plecach Sola, kroplach wody na jego łopatkach i rękach Vashti zaplecionych wokół jego szyi. Przez wzgląd na Carmen mam nadzieję, że mówi prawdę i nie ponosi odpowiedzialności za tamto wodne obściskiwanko. Chociaż nie mnie oceniać, prawda?

13 września

Sol

Gareth wybiega z sypialni jak burza i trzaska drzwiami tak mocno, że aż drży szyba w oknie.

– Myślałem, że mnie przynajmniej *wysłucha* – odzywam się po chwili.

Andrew odkłada Nigela – który zachowywał się zadziwiająco spokojnie przez całą tę dramatyczną scenę – podnosi się z łóżka i otrzepuje spodnie.

– Na jakiej podstawie? – pyta, pocierając czoło. – Bo obaj lubicie *Ojca chrzestnego II*? Zrzuciłeś na nas tę wiadomość jak bardzo ciężki głaz! Takie rewelacje wprowadza się stopniowo, Sol. Daje się jakieś wskazówki, coś wspomina wcześniej. Przecież jeszcze kilka miesięcy temu rozmawialiśmy o księgowości? Czy może mam zaniki pamięci?

Kręcę głową. Pamięć Andrew działa bez zarzutu.

– Zamiast wymykać się do Sheffield i przeprowadzać zwiad na temat tych studiów filmowych, jak jakiś komandos Navy SEALs z kamerą, powinieneś być z nami porozmawiać. Czy to takie dziwne, że Gareth się zdenerwował?

Złość zaćmiewa mi wzrok niczym gorąca czerwona mgła, tak jak wtedy, gdy uderzyłem Dana. Wolno mi mieć własne życie, myślę. Mam do tego prawo.

– Powinien był mnie wysłuchać – powtarzam uparcie.

– A ty powinieneś szczerze opowiedzieć nam o swoich planach wcześniej.

A to dobre.

– Wszyscy wiemy, do czego doprowadziła Garetha uczciwość – mówię, zanim zdążę się ugryźć w język.

Andrew wygląda na zdziwionego.

– Coś ty powiedział?

Łapię telefon i chowam go do kieszeni. Zbiegam po schodach, po dwa, trzy stopnie naraz.

– Dokąd idziesz? – pyta Andrew. – Sol, natychmiast powiedz mi, dokąd...

Ale ja już zdążyłem trzasnąć frontowymi drzwiami. Każda cząsteczka mnie płonie jak pochodnia. Mógłbym wyrwać wszystkie krzaki rosnące pod oknami wzdłuż ulicy. Wskoczyć na jezdnię, młóć ramionami, rozbijać szyby i miażdżyć maski samochodów swoimi mocarnymi stopami. Nie jestem moją matką, moim ojcem ani moją cholerną babcią. Nie jestem księgowym, nie jestem najlepszym przyjacielem gejem. Jestem SOBA.

Nie wiem, kiedy znalazłem się przy kładce. Gotuje się we mnie z emocji. Muszę się skoncentrować, a jedyny sposób, jaki znam, to chwycić drżącą dłonią maleńki ekranik i ogarnąć nim ten nieogarnialny świat, zredukować go do pikseli i nie dopuścić, by nadal mnie ranił. Bo właśnie w tej chwili mnie rani, i to mocno.

Telefon wysuwa mi się z roztrzęsionej dłoni, spada przez metalową kratę pod moimi stopami i z łoskotem ląduje na torach. Z przerażenia nie mogę oddychać. Straciłem jedyną kotwicę, jaką mam.

Jakimś cudem telefon ląduje wyświetlaczem do góry – mruga do mnie, zarzekając się na wszystkie świętości, że jest cały i zdrowy, i czyż nie jest sprytny, że udało mu się bezpiecznie spaść z takiej wysokości? Niewiele myśląc, zbiegam po schodach; przeskakuję po cztery stopnie, lecę jak na skrzydłach. Frunę nad barierką i głośno ląduje na wąskim fragmencie peronu oddzielającym schody od torów.

Zeskakuję. Całkowicie straciłem poczucie czasu i przestrzeni. Potrzebuję mojego telefonu, moich filmów. Bez wizjera w moim aparacie jestem nikim.

Przez peron przetacza się krzyk:

– Człowiek na torach! CZŁOWIEK NA TORACH!

Jakiś idiota, myślę sobie, schodząc w stalową gęstwinę. Słyszę DING DING DING szlabanu, widzę wielkie, białe, opuszczające się ramiona, które mają powstrzymać bezmyślnych kierowców przed zabiciem się w wyścigu o to, kto dotrze pierwszy do szkoły albo na wizytę u fryzjera, czy co tam wydaje

im się ważniejsze niż wizja natychmiastowej śmierci. Przez naszą stację przejeżdżają cztery pociągi ekspresowe z oczami cyklopów utkwionymi nieruchomo w cel. Kursują co pół godziny; dwa z nich jadą do Londynu, a dwa z niego wracają, wioząc ładunek złożony z rowerów i złamanych serc, rodzin, zakochanych, matek i ich synów.

Wszyscy to wiedzą.

## Hanna

Nadal nie powiedziałam Lizzie o mnie i o Danie. Wmawiam sobie, że to dlatego, że nie ma o czym mówić, bo nie istnieje nic takiego jak ja i Dan. Nie umawiam się z nim. Od naszego spotkania na plaży nawet z nim nie rozmawiałam. Próbował się do mnie dodzwonić kilka razy, ale zawsze czekałam, aż włączy się poczta głosowa. Gdy do głowy zaczynają mi przychodzić głupie myśli, przypominam sobie wyraz twarzy Lizzie siedzącej nad kubkiem kawy w mojej sypialni, wtedy w maju. Kiedy tak na to spojrzeć, decyzja nie wydaje się trudna.

Pomaga mi również fakt, że Lizzie nie przestaje gadać o niesamowitej architekturze na uniwersytecie w Strathclyde. O fantastycznych profesorach, praktycznym doświadczeniu, które tam zdobędzie, i że nie może się już tego wszystkiego doczekać, bo te studia to szczyt jej marzeń. Kiedy nasza rozmowa zaczyna zbaczać na niebezpieczne tory, proszę: „Opowiedz mi jeszcze raz o tych miejskich projektach kontekstowych, które będziesz robiła na trzecim roku”, a ona zaczyna nawijać jak katarynka, beztrudno zanudzając mnie na śmierć.

Czy mam zaufanie do Trixie? Nie. Czy Trixie miałaby jakikolwiek interes w opowiedzeniu Lizzie o tym, co zobaczyła w lesie nad jeziorem? Moim zdaniem nie. Wszystko to odtwarza się w mojej głowie w rytmie stukotu kół pociągu i przeplata z miszmaszem sal wykładowych, sprzętu filmowego i bibliotek, które dziś obejrzałam.

Nagle rozlega się pisk hamulców i seria krzyków, gdy wjeżdżamy na stację. Pociąg zatrzymuje się gwałtowniej niż zwykle i kilka osób, które akurat sięgają po swoje płaszcze i bagaże, traci równowagę.

Wsuwam grubą broszurę ULC do torby, zbieram swoje rzeczy i wyglądam przez okno, przez całą długość pociągu aż na sam jego początek, gdzie kończy się peron, a zaczyna się droga ze szlabanem. Ludzie tłoczą się wokół czegoś, co leży na ziemi. Poza trzaskaniem drzwi, dźwiękiem gwizdka i odczytywanymi przez megafon ogłoszeniami, słychać głośnie poruszenie.

I stukanie w okno. Dan uderza bukietem kwiatów w podniszczoną szybę pociągu; pręciki pozostawiają na niej żalostną żółtą smugę.

– Birdgal! – mówi bezgłośnie. Widzę, jak za jego plecami jakaś dziewczyna wpada na słup, tak jest w niego zapatrzona. – Czekałem na ciebie! Kupiłem ci kwiaty! – dodaje, jakbym sama ich nie widziała.

Wsiadam z pociągu i staram się dostrzec coś między głowami i ciałami ludzi idących lub biegnących w kierunku zamieszania.

– Mam dla ciebie kwiaty – powtarza Dan.

Ściska mnie w żołądku. Na peronie ktoś leży. Biorę kwiaty, wpycham je do torby i uchylam się przed pocałunkiem Dana.

– Co tam się stało?

Dan niechętnie wciąga wargi.

– Ktoś skoczył pod pociąg. Nigdy dotąd nie dałem kwiatów żadnej dziewczynie – dodaje. – Kupiłem je w tej budce przy drodze.

Ktoś biegł i skoczył prosto pod mój pociąg. Wyobrażam sobie scenę ze *Spotkania*, Celię Johnson pędzącą w stronę ekspresu, z cierpieniem malującym się na jej eleganckiej czarno-białej twarzy.

– Jakie to okropne – mówię, kiedy wreszcie odzyskuję głos.

Dan marszczy brwi.

– Sprzedawczyni powiedziała, że ci się spodobają.

Czy on mówi poważnie?

– Czy ten ktoś wpadł pod pociąg? – pytam, odsuwając go na bok. – Zginął na miejscu?

– Podobają ci się? A może powinienem był kupić róże? – pyta Dan, drepcząc za mną niczym olśniewający i raczej głupi koń.

Naprawdę powinien się zamknąć. W tej chwili. Zamknąć usta i schować te lśniące zęby. Bo kiedy

leżąca na ziemi osoba z trudem się podnosi, uświadamiam sobie z czystym przerażeniem, że jest nią Sol.

Świat kurczy się do małego szarego kawałka peronu, kiedy Sol otrzępuje się z kurzu, opiera o filar i przeciera twarz. Jego czapka leży na torach kilka metrów dalej. Zaczynam biec, zostawiając Dana samego, torba powiewa za mną jak wiatrowskaz. Broszura UCL wysuwa się z torby i upada na peron z cichym kłapnięciem.

Tłum przelewa się wokół mnie. Jedynie poważnie wyglądająca starsza pani z wielką czarną torbą i oczami jak zielone paciorki stoi nieruchomo. Przepycham się między ludźmi, łapię mojego najlepszego przyjaciela za ramię i nim potrząsam. Serce podeszło mi do gardła, więc trudno jest mi powiedzieć cokolwiek mądrego.

– Co się, k...a, stało? – powtarzam bez końca.

– Nie musisz być wulgarna – odzywa się staruszka. Chyba już ją gdzieś widziałam.

– Pani wybaczy, ale mam to gdzieś – odwarkuję. – Jesteś tam, Sol? To ja, Hanna!

Policzki Sola są bardzo blade, a oczy wydają się zbyt duże w stosunku do reszty twarzy. Na grzbiecie nosa ma kilka piegów, na które wcześniej nie zwróciłam uwagi. W końcu mnie zauważa.

– Mój telefon – mówi. – Upuściłem go.

Staruszka z oczami jak paciorki i czarną torebką patrzy na nas z coraz większą dezaprobatą. Słowa „ta dzisiejsza młodzież” szybują między nami niczym niewidzialne ptaki.

– Skoczyłeś pod pociąg z powodu zepsutego telefonu? – pytam z niedowierzaniem. – Wiem, że to koszmar, ale istnieją miejsca, w których naprawiają telefony, Sol. Nie można za to przyszyć głowy do ramion, jeśli urwie ci ją pociąg!

– Mój telefon się nie zepsuł – tłumaczy. – Upadł na tory. Musiałem go odzyskać.

Nagle się chwieje, a tłum odsuwa się do tyłu, jakby w obawie przed tym, że to zaraźliwe. Sol oplata mnie ramieniem w pasie, opiera się czołem o moje czoło i zamyka oczy.

– Musiałem go odzyskać – powtarza.

Obejmuję go dla zachowania równowagi i czuję jak pod jego koszulką twarde mięśnie drgają spazmatycznie.

– To tylko telefon – mówię, prowadząc go w stronę ławki.

Gdy już siedzimy, Sol kładzie mi głowę na ramieniu i wsuwa swoją zimną dłoń w moją. Jego oddech się wyrównuje; czuję ciepłe powietrze na wrażliwej skórze szyi i gęsią skórę pod włosami na głowie.

– To tylko telefon – powtarzam.

– Kocham cię – szepcze Sol w moją szyję. – Kocham cię, Hanno.

– Tylko że róże były droższe niż stokrotki – mówi Dan, podbiegając do nas. – Ręce precz od mojej dziewczyny, geju.

Policzki Sola częściowo odzyskują kolor. Przeciera oczy jak małe dziecko i się prostuje, a zimne powietrze chłodzi skrawek skóry na mojej szyi, jeszcze przed chwilą ogrzewany jego oddechem.

– Dan – zwracam się do niego ze spokojem – Sol prawie wpadł pod pociąg.

– Powinienem być się domyślić. Idziesz ze mną czy nie, Birdgal?

Wyjmuję z torby kwiaty, obrywam im płatki i rozrzucam je po ławce jak confetti.

– Czy to znaczy, że nie?

Na peronie pojawiają się dwie nowe postacie. W oczach mają szaleństwo, a na twarzach lekkie oszołomienie. Kobieta z czarną torebką i oczami jak paciorki wycofuje się, kiedy Andrew dźwiga Sola z ławki i go przytula. Gareth doskakuje do nich i zamyka obydwu w uścisku.

– Przysięgam, że to był wypadek. – Słyszę głos Sola, zduszony przez bluzy jego rodziców.

A żeby było jeszcze zabawniej, w tym momencie Dan zaczyna piszczeć jak syrena alarmowa.

Kot Sola, Nigel, wyskakuje spod schodów prowadzących na kładkę i zatapia pazury w nodze Dana. Wspina się po jego ciele jak jakiś owładnięty żądzą mordy czworonożny ninja i oplata całym sobą jego głowę. Dan, wymachując ramionami, odbija się kolejno od słupa, Garetha, Andrew, Sola, mnie i wreszcie od staruszki z torebką i oczami jak paciorki.

Siła uderzenia sprawia, że Nigel przeskakuje na starszą kobietę, lądując na jej ramieniu. Syczy



jej do ucha niczym odkręcona butla z gazem. Staruszka wrzeszczy i kręci się dookoła własnej osi; przez chwilę nie można stwierdzić, która czarna plama jest torebką, a która kotem.

– Chryste – odzywa się Gareth, unosząc głowę. – Mama?

Wszyscy patrzą jak oniemiała na Nigela ujeżdżającego głowę mamy Garetha. Wreszcie kobieta upada na ziemię, uderza o nią bokiem czaszki i leży jak nieżywa na zimnym kamieniu, z zawartością torebki rozsypaną wokół. Nigel zeskakuje na peron i zaczyna niespiesznie lizać sobie jądra.

Znowu wybucha zamieszanie. Przyjeżdżają karetki, błyskają niebieskie światła syren. Dan odchodzi, kulejąc i przeklinając pod nosem. Nadjeżdżają kolejne pociągi. A ja, pośród całego tego chaosu, słyszę tylko głos Sola.

*Kocham cię, szepcze nadal, z ustami przy mojej szyi. Kocham cię, Hanno.*

29 września

Spodoba Ci się jutrzejszy film

Czy to rozkaz?

Biorąc pod uwagę, że to...

Chyba nie...?

A WŁAŚNIE, ŻE TAK!!!

Przecież nienawidzisz tego filmu!

Nigdy go nie widziałam. Co u babci?

Wciąż żyje, jeśli o to pytasz.

\* \* \*

GWIEZDNE WOJNY<sup>10</sup> (1977)

Scenariusz i reżyseria: George Lucas

Luke Skywalker (Mark Hamill), Obi-Wan Kenobi (Alec Guinness), Han Solo (Harrison Ford), Księżniczka Leia (Carrie Fisher), Wookiee Chewbacca oraz roboty C-3PO i R2-D2 łączą siły, żeby ocalić Galaktykę przed Imperium, bojową stacją kosmiczną o nazwie Gwiazda Śmierci i złym Darthem Vaderem.

*Gwiezdne wojny* to jeden z najbardziej dochodowych filmów w historii kina. Zarobił ponad 775 milionów dolarów na sprzedaży biletów kinowych w momencie premiery i 4,38 miliarda dolarów na sprzedaży produktów z bohaterami filmu. W latach 1999–2005 wypuszczono trylogię pokazującą wydarzenia poprzedzające te z pierwszego filmu, zaś w grudniu 2015 roku swoją premierę miały *Gwiezdne wojny: Przebudzenie Mocy*, pierwszy film z planowanej trylogii sequeli. Zagrali w nim między innymi aktorzy znani z oryginalnych *Gwiezdných wojen*.

30 września

Sol

– Ale gdybyś musiał – nie ustępuje Hanna, kiedy na ekranie przewijają się napisy.

– Ale nie muszę.

– Ale gdybyś *musiał* albo pocałować Jabbę, albo odpiłować sobie głowę tępą łyżeczką, to co byś wybrał?

– Jabby nie powinno nawet być w tym filmie – mówię. – W oryginale praktycznie się nie pojawia.

– Przepraszam za brak autentyzmu, ale przecież występuje w wersji, którą ściągnęłam, prawda?

Nie chcę się z nią kłócić o tłustego kosmitę. Hanna zachowała się szlachetnie, zapraszając mnie do siebie na jeden z najwspanialszych filmów, jakie kiedykolwiek nakręcono, i jeszcze ani przez moment nie marudziła, nie komentowała i nie plotkowała. Czuję się spokojny i zrelaksowany niczym rycerz Jedi – rzadko doświadczam tego stanu, szczególnie ostatnio, i nie chciałbym go zbyt szybko stracić. Sięgam po leżący na biurku księżyc z piłeczki od ping-ponga i obracam go między palcami, przypominając sobie, jaki byłem zadowolony z idealnego odwzorowania księżycowego Morza Spokoju. Cieszę się, że Hanna nadal go ma.

– Odpiłowałbym sobie głowę – mówię, a Hanna kiwa głową i znowu jest między nami okej.

Może to z powodu wydarzeń na peronie albo tego, co wydarzyło się latem z jej tatą, albo Dana i tych jego tragicznych kwiatów (albo kombinacji wszystkich trzech czynników), ale Hanna zachowuje się jak nie ona. Przede wszystkim ani razu nie zapytała mnie o tamten dzień, co dla dziewczyny, która musi wiedzieć wszystko o wszystkim, jest co najmniej niezwykle. Zapytała co prawda o zdrowie i samopoczucie mojej babci leżącej na oddziale intensywnej terapii w szpitalu Royal Surrey, ale każdy, kto widział wtedy na peronie, jak Nigel ją nokautuje, też by o to zapytał. Nie zapytała o nic więcej. Doceniam jej starania, lecz, o dziwo, chciałbym, żeby...

– Powiedziałem Garethowi, że chcę studiować filmoznawstwo, a nie księgowość – oznajmiam, gdy na ekranie zbierają się oddziały rebelianckie. – Myślałem o tym już od jakiegoś czasu, a gdy zobaczyłem w Wenecji tamten film, który pokazałem ci w zeszłym miesiącu, *Włoski dla początkujących*, który okazał się spełnieniem moich marzeń, nagle nie potrafiłem już myśleć o niczym innym. Zacząłem się zastanawiać, czy sam mógłbym kręcić filmy i czy ktokolwiek z branży doceniłby moją pracę. W Sheffield organizowali akurat dzień otwarty. Powiedziałem Garethowi i Andrew, że jadę się dowiedzieć czegoś na temat kursu księgowości, ale poszedłem na wydział filmowy. Na stronie piszą, że są to jedne z najlepszych studiów na tym kierunku w całym kraju, a skoro myślę o tym na poważnie, chciałbym się uczyć od najlepszych.

Zaczynam się zastanawiać, czy Hannę faktycznie to interesuje, ale skoro już zacząłem o tym mówić, postanawiam sprawdzić, dokąd mnie to zaprowadzi.

– Spotkałem tam ludzi podobnych do mnie. Dyskutowali o ujęciach pokazujących upływ czasu i o zakresie ostrości, pokazali nam też swoje niesamowite prace nakręcone w naszpikowanych nowinkami technicznymi studiach. Rozmawiałem z jednym takim gościem o moich projektach i to było niesamowite.

Hanna nadal mi nie przerwała.

– Muszę tam studiować, nie mogę być księgowym – oświadczam z desperacją. – Lubię i rozumiem cyferki, ale bardziej lubię opowieści. Wymyślać je, snuć, puszczać wodze fantazji. Myślałem też o tym, co mówiłaś o swoim tacie, o tym, że może byłabyś lepiej przygotowana na to, co się stało, gdyby wcześniej z tobą porozmawiał, i wiedziałem, że muszę powiedzieć Garethowi i Andrew, zanim będzie za późno, żeby złożyć papiery. – Pocieram oczy. – Nigdy wcześniej nie byłem tak przerażony. Gareth kompletnie ześwirował. Zaplanował sobie całą moją przyszłość, uroczą, logiczną i bezpieczną: skończę studia, znajdę pracę, kupię sobie dom, założę rodzinę. Zaczął wrzeszczeć, że to może nie brzmi zbyt romantycznie, ale jest bardzo ważne, i że chyba oszalałem, jeśli myślę, że zapłaci za moją pisaną palcem na wodzie przyszłość w branży filmowej. A później sam się zagotowałem, Garethowi puściły

nerwy i przestałem trzeźwo myśleć. Poszedłem więc na stację, żeby zająć się tym, co najbardziej mnie uspokaja.

– Fotografowaniem pociągów – wtrąca Hanna.

Patrzę na nią z zaskoczeniem.

– Myślisz, że fotografuję pociągi?

– A nie?

– Pociągi to przedmioty nieożywione, po prostu pojazdy. Po co miałbym im robić zdjęcia?

Hanna nagle traci cierpliwość.

– Zresztą co ja tam wiem – broni się. – Przecież nigdy wcześniej mi o tym nie opowiadałeś.

– Nie chodzi o pociągi – tłumaczę. – Nigdy nie chodziło. Liczy się to, kto nimi jeździ i co się za tym kryje. Podróże. Początki, zakończenia. *Ludzkie historie*.

Pięć minut przed końcem filmu ktoś trzaska frontowymi drzwiami tak mocno, że prawie wylatują z zawiasów. Oboje aż podskakujemy. Do pokoju zagląda Raz. Kurtkę ma tak brudną, jakby w drodze do domu wpadł do kałuży.

– Wyglądasz i pachniesz jak lump – mówi z obrzydzeniem Hanna. – Mama wróci z pracy za dwadzieścia minut i się wścieknie...

– George Orwell też był kiedyś lumpem. – Wchodzi jej w słowo Raz. – Hej, Sołżenicyn, słyszałem, że tory kolejowe stały się ostatnio modnym miejscem. Bardzo w stylu *Anny Kareniny*. – Zerka na napisy. – Zwróćcie uwagę na całą tę akcję pomiędzy Luke'em i Leah. Nieprzyjemna sprawa.

– Leią, nie Leah – poprawia go Hanna.

– Luke chce się dostać do majtek Lei – ciągnie niezrażony Raz. – Leah chce się dostać do majtek wszystkiego, co się rusza, i na drzewo nie ucieka, a może tylko do majtek Jona. Tata chce się dostać do majtek Else, ale nie moich. Chwila, wcale nie chcę, żeby tata dobierał się do moich majtek, to obsceniczne. – Kołysze się lekko, niczym brzoza na wietrze. – Han Solo – mówi, mierzając mnie wzrokiem. – Han&Solomon. Pocałowałaś już moją siostrę, Sołżenicynie? Wiem, że ma na to ochotę.

– Zamknij się, Rasmus – piszczy Hanna.

Nagle dociera do mnie przerażające wspomnienie czegoś, co powiedziałem jej na stacji, kiedy szok wymazał moją wrodzoną ostrożność i kiedy poczułem słoną skórę jej szyi tuż przy mojej twarzy oraz dotyk jej dłoni i...

– Przepraszam was bardzo – odzywa się Raz. – Będę wymiotował.

...powiedziałem jej, że ją kocham.

– O Boże. – Hanna przygryza wargę, kiedy Raz zatacza się w stronę łazienki na dole. – Tak mi przykro. Raz nie powinien... ja nie powinnam...

Świat wokół mnie zaczyna wirować. Jeśli teraz wstanę, to się przewrócę.

– To przez szok. – Hanna nie potrafi mi spojrzeć w oczy. – Nie chciałam mu powtarzać tego, co mi powiedziałaś, ale potrzebowałam się komuś wygadać o tym, co wydarzyło się w jeden z najdziwniejszych dni mojego życia, a Raz akurat był pod ręką. Przykro mi, że tak to przekreślił, jakbym chciała, żebyś mnie pocałował, czy coś.

W tym momencie pika mój telefon.

Tata pyta, czy chciałbyś do nas przyjść na kolację. C xxx

– Wiem, że nie chodziło ci o to, że *naprawdę* mnie kochasz – dodaje szybko Hanna, kiedy unoszę wzrok znad wiadomości od Carmen. – Nie stresuj się z tego powodu. Masz już wystarczająco dużo problemów, jak choćby babcię w śpiączce.

Na jej policzkach, dokładnie na środku, płoną dwie wściekle różowe plamy. Czuję się okropnie, że to przeze mnie je ma. Pamiętacie, co mówiłem o spokoju rycerza Jedi? Wyparował.

– Między nami okej? Nie zniechęciłeś mnie za to, co powiedziałam Razowi?

– Lepiej już pójść – dukam, odkładając książkę z piłeczki od ping-ponga, zanim go zmiażdżę. – Carmen zaprosiła mnie do siebie na kolację.

Hanna robi dużo szumu wokół szukania mojego płaszcza. Przynosi mi go, gdy stoję przed frontowymi drzwiami, pogrążony po uszy w kontemplacji tragizmu mojej sytuacji.

– To takie przykre, kiedy kończy się lato – trajkocze. – Chociaż, szczerze mówiąc, akurat tego lata wcale mi nie szkoda, bo było okropne. Dobrze, że twoje urodziny są już w przyszłym miesiącu. Nawet jeśli nie będziesz mógł urządzić imprezy ze względu na swoją babcię, to i tak możemy je jakoś uczcić, prawda?

Zmuszam się, żeby na nią spojrzeć.

– Dlaczego miałbym rezygnować z imprezy? Babcia dopiero co pojawiła się w moim życiu. Wcześniej wcale jej nie znałem.

– Pomyślałam, że może Gareth nie życzyłby sobie...

– Urządzimy imprezę – mówię głośno. – I tak dla twojej informacji: nawet gdyby Nigel ją zabił, to i tak z niczego byśmy nie zrezygnowali.

Hanna próbuje się uśmiechnąć.

– Nawet Luke Skywalker i Darth Vader w końcu sobie przebaczą – mówi. – Chociaż właściwie to nie widziałam kolejnej części, więc nie... Nie jestem pewna...

Kładę dłoń na kłamce.

– Życie to nie film, Hanno. – Mówiłem jej to już wcześniej, ale dzisiaj te słowa wydają się wyjątkowo, okropnie prawdziwe. – W prawdziwym życiu ojcowie odchodzą od swoich dzieci bez oglądania się za siebie, przypadki nie mają żadnych poważniejszych konsekwencji, a matki nadal nienawidzą swoich synów, nawet po tym, jak zostaną prawie zamordowane przez ich koty.

– Nie zamierzam tracić nadziei – odzywa się Hanna bardzo cicho.

Ja też nie, powtarzam sobie w duchu, kiedy zamyka za mną drzwi. Nie można stracić czegoś, czego się nigdy nie miało.

\* \* \*

I co? Powiedział, że między Wami już nie jest okej?

NIC nie powiedział, Lizzie!!!! Tzn. powiedział, że idzie do Carmen. Może chciał jej powiedzieć, jaką jestem idiotką

Pewnie mu wstyd

Raz wypaplał, że Sol mi się podoba!!!! Czuję się okropnie.

*Clueless*

Nie jestem w nastroju do zabawy w cytaty

Przepraszam, że żyję

Oficer i dżentelmen

Bing!

*Dzień świstaka.* MOŻESZ PRZESTAĆ? TO POWAŻNA SPRAWA

31 października

NARZECZONA FRANKENSTEINA (1935)

Reżyseria: James Whale

Victor Frankenstein (Colin Clive) zgadza się stworzyć towarzyszkę dla swojego potwora (Boris Karloff). Narzeczona Frankensteina (Elsa Lanchester) ożywa, kiedy na szczycie wieży laboratoryjnej profesora razi ją piorun. Wbrew nadziejom Frankensteina, narzeczona krzyczy jednak na widok potwora. Potwór niszczy laboratorium w napadzie szału, gdy jego miłość okazuje się nieodwzajemniona.

W 1998 roku film został dodany do United States National Film Registry<sup>11</sup> ze względu na jego „wartość kulturową, historyczną lub estetyczną”. Często jest opisywany jako arcydzieło Jamesa Whale’a. Uważany za jeden z najlepszych horrorów w historii kina.

## Hanna

– On ma rację, wiesz? – mówię, podziwiając ponuro czarny lakier, którym maluję paznokcie u nóg. Znalazłam fantastyczną parę butów z oplatającymi stopę czarnymi paskami i mam je dziś na sobie. Odrobinę poprawiają mój fatalny nastrój. – Z tym że życie to nie film. Gdyby życie przypominało film, jego babcia już by się obudziła, a cała rodzina pogodziłaby się ze sobą pośród łez i wzajemnych przeprosin.

Zresztą nie tylko to. Serce mi się zaciska i znowu czuję na szyi jego oddech. *Kocham cię. Kocham cię, Hanno.*

– W zasadzie to bardziej przypomina teatr – ciągnę. – Występ na żywo.

– Życie nie *przypomina* występu na żywo, Hanno. Ono nim *jest*.

– Życie jest naprawdę dziwnym występem na żywo, w którym nic nie ma sensu, ludzie wchodzi na scenę i z niej schodzą bez powodu, miotając się we wszystkie strony, tak jak wtedy, gdy mama rozwiesza swoje rajstopy na sznurze do suszenia bielizny w wietrzny dzień.

– Dlaczego Szekspir na to nie wpadł? – pyta Lizzie. – Rajstopy, czy mam was porównać do letniego dnia? Piękniejsze jesteście, choć gubicie oczka.

Wsuwam pędzelek z powrotem do butelki.

– Wiesz, co chcę powiedzieć. Nic nie dzieje się zgodnie z planem. Nie ma porządnego schematu fabularnego, o którym tyle się trąbi na zajęciach angielskiego. Tata nie skontaktował się ze mną, żeby mi powiedzieć, jak wielki błąd popełnił, Raz nadal przez połowę tygodnia chodzi nastukany, a babcia Sola leży nieprzytomna i do tego cała w kocich kłakach. Nie można się cofnąć do poprzedniej sceny, skorzystać z napisów ani wyciąć czegoś, co się nam nie podoba.

– Najchętniej wycięłabym całe swoje życie – wzdycha Lizzie.

Przyglądam się przyjaciółce ze swojego miejsca na podłodze w jej sypialni. Widzę stąd tylko połowę jej twarzy, tę pomalowaną na niebiesko.

– Czy tematem przewodnim imprezy nie jest przypadkiem gotyk?

Lizzie odwraca twarz w taki sposób, żebym dla odmiany mogła zobaczyć zieloną połówkę.

– I...?

– Chodziło raczej o naśladowanie stylu emo – mówię. – A nie witraża.

– Sol i tak nie zwróci na to uwagi, to nie ten typ. Wiem, że w naszym środowisku bycie oryginalnym jest zbrodnią i że Vashti, Trixie i Laura przyjdą pewnie przebrane za Lenę z *Pięknych istot* czy innego chłamu, ale co z tego? Ja mogę być co najwyżej sobą. – Spogląda na mój strój. – A właściwie za kogo ty się przebrałaś?

– Za Lenę z *Pięknych istot*.

Lizzie macha na to niebiesko-zieloną ręką.

– Wybaczam ci wyłącznie dlatego, że się przyjaźnimy. Im nie, bo nie są moimi przyjaciółkami. Myślisz, że Dan też tam będzie?

Prawie zdążyłam się przyzwyczaić do wyrzutów sumienia, które odczuwam za każdym razem na dźwięk imienia mojego byłego chłopaka. Wiem, że już zawsze tak będzie. Powtarzam sobie jednak, że to i tak lepsze od przepaści, jaka by nas rozdzieliła, gdybym powiedziała Lizzie o tym, co się stało tamtego dnia na plaży.

– To raczej mało prawdopodobne – stwierdzam. – Oni się przecież nie przyjaźnią.

– Ty też nie przyjaźnisz się z Solem, a mimo to się wybierasz.

– PRZYJAŹNIĘ SIĘ! – protestuję, urażona do żywego. – My po prostu... niewiele ostatnio rozmawiamy.

– Nie rozmawialiście ze sobą od czasu wieczoru z *Gwiezdnymi wojnami*.

– To nie było celowe, po prostu... Tamten wieczór był meganiezręczny. Raz mnie wsypał, a Sol pewnie i tak nie miał ochoty ze mną rozmawiać przez pierwszy tydzień, w drugim nie wiedziałam, co mu powiedzieć, a później jego babcia nadal leżała w śpiączce i w ogóle...

– W jednej minucie jesteście najlepszymi przyjaciółmi, w drugiej nie odzywacie się do siebie. Co mi to przypomina? – Lizzie unosi palec do umalowanych na czerwono ust. – Ach tak. Ciebie i mnie! Chociaż wydaje mi się, że pomiędzy tobą i Solem teraz, a tobą i mną w zeszłym roku jest jedna podstawowa różnica.

– Tak – zgadzam się, nakładając nerwowo drugą warstwę lakieru. – Sol nie chrzani głupot.

– Ty go *kochasz* – stwierdza z satysfakcją Lizzie.

W milczeniu ścieram kciukiem wielką kroplę czarnego lakieru, która skapnęła mi na palec u nogi. Podobno łatwo przeoczyć rzeczy, które przychodzą stopniowo. Moje uczucia do Sola rodziły się tak powoli, że prawie nie zwróciłam na nie uwagi. Pewnie całkiem bym je przegapiła, gdyby nie to, co tamtego dnia powiedział mi Sol.

Tylko jak sobie poradzić po czymś takim jak wieczór *Gwiezdnych wojen*? Gdyby to był film, przełknęłabym upokorzenie i została za to w jakiś sposób nagrodzona. Tylko że to nie jest film, jak już zdążyliśmy ustalić, więc nie zamierzam się z niczym konfrontować. W prawdziwym życiu wolno tak robić. To jedna z niewielu jego zalet.

– Martwisz się, że Dan też tam będzie? – pytam.

– Gdyby rzucił się do całowania, pewnie nie umiałabym się powstrzymać, bo jestem dziewczyną, a z niego niezłe ciacho. Ale tego nie robi, bo nie lubi się powtarzać.

Rumienię się, wsuwając stopy w pającze sandały.

– Poza tym niewiele do niego czuję, naprawdę – kończy Lizzie.

– Nie będzie go. – Wyglądam gorset w stylu Leny. – Sol by go nie zaprosił.

– Lista gości dawno wymknęła mu się spod kontroli – zauważa Lizzie. – Połowa college’u wie o imprezie, a jego adres też nie jest tajemnicą.

Siadam trochę zbyt gwałtownie na krańcu łóżka Lizzie.

– O Boże – mówię. – A więc jednak tam będzie.

– Tak – przyznaje mi rację przyjaciółka. – Będzie. Hura!

Zastanawiam się, jakie są szanse na to, że babcia Sola umrze w ciągu kilku najbliższych godzin i że jednak trzeba będzie odwołać imprezę? Nie chcę być okropna, ale nigdy nie wolno tracić nadziei.



## Sol

Zerkam przez zasłony w korytarzu na tłum elegancko ubranych ludzi zmierzających w stronę mojego domu z niepokojącą determinacją. Nigel gniewnie pomrukuje zza specjalnie odgrudzonej przestrzeni pod schodami, którą przygotował dla niego Andrew – zadbał o wszystko, łącznie z zawieszonymi na gumkach pajakami i przymocowaną do krat tabliczką: NIE KARMIC CHOWANCA. Już zdążyłem się spociec pod aksamitną bonzurką w kolorze burgunda, na której założenie namówił mnie Andrew, chociaż impreza jeszcze się nawet nie zaczęła.

Przyglądam wypomadowane włosy w nadziei, że mnie to uspokoi. Mogę z nią przebywać w tym samym pokoju, na tej samej imprezie, wmawiam sobie, i nie ma to najmniejszego znaczenia, że powiedziałem jej, że ją kocham, a ona puściła to mimo uszu. Minął miesiąc, odkąd wydarzyła się ta straszna historia. Ten wieczór będzie się kręcił wokół innych strasznych historii, tym razem filmowych. Przynajmniej co do tego jesteśmy z moimi rodzicami zgodni.

– Ile osób zaprosiliście? – pytam.

– To twoja osiemnastka – odpowiada Andrew. – Od początku planowaliśmy dużą imprezę.

– A mnie przyda się nieco rozrywki po tej bombie, którą na nas spuściłeś – dodaje Gareth. – Nie mówiąc już o tym, że większość popołudni spędzam przy łóżku osoby w śpiączce, która mnie nienawidzi. – Nie nauczył się jeszcze dobrze mówić z wampirzymi zębami w ustach, więc trochę sepleni.

Na dźwięk dzwonka do drzwi podskakuję jak spłoszony koń. Już prawie biegnę na górę, żeby zatopić się w pracy nad swoim najnowszym filmem, ale przypominam sobie, że mój laptop leży na lodówce, żeby Frank przynajmniej w ten sposób mógł uczestniczyć w przygotowaniach do imprezy.

– Zaprosiliśmy kilku naszych znajomych – wyjaśnia Andrew, zmierzając w kierunku drzwi, podczas gdy ja próbuję uspokoić oszalałe serce – żeby nie pozwolili twoim gościom wysadzić naszego domu w powietrze. Wiesz, jaki chaos potrafi zapanować na imprezie, kiedy żaden z gości nie ma jeszcze dwudziestu lat.

– A propos wysadzania. Czy to nie ci sami znajomi wysadzili kosz na śmieci podczas ogniska w zeszłym roku? – syczę.

– To był tylko drobny incydent z fajerwerkami. Mógł się przydarzyć każdemu. Nie przejmujcie się nami, nie zamierzamy wam wchodzić w drogę.

Pocieram oczy.

– Gdzie konkretnie będziecie?

– W gabinecie – odpowiada Andrew, zerkając na Garetha. – Przy telefonie.

Na wypadek gdyby tej nocy zmarła moja babcia, myślę. Idealne uzupełnienie imprezy w stylu gotyckim.

Nagle dom wypełnia niewyobrazalny hałas. Znajomi moich rodziców szturmują drzwi, machając do mnie spod różnej maści peleryn i peruk, a ja myślę tylko: dzięki Bogu, że temat imprezy przynajmniej częściowo wyjaśnia ich wygląd. Z głośników w salonie buchają przerażające dźwięki muzyki organowej, mieszając się z gniewnymi pomrukami Nigela.

– Wszystkiego najlepszego, geju – mówi Dan Dukas i wchodzi do domu, obejmując ramieniem bardzo szczupłą dziewczynę z ogromnym afro, którą chyba pamiętam z zajęć geografii. Przynajmniej sześć innych osób idzie ścieżką za jego plecami, pokazując na ustawiony w ogrodzie szkielec i komentując go między sobą. – Jak na dom, w którym mieszkają geje, ten się praktycznie nie wyróżnia; no może z wyjątkiem tych trupich akcentów.

Zerkam nad jego ramieniem na nadciągające tłumy, sparaliżowany niepokojem o Hannę. Nie widziałem jej od czterech tygodni; nie rozmawiałem z nią i nie miałem od niej żadnych wiadomości. Słyszałem tylko, że zaczęła się z kimś spotykać. Jak się z tym czuję? Modłę się, żeby Carmen dotarła do mojego domu przed Hanną i facetem, z którym się umówiła. Biedna Carmen. Zasługuje na kogoś lepszego niż ja.

– Za kogo się przebrałeś? – pyta Dan.

– Za Gregory’ego Antona.  
– Kogo?  
– Mordercę z *Gasnącego płomienia*, jednego z najznakomitszych gotyckich filmów, jakie kiedykolwiek nakręcono.

– Gra w nim Jake Gyllenhaal?  
– W 1944 roku Jake’a Gyllenhaala nie było jeszcze na świecie.  
– Nie o to pytałem, ale mniejsza z tym. – Dan taksuje spojrzeniem moją bonzurkę. – Wyglądasz zabójczo.

Staram się poluzować spocony kołnierz.

– Rzeczywiście, ledwo żyję – przyznaję ze smutkiem.

– Skąd to wytrzasnąłeś?

– Z szafy mojego taty. A ty kim jesteś?

Dan wygląda na zaskoczonego.

– Danem Dukasem, ty ofermo!

– Sołżenicynie! – wrzeszczy Raz, wchodząc do domu w czymś przypominającym turban na głowie. *Miłość często drogę znajdzie / Tam nawet, kędy głodny zwierz nie zajdzie*<sup>12</sup> głosi napis na jego obcisłej białej koszulce, pod wizerunkiem faceta, w którym rozpoznaję Lorda Byrona.

Mam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi.

– Hej, Raz – odpowiadam. Gardło mam suche jak pieprz. – Jest z tobą Hanna?

– Przyjdzie z Lizzie. Czy to jest ten słynny zabójca babć?

Nigel wystrzeliwuje ostry jak brzytwa pazur przez kraty swojego więzienia, mijając oko Raza o kilka milimetrów.

– Jeszcze nie umarła – mówię, kiedy Raz szybko się prostuje. – Jest tylko nieprzytomna. Jak uniwerek?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Byłem dopiero na dwóch wykładach.

Za Razem idzie tuzin dziewczyn z mocno pomalowanymi oczami, ubranych w krótkie błyszczące sukienki; wszystkie chichoczą i zerkają z zaciekawieniem na rozstawione wszędzie świece, wiszące w oknach ciężkie czerwone zasłony, kandelabry i niezliczoną ilość pajęczyn. Przerazające dźwięki muzyki organowej stają się coraz głośniejsze; słychać między nimi nowy elektroniczny beat. Czyżbym zaprosił wszystkich tych ludzi, czy moi rodzice po prostu zamieścili ogłoszenie na Twitterze?

Rozluźniam się dopiero na widok Stewiego: spod kołnierzyka i rękawów marynarki wystają mu końce bandaży. Jego wielka, piegowata głowa też jest owinięta bandażami. Obok niego, ubrana w maleńki strój Kleopatry, stoi Trixie. Posyła mi ledwie zauważalny uśmiech – błyska nim niczym semafor światłami – i rozgląda się mocno pomalowanymi arabskim kohlem oczami po zatłoczonym korytarzu, oceniając wygląd pozostałych gości.

– Jak leci, stary? – Stevie energicznie ściska moją rękę swoją owiniętą bandażami dłonią. – Wszystkiego najlepszego i w ogóle.

– Powinieneś był się przebrać za Juliusza Cezara, Stevie – marudzi Trixie. – Widzę trzy inne mumie i wszystkie wyglądają bardziej realistycznie niż ty.

– Za bardzo się spałem – mówi do mnie Stevie, kiedy Trixie odłącza się od niego i przeciska na drugą stronę pokoju do Vashti i Laury, które przebrały się za wiedźmy z epoki wiktoriańskiej. – Nie mógłbym udawać martwego, nawet gdybym chciał. Hanna już jest?

– Chyba widziałam ją przed domem – odzywa się Carmen, pojawiając się za plecami Stewiego. Jej olśniewająca długa suknia jest uszyta z materiału przypominającego pajęczą sieć, który nie pozostawia zbyt dużego pola do opisu dla wyobraźni. Posyła mi tak ciepły przeznaczony-wyłącznie-dla-mojego-chłopaka uśmiech, że przez moment zaślepią mnie mieszanka poczucia winy i pożądania. Jak mogę w dalszym ciągu myśleć tyle o Hannie, skoro mam taką dziewczynę?

– Wyglądasz niesamowicie – mówię. – Jak udało ci się wyjść z domu w takim stroju?

– Właśnie dlatego się spóźniłam – chichocze Carmen. – Przebrałam się w toalecie w kawiarni. Przepraszam, długo na mnie czekałeś? Cześć Stevie, jak się masz?

Stevie wygląda tak, jakby ktoś wyrwał mu wszystkie organy i napełnił nimi co najmniej pięć kanopskich urn. Carmen radośnie się do niego uśmiecha, bierze mnie za rękę i wciąga w wir imprezy.

– Dom wygląda pięknie – mówi. – Naprawdę czuję się jak w gotyckim filmie! Skąd znasz tych wszystkich ludzi?

– Nie znam. Napijesz się czegoś? Paru gości miksuje w kuchni koktajle.

– Z alkoholem? Mój ojciec nie chce, żebym piła.

– Masz już osiemnaście lat – zauważam.

– Mimo wszystko – odpowiada poważnie.

Faceci od koktajli zorganizowali bar na wyspie kuchennej, z pojemnikami pełnymi lodu, plasterkami cytryny, kandyzowanymi wiśniami, oliwkami, alkoholami i shakerami do drinków stojącymi w lśniących szeregach, podczas gdy oni nalewają i mieszają. Światła w kuchni – podobnie jak w całym domu – są przygaszone, więc drinki sprawiają wrażenie krwistoczerwonych. Proszę barmanów o przygotowanie bezalkoholowej wersji Krwawej Mary i wracam tam, gdzie zostawiłem Carmen.

– Świetna impreza, stary! Dzięki za zaproszenie!

Spoglądam w górę i widzę powiększoną twarz Franka zerkającą na mnie znad lodówki.

– Miło, że wpadłeś! – odkrzykuję. – Co u Cheta?

– Nadal jest rozkoszny, chociaż czasem mu odwala. A jak z Hanną?

– Nawet nie wiem, czy tu jest! – wrzeszczę, machając ręką w stronę zatłoczonej kuchni.

– Dzięki temu, że postawiłeś mnie na lodówce, mam ponad dwa metry wzrostu! – krzyczy Frank.

– Przyszła dziesięć minut temu z dziewczyną przypominającą okno w katedrze!

– Hanna wygląda jak okno w katedrze?

– Nie Hanna, tylko jej przyjaciółka!

Odstawiam szklankę z bezalkoholową Krwawą Mary i pędzę przez kuchnię z bijącym sercem. Myślę wyłącznie o tym, żeby mieć już to pierwsze spotkanie za sobą. Muszę puścić w niepamięć to nieszczęsne „kocham cię” i powtarzać sobie, że jej zdaniem to był tylko szok, nic więcej, że nie ma powodu, abyśmy nie mogli nadal być przyjaciółmi.

Hanna i Lizzie siedzą przy kominku w salonie. Lizzie pomalowała sobie twarz na czerwono, zielono i niebiesko; Trixie, Laura i Vashti rzucają jej krzywe spojrzenia z drugiej strony pokoju. Hanna śmieje się, odrzuciwszy głowę do tyłu; jej grube blond włosy spływają lśniącą kaskadą na nagie plecy. Z odsłoniętym gardłem wygląda jak gotycka dziewczyna w jaskini pełnej wilków.

Hanna...

Hanna, i nikt więcej.

## Hanna

– Nie przestawaj się śmiać – mówi do mnie Lizzie. – On tu idzie.

Kiedy ktoś ci mówi, że masz się dalej śmiać, na pewno przestaniesz to robić – a przynajmniej zaczniesz wyglądać, jakbyś miała jakiś atak. Bałam się tego momentu, odkąd kwadrans wcześniej weszliśmy do domu. Krew napływa mi do twarzy, kiedy wykrzywiam usta w grymasie udającym uśmiech.

– Cześć – odzywa się za mną Sol.

Wygląda wprost nieziemsko w starodawnej bonzurce z aksamitu w kolorze burgunda, białej koszuli i czarnym krawacie. Ma przydymione cieniem powieki, jego oczy niemal świecą na tle śmiertelnie bladej twarzy. Bonzurka idealnie podkreśla jego przyciemnione i gładko zaczesane włosy.

– Wyglądasz jak seter irlandzki, który właśnie wyszedł ze stawu – mówię.

Lizzie krztusi się drinkiem. I dobrze, myślę sobie. Właśnie tak. Kiedy rozmowa z kimś cię paraliżuje, porównaj tę osobę do mokrego psa.

– Nie do końca na taki wygląd liczyłem. – Wsuwa dłonie w dwie duże kieszenie z przodu bonzurki. – Za to ty wyglądasz pięknie.

Nie mam kieszeni, a co za tym idzie, nie mam co zrobić z rękami. Czy powinnam je trzymać przy bokach? Nie złożę ich przecież jak do modlitwy. A gdyby tak założyć je za plecy? Za bardzo w stylu Księcia Karola. Wyciągam więc ręce niezręcznie przed siebie, nie wiedząc czemu otaczam nimi jego aksamitne ramiona i składam pocałunek gdzieś w okolicy ucha. Ładnie pachnie. Drzewnie. Nadziejają. Pachnie Solem.

– Wszystkiego najlepszego. – Udaje mi się z siebie wydusić, po czym rozpaczliwie szukam w głowie tematu do niezobowiązującej pogawędki. – Masz jakieś wieści o swojej babci?

– Nie.

– Jest tu Carmen?

Coś przeskakuje w tych jego zielonych oczach.

– Cholera – mówi. – Poszedłem po drinka dla niej i zapomniałem jej go dać.

– Seter irlandzki? – prychna Lizzie, kiedy Sol oddala się od nas przez tłum, podobny do zwinnego, aksamitnego węża.

W naszą stronę płynie fala cytrynowego zapachu.

– Hej – mówi Dan z uśmiechem jak u psa mojej babci.

– Muszę się napić – odzywa się pospiesznie Lizzie. – Radź sobie sama, Han.

Dan bierze mnie za rękę, jeszcze zanim Lizzie na dobre wyjdzie z pokoju.

– Chodźmy stąd – szepcze mi do ucha.

– Stałam kiedyś na dachu twojego garażu – mówię, oswobadzając palce z jego uścisku. – Światła były włączone, ale jak to mówią, nikogo nie było w domu.

– Ale ja chcę z tobą porozmawiać. – Dan idzie za mną, kiedy próbuję uciec z zatłoczonego pokoju w jakieś mniej cytrynowe miejsce. – Chcę, żebyś mi powiedziała, co mam robić.

Nie mam na to siły.

– Dan, czy naprawdę nie potrafisz tego sam zrozumieć? – pytam sfrustrowana. – Dostałeś ode mnie KOSZA.

– Na plaży wyglądało to zupełnie inaczej.

Oblewam się rumieńcem.

– Może na początku, ale później się opamiętałam. Czy nie możesz zrozumieć, że to się już nie zmieni?

– Ale ja do żadnej dziewczyny nie czułem tego, co do ciebie. – Nie chce dać za wygraną Dan.

– Oczekujesz oklasków?

– Ale ty jesteś tak niesamowicie seksowna! Na twój widok robi mi się tak gorąco, jakbym... jakbym miał gorączkę.

Przewracam oczami.

– Proszę, Han. – Dan obejmuje mnie w pasie. Wygląda, jakby miał się rozplakać. – Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Jestem przerażona tym, że Lizzie może w każdej chwili wyjść z kuchni i nas zobaczyć... Jeśli Dan ośmieli się...

– Auć! – jęczy, odsuwając się od moich ust i przykładając dłoń do twarzy.

Wyglądam sukienkę. Dłoń mnie piecze i kilka razy prostuję palce, zanim wybiegam do kuchni z największą godnością, na jaką mogę się zdobyć.

Za ciemnymi kuchennymi drzwiami coś migocze; na końcu ogrodu na tyłach domu ustawiono duży ekran. Wychodzę na zimne nocne powietrze z oczami utkwionymi w ogromnych czarno-białych postaciach przesuwających się po ekranie. Wydaje mi się, że to *Naręczona Frankensteina*. Kilka osób pomimo chłodu dzielnie stoi pośród kolorowych światełek i tarasowych grzejników, ściskając swoje drinki, i patrzy jak Boris Karloff ujmie drobną dłoń naręczonej, a ta zaczyna krzyczeć.

Siadam na ławce pod niewielką, oplecioną bluszczem altanką i oglądam. Niemal w tej samej sekundzie czuję, jak mój puls się uspokaja. Magia kina, myślę z wdzięcznością, kiedy oplatają mnie srebrne palce filmowej opowieści. Nie myślę o Danie, nie myślę o Lizzie, ani nawet o Solu. Przynajmniej dopóki ten nie siada na ławce obok mnie.

– W środku panuje lekki zamęt – mówi. – Pomyślałem, że posiedzę tutaj.

– Znalazłeś Carmen? – pytam, pociągając nosem. – Dałeś jej drinka?

Sol przygląda mi się w ciemności.

– Ty płaczesz?

Wycieram nos.

– To smutna historia – mówię, wskazując na ekran. – Biedny potwór. On tylko chce kochać swoją naręczoną.

Ludzie mijają ławkę, przesłaniając nam widok swoimi przemykającymi cieniami. Laura i Jake wbiegają z chichotem w zarośla. Dan siedzi sam na krześle przed ekranem, podpierając głowę rękami. Mam wrażenie, że siedzimy z Solem w naszym własnym pokoiku kinooperatora.

– Nie widzą nas, prawda? – pyta.

– Nie wiedziałeś? – odpowiadam pytaniem. – To magiczna ławka.

– Zawsze ją o to podejrzewałem.

– Każdy, kto na niej siada, staje się niewidoczny dla reszty. Ta ławka to nasz numer dwunasty przy Grimmauld Place<sup>13</sup>.

Byłoby miło, gdyby to była prawda, myślę. Gdy tak wyobrażam sobie różne rzeczy, które można by było robić na niewidzialnej ławce, zaczyna mnie boleć brzuch, jak po zbyt wielu przysiadach.

– Czy Carmen... – zaczynam.

– Han – przerywa mi. – Czy możemy nie rozmawiać teraz o Carmen?

Jego oczy są duże i poważne, a nasze nosy znajdują się dość blisko siebie. Czuję, że altanka, pod którą siedzimy, jakby się skurczyła.

– Jasne.

Sol opiera się ciepłą nogą o moją nogę. Przez głowę przelatuje mi teraz tyle myśli, nadziei i obaw, że tylko czekam, aż usłyszymy dźwięk ich obijania się o moją czaszkę. Mam ochotę go pocałować.

Ekran przed nami rozbłyskuje srebrzyście, gdy laboratorium wybucha deszczem cegieł, które jednak nie wyglądają zbyt przekonująco. Moje palce zaczynają wędrować w górę rękawa aksamitnej bonzurki Sola. Nie mam pojęcia, dokąd zmierzają.

Sol łapie mnie za rękę. Cofam palce z twarzą rozpaloną jak skała na Saharze w samo południe. Bogu dzięki za otaczającą nas ciemność.

Trixie wyrasta przed naszą ławką niczym kościsty egipski miraż. Oboje zrywamy się na równe nogi, Sol uderza głową o górną część altanki, a ja gwałtownie łapię powietrze, jakbym właśnie wynurzyła się z wody.

– Widzieliście Steviego? – pyta. – Poszedł po drinka dla mnie, nie mogę go nigdzie znaleźć, a mam ochotę zatańczyć.

## Hanna

– Mogę go poszukać sama, Hanno – mówi Trixie.

– Tak, ale co czworo oczu to nie dwoje – odpowiadam wesoło – jak powiedział kiedyś pewien optyk.

– Jaki optyk?

Szukanie Steviego zaskakująco skutecznie odwraca moją uwagę od Sola. Nie ma go ani w kuchni, ani w korytarzu czy salonie, który zamienił się w wir dudniących dźwięków pełen ciał wyginających się jak po porażeniu prądem. Do sprawdzenia została nam już tylko toaleta na dole. Jest zajęta i to przez więcej niż jedną osobę, sądząc po dobiegających z niej chichotach.

Trixie wali w drzwi.

– Stevie? – woła. – Kto tam z tobą jest?

Drzwi otwierają się i staje w nich Vashti. Kiedy ona poprawia sukienkę, Stevie usiłuje się schować za drzwiami. Ma to mniej więcej tyle sensu, co próba upchnięcia Boeinga 727 do szopy w ogródku.

– To nie tak jak myślisz, Trix – zaczyna, kiedy Vashti wymyka się do kuchni. – Ona się na mnie rzuciła. Nie mogłem się jej pozbyć.

– Nie waż się mieszać w to Vashti – syczy Trixie.

Stevie wygląda na autentycznie przerażonego.

– Nigdy bym cię nie zdradził. Nie jestem takim typem...

– Vashti jest moją *przyjaciółką*. Nigdy w życiu nie całowałyby się z tobą, gdybyś jej do tego nie namówił.

– Wiadomość z ostatniej chwili, Trixie – odzywa się Lizzie, oparta o balustradę nad naszymi głowami. Farba na jej twarzy jest już mocno rozmazana. – Vashti Wong z nikim się nie przyjaźni poza sobą. Idealnie się uzupełniacie.

Trixie wykrzywia swoją drobną twarz. Ogarnia mnie przerażenie. Nie należy drażnić lwa, myślę.

– Lizzie – mówię nerwowo. – Trixie właśnie przeżyła szok. Bądź dla niej miła.

– Tak jak ona dla mnie? – prycha Lizzie. – Bez szans. Wiesz Trix, poradziłabym ci, żebyś staranniej dobierała sobie przyjaciółki, gdybyś na to zasługiwała, ale nie zasługujesz, więc...

– A czy twoja *najlepsza przyjaciółka* opowiedziała ci już, jak obściskiwała się z Danem na plaży? – pyta Trixie. – Wspomniała ci o tym? Nie, chyba nie, prawda Hanno, skarbie?

Trafiona, zatopiona. Rozpadam się na kawałki. Twarz Trixie jest tak pełna nienawiści, że prawie fosforyzuje. Stevie, który usiadł na dole schodów i schował twarz w dłoniach, podnosi głowę i marszczy brwi.

– Przykro mi, że dowiadujesz się tego ode mnie, Lizzie – kontynuuje Trixie, drżąc na całym ciele – ale to prawda. Więc tak na przyszłość sugeruję, żebyś sprawdziła własne przyjaciółki, nim zaczniesz oczerniać moje!

Lizzie unosi kolorowe brzo. Nie mam wyboru.

– Przepraszam! – krzyczę. – Powinam ci była powiedzieć, ale bałam się, że znowu cię stracę przez taką głupotę. Odepchnęłam go, gdy tylko... Odepchnęłam go dość szybko i od tamtej pory usiłuję się go pozbyć, widziałaś przecież, jak za mną łąził, prawda?

Na szczycie schodów pojawia się Raz i obejmuje Lizzie w pasie. Zgubił gdzieś swój turban, a jego twarz jest pokryta zieloną i niebieską farbą we wszystkich tych miejscach, w których starła się ona z twarzy Lizzie. Przyglądam mu się ze zdumieniem. Co...

– Oczywiście, że tak – odzywa się zniecka Lizzie. – Zdjęłabym przed tobą czapkę, ale ich nie noszę. Szczerze mówiąc, kiepsko wyglądam w nakryciach głowy.

– Podobało mi się to sombrero, które miałaś na plaży – odzywa się Raz.

Lizzie klepie go po zabrudzonym farbą policzku.

– W takim razie powinieneś być wtedy przyjsć i mi to powiedzieć, zamiast ślęczeć nad książką.

– Akurat czytałem ciekawy fragment – broni się Raz.

Trixie tupie nogą, żeby ponownie skupić uwagę na sobie.

– Hanna całowała się z Danem!

– To Dan mnie całował – prostuję, unosząc ręce.

– Cóż znaczy jeden pocałunek między przyjaciółkami? – pyta Lizzie. – Podkreślam: jeden – dodaje. – Chociaż, szczerze mówiąc, pewnie byłabym na ciebie troszeczkę bardziej wkurzona, gdyby Rasmus dzisiaj do mnie nie uderzył.

Sprawy wyraźnie nie układają się po myśli Trixie. Sama też jestem zaskoczona. Raz podgryza ucho mojej najlepszej przyjaciółki, a Lizzie wygląda tak, jakby wcale nie przejęła się bombą, którą właśnie rzuciła na nią Trixie. Czy to się dzieje naprawdę? A może oglądam scenę z jakiegoś filmu?

– Dan ma tendencję do ignorowania dziewczyn, z którymi mu się poszczyło. Wiem to z doświadczenia – ciągnie Lizzie. – Możemy śmiało stwierdzić, że ostatnio nie ignorował Hanny. To nawet trochę smutne, patrzeć jak przegrywa.

– Ale... – Nie wytrzymuje Trixie.

– Ćśś – ucisza ją Lizzie, ostrzegawczo unosząc palec. – Jeszcze nie skończyłam. Widzisz, Trixie, w tym roku Hanna zrobiła coś, co ciebie kompletnie przerasta. *Wyciągnęła wnioski*. I wiem, że nie popełni drugi raz tego samego błędu, choćby ją bardzo kusiło. To właśnie jest przyjaźń.

Chyba się zaraz rozplaczę. Posyłam Lizzie łzawy uśmiech i kilka całusów.

– Czy możemy wrócić do tego, co robiliśmy wcześniej? – zwraca się Raz do szyi Lizzie, błędząc palcami po jej długich ciemnych włosach.

– Tak, Rasmusie – zgadza się Lizzie. – Możemy.

Kiedy znowu zaczynają się obściskiwać, zapada interesująca cisza.

– Nadal jesteś draniem, Stevie – odzywa się wreszcie Trixie, starając się przynajmniej częściowo odzyskać swoją pozycję. Nawet się lekko uśmiecha. – Ale jeśli będziesz dla mnie bardzo dobry, może się zgodzę, żebyś mi to jakoś wynagrodził.

Stevie wstaje ze schodów, bardzo wysoki i w rozplątanych bandażach.

– Chyba żartujesz – mówi z godnością.

A później odchodzi.

Trixie zamienia się w przerażoną kupkę nieszczęścia.

– Stevie? – szepcze za jego oddalającymi się plecami.

Ale on się nie odwraca.

## Sol

Nie poruszyłem się, odkąd Hanna ode mnie uciekła. Film zaczął się odtwarzać od początku, więc siedzę na swoim miejscu i patrzę. Większość historii sływa po mnie jak woda po kacze, z wyjątkiem fragmentu o tym, że nie można nikogo zmusić do miłości, i myślę już tylko o włosach Hanny sływających po jej gładkich nagich plecach jak czyste złoto, o Nigelu powalającym moją babcię na ziemię, o wampirach i koktajlach, a także o twarzy Franka na lodówce, wielkiej jak u Hagrida. O dłoni Hanny na moim ramieniu i mojej dłoni w jej dłoni, i momencie, w którym cofnęła palce, jakby mój dotyk mógł ją oparzyć.

Siadam z powrotem na niewidzialnej ławce. Miło byłoby uczynić ją jeszcze bardziej magiczną, tak bym mógł na niej całować łabędzią szyję Hanny, jej delikatne usta, głaskać ją po chłodnych, gładkich włosach i nie myśleć o konsekwencjach. Dźwięcznie wymawiane „r” Elsy Lanchester przetacza się po mojej głowie niczym kule do kręgli.

– Wyglądasz, jakbyś musiał się napić.

Ktoś wkłada mi zimną butelkę w rękę.

– Ja w każdym razie na pewno – mówi Stevie, stawiając na ziemi skrzynkę schłodzonego piwa. – A nie piję sam. Tobie już wolno, więc korzystaj. – Stukamy się butelkami i Stevie pociąga ze swojej potężny łyk.

– Trixie? – pytam.

– Trixie – potwierdza.

Piwo nie jest takie złe. Zimne i ostre; bąbelki drapią mnie w gardło. Nawet nie wiem, kiedy osuszam butelkę. Stevie podaje mi następną.

– Szukała cię – mówię, ocierając usta wierzchem dłoni.

– I znalazła. W toalecie z Vashti. Z nami koniec.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Sięgam po trzecią butelkę, zdejmuję kapsel o oparcie ławki i wlewam płyn do gardła. Uczucie przyjemnego rozluźnienia zaczyna mi się rozlewać po kończynach.

– Do niczego między nami nie doszło – mówi żałośnie Stevie. – To znaczy dotknąłem piersi Vashti, ale tylko dlatego, że przycisnęła mnie do ściany. Nie mogłem ich ominąć.

– Ja też dotknąłem jej piersi – przyznaję. – Na plaży. – Wykonuję zamaszysty gest ręką, w której trzymam butelkę z piwem i rozchlapuję przed nami bursztynowy płyn. – Dopadła mnie w szuwarach. Dopekliśmy łabędziowi.

– Upiekliście łabędzia?

– DOPIEKLIŚMY łabędziowi – powtarzam. – Wkurzyliśmy go.

– Przerażające – stwierdza Stevie.

– Łabędzie?

– Dziewczyny takie jak Vashti.

Kiedy usiłuję otworzyć czwartą butelkę, okazuje się to o wiele trudniejsze niż przy pierwszych trzech. Potrzebuję aż pięciu prób, żeby posłać kapsel w pobliskie krzaki.

– Chodzę z Carmen Mendozą od siedmiu miesięcy i nawet się nie zbliżyłem do jej piersi – informuję Steviego. – Dlatego, że jej tata jest RoboCopem, a ja nie potrafię przestać myśleć o Hannie.

Stevie beka i klepie mnie w ramię.

– Siedem miesięcy bez dotykania piersi, a ja przez większość tego czasu myślałem o Hannie – mówię dalej. – Jestem tchórzem i frajerem.

– To prawda, mój przyjacielu – przyznaje mi rację Stevie.

– Często myślę o pupie Hanny – zwieram mu się.

– Jak większość z nas, stary.

– Muszę zerwać z Carmen – mówię, wstając z ławki. Ziemia pod moimi stopami niebezpiecznie się przechyla, więc opieram się o głowę Steviego, żeby się nie przewrócić. – Muszę to zakończyć, chociaż nie mam cienia nadziei na to, że Hanna kiedykolwiek mnie pokocha. Muszę złamać piękne,



czyste serce Carmen i czekać, aż RoboCop przyjdzie po mnie uzbrojony w swoją podrasowaną beretkę.  
– Do dzieła – zachęca mnie Stevie. – A jak już będzie po wszystkim, wróc tu i napij się ze mną piwa.

– Jasne. No to idę.

Idę wężykiem w stronę kuchni, objając się o framugę tak, jak wtedy, gdy Gareth gonił Nigela w masce do szermierki. Nigela, który niemal zabił moją babcię, nie prosząc o nic w zamian. Szkoda, że nie mam takich wielkich jaj jak on.

– Czy ktoś widział moją dziewczynę? – krzyczę w stronę gości i zerkam w górę, na lodówkę. – Cześć, Frank. Odkąd to jesteś taki wysoki?

– Jeśli twoja dziewczyna to ta spowita w koronkę bogini patrząca w naszą stronę, to stoi w korytarzu przy schodach – informuje mnie Frank.

Opieram się o lodówkę.

– Jest cudowna, prawda? I całuje jak bogini. Za moment zrujnuję jej życie.

Korytarz jest dalej, niż mogłoby się wydawać. Carmen odstawia drinka i przygląda mi się podejrzliwie, kiedy wyciągam do niej ramiona.

– Boże, jakaś ty piękna – odzywam się w nagłym przyplywie namiętności. – Jak wielka napompowana opona. Mówiłem ci to już dzisiaj?

Carmen zerka na dyndającą mi między palcami butelkę.

– Piwo – podpowiadam usłużnie.

– Widzę. Ile wypileś?

Macham beztrąsko butelką.

– Nie liczyłem.

– Powinieneś zaczerpnąć świeżego powietrza. Może wyjdziemy do ogrodu?

– Właśnie stamtąd wróciłem – marudzę.

Obejmuje mnie ramieniem w pasie i pomaga mi przejść przez kuchnię. Macham do chłopaków przy barze z koktajlami, ponownie odbijam się od framugi i z trudem przechodzę przez niebezpiecznie wysoki próg.

– Kiedyś się na nim wywróciłem – mówię – i rozciąłem sobie głowę. Krew sikała ze mnie jak szalona.

A skoro o sikaniu mowa... Przez chwilę szarpnię za rozporek, a gdy wreszcie udaje mi się go rozpiąć, opieram się o ścianę. Nie rozumiem, dlaczego ludzie tak dziwnie mi się przyglądają.

– Dzięki, że tu jesteś – zwracam się do ściany. – I że w tym trudnym czasie jesteś podporą dla nas wszystkich, a szczególnie dla róż Garetha.

Stevie sunie przez ogród w naszą stronę.

– On jest pijany, Stevie – wyjaśnia Carmen. – Nigdy wcześniej nie widziałam go pijanego. Nie wiem, co robić.

– Powinnaś się z nim umówić – mówię, wskazując na Steviego. – Jest teraz singlem, i to znacznie miłszym niż ja.

– Dlaczego mi to mówisz? – pyta zdziwiona Carmen. – O co mu chodzi, Stevie?

– On nie będzie myślał o pupach innych dziewczyn w twoim towarzystwie – kontynuuję. – Stevie jest solidny, godny zaufania.

Piękne, wydatne usta Carmen zaczynają drżeć.

– Jesteś obrzydliwy.

– Przepraszam – mamrocę i osuwam się po ścianie, by wreszcie wylądować w kałuży własnych sików, które przesiakają mi przez spodnie. Całą przyjemność związaną z piciem piwa zastąpiły potworne mdłości: fizyczne i mentalne. – Bardzo mi przykro, Carmen, ale nie będzie żadnego happy endu. Bo wiesz, nie możesz się z kimś ożenić – przerywam, żeby odbeknąć – kiedy kochasz kogoś innego, prawda?

To jakiś cytat, myślę<sup>14</sup>. Hanna wiedziałaby, skąd pochodzi. Nawet nie potrafię być oryginalny, rujnując komuś życie.

– Odprowadzisz mnie do domu, Stevie? – pyta płaczliwie Carmen.

*Jak to możliwe, że on nie jest pijany, zastanawiam się, kiedy Stevie obejmuje wążutką talię Carmen swoją wielką łapą i wyprowadza ją przez kuchnię. Wypił przynajmniej tyle co ja. Dźwigam się z ziemi. Świat wokół mnie kręci się jak żyroskop i przewracam się w krzaki.*

– Nic ci nie jest, Lauro? – słyszę dobiegający gdzieś z góry głos Jake’a.

## Hanna

Trixie siedzi w kącie pokoju i wypłakuje sobie oczy. Gdy tak tkwi zwinięta w kłębek na fotelu, wygląda, jakby miała sześć lat. To najbardziej żalony widok na świecie. Ignorowanie jej wysokooktanowych poziomów udręki wydaje się czymś nieludzkim. Przepycham się przez roztańczony tłum i staję przed nią ze skrzyżowanymi ramionami.

– Pewnie doskonale się bawisz – łąka Trixie.

– Jeszcze jak. Właśnie dlatego przyszedłam sprawdzić, czy nic ci nie jest.

Trixie wyciera pomalowane na niebiesko-czarno oczy, przy okazji rozmazując sobie makijaż na połowie twarzy.

– Stevie mnie rzucił – stwierdza z niedowierzaniem.

– Jesteś zdziwiona? – Wiem, że powinnam to powiedzieć współczującym tonem, ale nie jest mi łatwo.

– Wydawało mi się, że mnie kocha. Stevie to najlepsze, co mnie w życiu spotkało.

– Szkoda, że odkryłaś to dopiero teraz.

– Nie dobijaj mnie, ty jędo!

– Nie musiałam tu do ciebie przychodzić – zauważam. – Mogłam cię zostawić samą, tak jak twoje przyjaciółki.

– Muszę go odzyskać, Hanno – jęczy. – Nie mogę bez niego żyć.

– Kiedyś tak samo myślałam o Danie. Ale jestem sama już od dziesięciu miesięcy i jakoś żyję.

– Dziesięć miesięcy? Sama? – dziwi się Trixie.

I nagle uświadamiam sobie, że to całkiem długo. I nie tylko nie miałam przez ten czas chłopaka, ale całowałam się tylko raz. To nie może być zdrowe. Nic dziwnego, że tak mi odwała na punkcie Sola.

– Boże. Stevie i ja byliśmy ze sobą ponad dziesięć miesięcy. – Nawet pograżona w rozpacz Trixie sprawia wrażenie zadowolonej z siebie. Po chwili przestaje się uśmiechać i znowu zalewa łzami.

– Spotykaliśmy się przez prawie rok. Uprawialiśmy seks i w ogóle. To nie może się tak po prostu skończyć. Boże! Żałuję, że nie mogę cofnąć tego wieczoru.

– Życie to nie film – mówię.

Trixie kiwa głową, płacze jeszcze przez chwilę i ponownie kiwa głową. Zjawiają się Jake i Laura, cali w liściach. Za nimi idzie Vashti.

– Sol nawalił się jak stodoła – informuje nas Jake, wskazując kciukiem przez ramię w stronę ogrodu. – Leży w krzakach.

Coś tu nie gra, myślę. Sol nie pije.

– Nic mu nie jest? – pytam.

– Na pewno jest w lepszej formie niż krzak – odpowiada Laura, chichocząc.

Vashti patrzy na zapłakaną Trixie bez większego zainteresowania.

– Siedzi w kałuży własnych sików – zwraca się do mnie. – Coś obrzydliwego.

– Nikt nie zasługuje na przyjaciół takich jak ty – mówię z odrazą. – Nawet Trixie.

Sol nadal leży w krzakach, kiedy go znajduję.

– Liście są zadziwiająco wygodne – mamrocze. – Powinienem częściej w nie wpadać.

Próbuję złapać go za ramię i dźwignąć do góry, ale za bardzo przelewa mi się przez rękę. Zastanawiam się, gdzie zniknęła Carmen.

– Ile wypięś? – pytam.

– Za mało.

Przerzucam sobie jego rękę przez ramię, dla lepszego podparcia, i ciągnę jeszcze raz. Tak się wysilam, że piersi mogą mi w każdej chwili wyskoczyć z sukienki. Sol jest ciężki i brzydko pachnie. Jakoś udaje mi się go postawić na nogi.

– Nie mów RoboCopowi – mówi niewyraźnie, opierając się o mnie, kiedy prowadzę go do domu.

Czuję się, jakbym szła z szafą uczeptioną u szyi. Nigel szczerzy do mnie kły spod schodów. Sol

chwieje się przy słupku, niepewnie spoglądając w górę. Popycham go od tyłu, opierając się o niego, i marszczę nos, kiedy dolatuje mnie zapach jego spodni. Na górze jakoś udaje mi się przetransportować Sola do sypialni; popycham go tak, że ląduje na łóżku twarzą do dołu.

– Pani Robinson, czyżby próbowała mnie pani uwieść? – pyta zduszonym głosem, kiedy ściągam z niego spodnie.

– Jesteś cały w sikach – odpowiadam, lekko panikując. Czy powinnam mu zdjąć również majtki?

– Carmen będzie szczęśliwsza ze Steviem.

– Ćśś, to nieprawda. – Odwracam oczy, ściągam mu gatki i przykrywam go kołdrą najszybciej, jak tylko się da. Istnieją granice rozbierania i chyba właśnie je przekroczyłam.

– Śliczny tyłeczek – mamrocze w pasiastą poduszkę.

– Znajdę ci jakąś miskę, na wypadek gdybyś miał wymiotować – mówię.

Kiedy wracam, Sol śpi z rękami rozrzuconymi po obu stronach głowy, jakby wykonywał akrobacje spadochronowe. Górna połowa jego ciała nadal jest grzecznie ubrana w bonżurkę, koszulę i krawat. Dolna połowa usiłuje się wydostać spod kołdry.

Stawiam mu miskę obok głowy. Kiedy wracam na paluszkach do drzwi, coś chrzęści mi pod stopami. Kawałek złożonego pod różnymi kątami papieru. Podnoszę go z podłogi i obracam w palcach, przyglądając się pozaginanyemu rogom i śladom składania.

Gdzieś już widziałam coś podobnego, ale nie pamiętam gdzie.

## 14 listopada

### Sol

– W szkole w Stanach mieliśmy taki klub prowadzony przez japońskiego nauczyciela, pana Yamauchiego. Nie był zbyt popularny, ale ja kiepsko sobie radziłem z przeprowadzką z Anglii do Stanów, a te zajęcia naprawdę mi pomogły. Poznałem na nich jednego z moich najlepszych przyjaciół, Franka. Zbierał baty prawie tak często jak ja. Nadal się przyjaźnimy, chociaż przez Internet to już nie to samo.

Włosy mojej babci są bardziej potargane niż na stacji, a jej skórę pokrywają zmarszczki, jakby ktoś ją pozaginał kilkaset razy. Zerkam na stojącego przy oknie Garetha, zastanawiając się, co on o tym wszystkim myśli. Wygląda, jakby chłonał każde moje słowo. Przynajmniej ktoś mnie słucha, myślę sobie, kiedy kiwa do mnie głową, żebym mówił dalej.

– Na początku robiliśmy papierowe króliki, ptaszki i inne proste rzeczy, ale szybko nam się to znudziło. – Im dłużej babcia mi się przygląda, tym bardziej idiotycznie się czuję. – Poprosiłem więc pana Yamauchiego, żeby nauczył mnie robić figurki, które widziałem w sieci. Frank nie miał do tego smykałki, jego figurki zawsze wyglądały jak zmięci kosmici, ale moje najczęściej były okej. Ludzkie postacie zwykle składa się o wiele więcej razy i jest to bardzo czasochłonne, ale podoba mi się, że każda z nich jest inna. Wykorzystuję je w moich filmach.

Staruszka, której właściwie nie znam, odwraca twarz w stronę ściany, uwalniając mnie od spojrzenia niepokojąco podobnego do spojrzenia Garetha. Przyglądam się teraz jej nosowi, który przypomina kształtem mój własny.

– Przyniosłem taką jedną figurkę.

Kładę ją na szorstkim szpitalnym kocu obok zaciśniętych palców mojej babci. Pozostają nieruchome.

– To nie jest oryginał. Zrobiłem ją kilka tygodni temu do filmu, który właśnie kręcę, ale się zepsuła, więc złożyłem nową, chyba lepszą. Za pierwszym razem ręka nie wyglądała tak jak należy. Mam nadzieję, że ci się podoba.

Co ją tak ciekawi w tej ścianie? Jest zielona, i tyle.

– Nie powinna się przemęczać podczas pierwszej wizyty – odzywa się pielęgniarka.

Wychodzimy, nasze kroki odbijają się głośnym echem w szerokim białym korytarzu oddziału. Już żałuję, że podarowałem jej tę figurkę. Zrobienie jej zajęło mi trzy wieczory, a ona nawet na nią nie spojrzała. Teraz będę musiał zrobić trzecią figurkę, żeby wykorzystała ją w filmie. Nie wiem, po co w ogóle ją przyniosłem ani dlaczego tyle mówiłem. Po prostu wydawało mi się, że tak trzeba.

Gdy zjeżdżamy z głównej drogi, atmosfera jest ciężka od niewypowiedzianych słów.

– Piękna była ta figurka, którą zrobiłeś – odzywa się wreszcie Gareth. – Jak to się stało, że oryginalna wersja się zepsuła?

Odwracam oczy od panującej na zewnątrz ciemności.

– Ktoś na nią nadepnął po imprezie.

– Pewnie ty. Sądząc po twoim ówczesnym stanie.

Wspomnienia tamtego wieczoru – chociaż mgliste – sprawiają, że czuję się jeszcze gorzej niż wtedy. Niewiele pamiętam, poza tym, że sikałem w ogrodzie, oparty o ścianę, i zerwałem z Carmen. Nie chcę nawet myśleć o tym, jak znalazłem się w swoim łóżku bez spodni. A już na pewno nie chcę wspominać tego, jak koszmarnie się czułem rano i że przez cały dzień wymiotowałem i masakrycznie bolała mnie głowa.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Wpatruję się w Garetha. – Wolę porozmawiać o niej.

– Najpierw filmy, teraz origami – mówi wymijająco – Czy jest coś jeszcze, co powinienem wiedzieć na temat twojego życia wewnętrznego?

– Gareth, ona i tak tu z nami jest, niezależnie od tego, czy będziemy o niej rozmawiać czy nie.

To interesujące patrzeć, jak mój tata zmaga się sam ze sobą. Zastanawiam się, czy ja też

wyglądam na tak stłamszonego i przestraszonego, kiedy Hanna usiłuje coś ze mnie wyciągnąć.

– W porządku – zgadza się po chwili. – O czym chcesz rozmawiać?

Od czego zacząć, kiedy ma się w głowie tyle pytań?

– Jaka była, kiedy dorastałeś?

– Surowa. Dla niej wszystko było czarne albo białe, nigdy nie dostrzegała szarości. Poświęciła mi całe swoje życie. A kiedy nie spełniłem jej oczekiwań i to poświęcenie poszło na marne... – Gareth zastanawia się nad właściwym doбором słów – zrezygnowała ze mnie – kończy.

– Tamtego dnia była na stacji, więc zakładałam, że jest stąd?

– Mieszka przy Imperial Avenue.

To tam, gdzie Dan. Myślę o wszystkich tych domach z ogromnymi bramami, zasłoniętymi kotarami i panującą w nich ciszą.

– To tylko pięć minut drogi od nas – mówię.

Zaczęło padać, a wycieraczki – sunące po szybie i kłaniające się nam niczym baletnice – wydają hipnotyzujący, szumiący odgłos. Nie mogę się powstrzymać od zadania Garethowi kolejnego pytania.

– A ja? Czy ja spełniam twoje oczekiwania?

Posyła mi zdumione spojrzenie.

– Co takiego?

– Zrezygnujesz ze mnie, jeśli pójdę na studia filmowe zamiast na finanse i rachunkowość?

Gareth zjeżdża na pobocze tak gwałtownie, że słychać pisk opon na asfalcie. Wygląda, jakbym wymierzył mu cios prosto w gardło.

– Nie jestem taki jak moja matka – stwierdza.

– Jesteś w połowie jak ona. A ja – w połowie jak ty. Pytam o to, bo... powiedziałeś, że nie zapłacisz za moje studia, jeśli wybiorę film...

Reszta moich słów grzęźnie w materiale bluzy Garetha, gdy ten niezgrabnie mnie przytula.

– Nigdy nie zrobiłbym ci tego, co ona mnie – oświadcza czubkowi mojej głowy.

– W porządku – odpowiadam z ustami pełnymi polaru. Przekręcam głowę, żeby nieco łatwiej mi się oddychało. Siedzimy tak przez chwilę, rozdzieleni ręcznym hamulcem, przy włączonych wycieraczkach.

– Żałujesz czasem, że nie poznałeś swojej matki?

– Czasami – odpowiadam z nosem wciśniętym w pachę Garetha. – Ale niezbyt często. Może jeszcze kiedyś zacznę.

– Czyli poradziliśmy sobie z Andrew w roli rodziców?

– Zapytaj mnie o to, kiedy będę miał dwadzieścia pięć lat. Dopiero wtedy mój płat czołowy będzie całkowicie ukształtowany.

Gareth wypuszcza mnie z objęć i wolno kładzie dłoń na kierownicy.

– Przepraszam, że nie porozmawiałem z wami wcześniej o filmach – mówię.

– Teraz już trochę lepiej rozumiem, dlaczego tego nie zrobiłeś.

Siedzimy tak jeszcze przez chwilę, przyglądając się wycieraczkom.

– Myślisz, że można to jeszcze naprawić? – pytam, kiedy Gareth w końcu włącza kierunkowskaz i rusza. – Twoją relację z babcią?

– Nie jestem pewien, czy tego chcę.

– Nie było dnia, żebyś nie siedział przy niej w szpitalu, czekając, aż się obudzi.

– Mam poczucie winy. Z powodu Nigela. – Odchrząkuje. – Powiedziałeś jej, że nakręciłeś już jakieś filmy. Mogę zobaczyć któryś z nich?

Staram się opanować towarzyszący mi zwykle niepokój.

– Już i tak robi mi się niedobrze na myśl o filmie, który muszę dołączyć do podania o przyjęcie na studia. Odrobina więcej mdłości chyba mi nie zaszkodzi?

– Mam nadzieję, że nie pochorujesz się tak jak wtedy po imprezie.

– Dzięki, że mi przypomniałeś. – Skręcamy właśnie w naszą ulicę. – No ale przede wszystkim za to, że postawiłeś mi wtedy miskę przy łóżku.

– To nie ja, tylko Hanna.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że zatrzymaliśmy się przed domem. Odpinam pas i idę za Garethem w stronę frontowych drzwi.

– Hanna? Hanna Bergdahl?

Zaczynam mówić o ludziach po nazwisku, tak jak Trixie.

– Dobra z niej dziewczyna. Troszczy się o ciebie. Gdzieś koło jedenastej zajrzała do gabinetu, żeby poprosić o miskę.

Wchodzę za ojcem do kuchni.

– Ale ja nie miałem na sobie spodni – mówię, przerażony tą dopiero co ujrzaną wizją piekła. – Kiedy się obudziłem, byłem... Pewnie widziała mój... Mogła zobaczyć...

– Chyba nie byłeś wtedy dla niej zbyt wielkim zagrożeniem – zauważa Gareth. – Napijesz się kawy? Możemy pójść na górę i obejrzeć twój film. A później pogadamy o twoich planach, okej?

## Hanna

– Zadzwoń do mnie – powtarza Lizzie, przytrzymując drzwi pociągu, żeby nie zamknęły jej się przed nosem.

– Zadzwonię, jak tylko dojadę na miejsce – obiecuje Raz.

– Zadzwoń, jak będziesz jechał.

– Zadzwonię najszybciej, jak się da.

Oboje są tak obrzydliwie szczęśliwi. Gdybym ich tak mocno nie kochała, to bym się popłakała. Odwracam wzrok, kiedy głośno migdała się w drzwiach, które niecierpliwie posapują i syczą. Gdybym miała przy sobie klakson, użyłabym go.

– Ech! – wdycha Lizzie, wiodąc smętnym wzrokiem za znikającym w oddali pociągiem. – Czy przypadkiem Raz nie podrapał mi twarzy zarostem? Nie mogę uwierzyć, że nie zobaczę go przez cały tydzień. Myślisz, że zauważyliby w college’u, gdybym się urwała na uniwersytet?

– Urwać to można jabłko z drzewa – mówię. – Na uniwersytet trzeba się dostać.

Lizzie poprawia czapkę. Zaczęła nosić czapki w superjaskrawych kolorach, odkąd Raz stwierdził, że do twarzy jej w nakryciach głowy.

– Mogłabym go schrupać jak pyszny kawałek szarlotki.

– Już to zrobiłaś. – Ciągnę ją wzdłuż kas biletowych i na ulicę. – Kiedy zamykały się za nim drzwi pociągu, miał tylko pół twarzy.

– Chyba nie spotka w tym tygodniu żadnej superinteligentnej dziewczyny i nie rzuci mnie dla niej?

– Pytałaś o to w zeszłym tygodniu i dwa tygodnie temu. Jak na razie świetnie się między wami układa. On za tobą szaleje, Lizzie, naprawdę. Wracamy do mnie?

Moja najlepsza przyjaciółka posyła mi speszone spojrzenie.

– Właściwie to jestem umówiona na wizytę... u ginekologa. W weekend niewiele brakowało, żebyśmy... Sprawy wymknęły nam się...

– Hola, hola – unoszę ostrzegawczo rękę. – Mówimy o moim bracie.

– Skoro nie chcesz ze mną rozmawiać o moim planowanym seksie z Rasmusem, to jak możesz być moją najlepszą przyjaciółką? Chyba będę o tym musiała porozmawiać z Trixie.

Lizzie odchodzi szeroko uśmiechnięta i posyła mi całusy; listopadowy wiatr targa jej długie ciemne włosy i prawie zrywa z głowy czapkę. Lizzie macha do mnie i znika za przystankiem autobusowym. Stoję przez chwilę, walcząc z własną czapką, i poprawiam kilka wysuniętych spod niej kosmyków. Ciężko mi na żołądku. Zakochana najlepsza przyjaciółka to najskuteczniejszy sposób na to, żeby zacząć analizować swoje życie miłosne. Lub jego brak.

Zaczyna padać, kiedy wspinam się po zboczach wzgórza, z rękami głęboko wsuniętymi w kieszenie i czapką wciśniętą na głowę najgłębiej, jak tylko się da. Mijam bar z frytkami, przechodzę przez jezdnię i już prawie dochodzę do przejazdu kolejowego, kiedy do moich uszu dociera głośny pisk opon.

Granatowy samochód zjeżdża z drogi i parkuje krzywo wzdłuż chodnika; koła są ustawione pod dziwnymi kątami. Sol i jego tata siedzą na przednich siedzeniach i chyba się kłócą. Sol odwraca twarz w stronę okna. Jest prawie tak błady jak na imprezie. Zastygam w bezruchu.

Nagle Gareth przyciąga głowę Sola do piersi. Odwracam wzrok. Czuję się jak intruz. Dopiero kiedy samochód ponownie rusza, zaczynam iść, z wzrokiem utkwionym w oddalających się tylnych światłach; światła stopu zapalają się i gasną, kiedy wolno posuwają się naprzód. Zastanawiam się, gdzie byli i o czym rozmawiają.

Zanim się orientuję, dochodzę do ulicy, przy której mieszka Sol. Czując się trochę jak podglądaczka, chowam się za drzewem niedaleko miejsca, w którym Gareth wysiada. Sol prawie wypada z samochodu i pędzi za ojcem, pytając go o coś głośno i ze zniecierpliwieniem, ale nie słyszę o co. Zastanawiam się, co bym powiedziała, gdyby któryś z nich się odwrócił, i oddycham z ulgą, kiedy żaden z nich tego nie robi.



Drzwi do domu się zamykają. Zastanawiam się, czy wrócić okrężną drogą czy tą samą trasą, którą przyszedłam, gdy zauważam w oknie w korytarzu zielone oko Sola.

Ma bladą, niesamowicie jasną twarz. Już mam mu posłać nieśmiały uśmiech z gatunku *Co za zbieg okoliczności, akurat wtedy przechodziłam*, kiedy gwałtownie odwraca się od okna, jakbym do niego strzeliła. Patrzę, jak wbiega schodami na górę, przeskakując po trzy stopnie naraz, jakby się paliło.

Kiedyś byłam dobra w te klocki, myślę ponuro, wracając do domu okrężną drogą, z brodą wciśniętą pod kołnierz swojego nowego płaszcza. Jak mogłam tak strasznie wyjść z wprawy?

Pod domem przypominam sobie akcję z garażem Dana i morze łez, jakie wylałam na szkolnych korytarzach po sylwestrowej katastrofie. Dociera do mnie, że tak naprawdę wcale nie jestem mistrzynią relacji damsko-męskich. Jestem do niczego, bo nigdy nie musiałam sobie radzić sama. Chłopcy zawsze kupowali mi bilety do kina i uganiali się za mną wokół basenów.

– Też dopiero co wróciłem – mówi James, wyłaniając się z kuchni z kubkiem herbaty w dłoni. – Próbuję włączyć Linusowi *Iniemamocnych*, ale nie pamiętam, jak uruchomić odtwarzacz DVD. Pomożesz mi?

Myślę o Garcie i Solu, przytulonych do siebie w samochodzie. O żwirze pryskającym spod opon samochodu taty; o kojącej, niezachwianej obecności Jamesa. Wyciągam ręce i obejmuję go w pasie.

– Spytałem, czy mi pomożesz, a nie, czy mnie przytulisz – odzywa się James, odsuwając ode mnie kubek z gorącym napojem. – Nie żebym się skarżył.

\* \* \*

Przepraszam, ale w tym miesiącu nie dam rady z wieczorem filmowym.

Ja też nie

Podanie o przyjęcie na studia zawładnęło moim życiem.

Żaden problem, naprawdę

Chciałem Ci podziękować za to, że się mną zaopiekowałaś wtedy po imprezie. Strasznie mi wstyd.

Kiedyś mi się odwdzięczysz

Może obejrzymy razem film w przyszłym miesiącu?

W przyszłym miesiącu będzie sylwester!

Jak to, już?

30 listopada

ZAPŁĄTANI (2010)

Reżyseria: Nathan Greno i Byron Howard

Scenariusz: Dan Fogelman (na podstawie baśni Braci Grimm ROSZPUNKA)

Kiedy uroczy awanturnik Flynn (mówiący głosem Zachary'ego Leviego) znajduje schronienie w opuszczonej wieży, po tym jak ukradł z pałacu koronę, spotyka Roszpunkę (głosu użyczyła jej Mandy Moore). Roszpunka mieszka w wieży przez całe życie, więziona przez złą Gertrudę (dubbingowaną przez Donnę Murphy<sup>15</sup>), ponieważ jej magiczne złote włosy zapewniają wiedźmie wieczną młodość. Roszpunce marzy się wolność, więc postanawia wykorzystać Flynna do pomocy w ucieczce. Kiedy zda sobie sprawę, że tak naprawdę jest zaginioną księżniczką?

Podczas tworzenia postaci łotrzyka Flynna twórcy filmu zapytali trzydzieści kobiet pracujących w studiu o cechy wymarzonego faceta, chcąc stworzyć najbardziej atrakcyjną postać męską w historii wytwórni Disneya. *Zaplątani* zajmują dwudzieste drugie miejsce na liście najbardziej dochodowych filmów animowanych na świecie.

## Hanna

– Chyba nie zachowałam się wrednie, mówiąc mu, że nie dam rady z wieczorem filmowym?  
Lizzie spogląda znacząco na siedzącego między nami na kanapie Linusa, który ze spokojem ssie kciuk.

– Zresztą i tak mógł tu przyjść – ciągnę. – Przecież oglądamy film, prawda? Opieka nad dzieckiem i kreskówki są nierozłączne jak popcorn i wata cukrowa.

– Nie mogłaś nic więcej *zrobić* – odpowiada Lizzie, ponownie znacząco zerkając na Linusa.

– To by i tak nic nie dało – mamroczę. – Nie zapominaj, że tamtego dnia na mój widok uciekł na górę. Nie wspominając o tym, że na imprezie powstrzymał mnie przed... – urywam, żałując, że w ogóle zaczęłam ten temat.

– Rzuceniem się na niego – podpowiada mi usłużnie Lizzie.

– Całują się – mówi Linus.

Patrzemy, jak na ekranie Flynn całuje się z Roszpunką.

– Możesz mi wierzyć, Linusie – odzywa się Lizzie, przyglądając się scenie z pogardliwym uśmiechem. – Animowane pocałunki nie umywają się do tych prawdziwych. – Patrzy na mnie. – A na imprezie trafiłaś pewnie na kiepski moment. Nie jesteś aż tak odpychająca.

– Dzięki – mówię ponuro.

– Sol nie jest typem faceta, który zdradza swoją dziewczynę, nawet jeśli nadarzy mu się okazja. To akurat dobrze, Han. Zaczekaj, aż z nią zerwie, a wtedy będziesz miała swoją szansę.

Opieram głowę o tył kanapy i zastanawiam się, kiedy w końcu przestanę cierpieć.

– Sol wydawał się zazdrosny o Carmen i Steviego, jakby ze sobą flirtowali czy coś – rzucam w stronę sufitu. – Chyba właśnie dlatego tak się upił. On ma na jej punkcie bzika, Lizzie.

– Tak samo jak Rasmus miał bzika na punkcie Leah. Wszystko się może zmienić. Myślisz, że Carmen wie o tym, że zdjęłaś Solowi spodnie?

Przeszywa mnie dreszcz.

– Mam nadzieję, że nie.

– Ja też. Nie byłabym zachwycona, gdyby jakaś panna ściągnęła Rasmusowi bieliznę, nie pytając mnie o zgodę.

– *Nie patrzyłam!* – bronię się.

Lizzie obejmuje ramieniem Linusa, który robi się senny, i wpatruje się czule w ekran telewizora.

– Nie uważasz, że łotrzyk Flynn jest podobny do Raza? – pyta.

– Wiesz, że w niektórych domach wrzuca się do skarbonki monetę za każdym razem, kiedy powie się brzydkie słowo? – burczę pod nosem, sięgając po garść popcornu. – Powinnaś płacić karę za wypowiedanie imienia „Raz”. Flynn w niczym nie przypomina mojego brata.

Jest za to podobny do Sola. Poza tym, że ma brązowe włosy i nie przewraca się w krzaki. Przyglądam się oczom Flynnna. Są zielone jak u Sola czy brązowe? Dochodzę do wniosku, że jednak brązowe, i bardzo ładne, kiedy się mrużą...

Tego tylko brakowało, żebym straciła głowę dla bohatera kreskówki.

– Hanno – odzywa się Lizzie. – Powinnaś albo uderzyć do Sola, albo wybić go sobie z głowy. Całe to chodzenie z głową w chmurach nie jest w twoim stylu.

– Wcale nie chodzę z głową w chmurach.

– Czyli mogłabyś spojrzeć Solowi prosto w oczy, gdyby zapukał teraz do twoich drzwi, i zachowywałabyś się zupełnie normalnie? – pyta Lizzie.

– Tak – odpowiadam stanowczo.

Lizzie wygląda przez okno i wytrzeszcza oczy ze zdumienia.

– O mój Boże – mówi. – Sol właśnie tu idzie...

Padam na podłogę i zakrywam głowę rękami.

– Zabawna jesteś, Lizzie – stwierdza Linus.

– A więc go tam nie ma? – odzywam się z dywanu.

– Wstawaj, idiotko.

Film kończy się chwilę później niż popcorn. Zabieram Linusa do wanny, gdzie bawimy się klockami Lego i budujemy podwodną siedzibę Doktora No, tylko nie tak fajną i bardziej kanciastą. Myjąc kręconą czuprynę braciszka, myślę o tym, co powiedziała Lizzie. Oczywiście ma rację: powinnam albo uderzyć do Sola, albo wybić go sobie z głowy. Zatopiona w rozmyślaniach, niosę Linusa owiniętego puszystym ręcznikiem do jego sypialni, gdzie nadeptuję klocek Lego i przeklinam tak głośno, że mój młodszy brat zaczyna mnie straszyć, że powie o tym mamie.

Linus zasypia po przeczytaniu czterech stron książki *Lego Star Wars. Kroniki mocy*. Kiedy wracam do salonu, Lizzie skacze po kanałach telewizora, więc siadam obok niej na kanapie i masuję obolałą stopę. Nie mogę przestać myśleć o przedostatniej rzeczy, na którą przypadkiem nadepnęłam; jak łatwo ustąpiła pod naciskiem mojej stopy, nie robiąc mi najmniejszej krzywdy.

– Świetnie – mówi Lizzie, prostując się, kiedy salon wypełniają dźwięki piosenki zespołu Psychedelic Furs. – I tak za rzadko puszcza ten film w telewizji.

– Oglądałam go z Solem – przypominam sobie. – W marcu albo w lutym.

– Dobry, co nie?

Rozcieram stopę. Powoli wraca mi w niej uczucie.

– Niewiele z niego pamiętam, poza głównym bohaterem. Andrew Jakimśtam.

– Uwielbiam ten film – wyznaje Lizzie. – I jednocześnie go nie cierpię.

Uważnie przyglądam się skaczącemu po ekranie gościowi w kapeluszu z wąskim wywiniętym rondem i białych butach ze spiczastymi noskami. Tamtego wieczoru Sol miał na głowie podobny kapelusz. Pochyliłam się do przodu, chłonąc obraz. Przypominam sobie.

– Nie mogę uwierzyć, że wybrała tego bogatego gnoja – odzywa się Lizzie. – Czy wiesz, że nagrali zakończenie jeszcze raz, bo widzowie nie chcieli, żeby spiknęła się z Duckiem?

– W ostatniej scenie Andrew McCarthy ma na głowie perukę – mówię. Słyszę słowa Sola tak wyraźnie, jakby siedział obok mnie na kanapie, z wielką miską lentilków. – Musieli go z powrotem ściągnąć na plan, a on zdążył już zgolić głowę do kolejnej...

– Cicho, chcę to obejrzeć.

Blane w niczym nie przypomina Dana. Za pierwszym razem praktycznie nie zwróciłam uwagi na Duckiego, ale dziś nie mogę od niego oderwać oczu. Tak jakbym oglądała zupełnie inny film. Jak to możliwe? Z każdą sceną wiążą się kolejne wspomnienia; przelatują mi one przez głowę niczym karty magika. Lentilki. Um Bongo. Lakier do włosów. Telefon. Film. Trybiki zaskakują ze złowrogim szcękaniem i kółka zaczynają się obracać.

Papierowe figurki.

– Lizzie – odzywam się.

Macha ręką, żeby mnie uciszyć. Szukam czegoś w torebce, ale palce nagle odmawiają mi posłuszeństwa. Zachowałam tamten film, prawda? Chyba bym go nie wykasowała?

– Lizzie, proszę. Spójrz na to.

Podaję jej telefon. Włączyłam już odtwarzanie. Lizzie ogląda krótki, ośmiosekundowy filmik. Dwie papierowe figurki. Samochód. Przednie światła. Nie całują się, całują, znowu się nie całują.

– Co to jest? – pyta z zaciekawieniem.

Ależ ja byłam głupia.

– Walentynka – szepczę. – Od Sola.

Kompletnie zapominam o *Dziewczynie w różowej sukience*. Głęboko nabieram powietrza.

– Właśnie to do mnie dotarło. Sol nakręcił ten film dla mnie. I mi go wysłał. Przez pół wieczoru zamęczałam Sola pytaniami o opinię na jego temat, a on próbował obejrzeć *Dziewczynę w różowej sukience*. Nie wiedziałam, że to od niego. A teraz jest już za późno, bo mnie nienawidzi i spotyka się z Carmen!

– Powoli – mówi Lizzie, kiedy rozpaczliwie usiłuję zaczerpnąć powietrza. – Skąd pewność, że to od niego?

– Papierowe figurki – zawodzę. – Nadepnęłam na jedną z nich w sypialni Sola po imprezie!  
– Nie mogę uwierzyć, że nakręcił dla ciebie coś tak doskonałego. – Nie może wyjść z oszołomienia Lizzie. – Klękajcie narody.

Zabieram jej telefon, jakby mógł się rozpaść pod jej dotykiem.

– Zapytałam Sola, czy jego zdaniem mógł mi to przysłać Dan!

– Bardzo taktownie.

Zaczynam chodzić po pokoju. Nie jest duży, więc muszę zawracać co kilka kroków. Cholera.

*Cholera.*

– Myślisz, że Sol celowo wybrał akurat ten film? – pyta Lizzie. – Że przy jego pomocy chciał ci coś przekazać?

– Wyłącz to.

Od razu spełnia moją prośbę. Przez chwilę żadna z nas się nie odzywa.

– Masz nie najlepsze wycucie czasu – stwierdza wreszcie Lizzie.

– Nie najlepsze?

– No dobra, fatalne. Ale przynajmniej możesz mieć teraz nadzieję. Nawet jeśli w tym momencie Sol nic do ciebie nie czuje, to może poczuć znowu, prawda?

– Spotyka się z *Carmen*.

– Hanno, mamy po siedemnaście lat. Sol raczej nie zostanie z nią do grobowej deski.

– Może i nie, ale co jeśli będą ze sobą za dziesięć lat, jak Beckhamowie? Co wtedy?

– Marne szanse.

– A więc ty i Raz to też tylko przelotny romans? Krótki, niewiele znaczący miziaton?

Lizzie przygryza wargę.

– DZIĘKUJĘ – mówię z gorzką satysfakcją. – A teraz, skoro już doszliśmy do wspólnych wniosków, najlepiej będzie po prostu o tym wszystkim zapomnieć. Wykasuję to.

Lizzie wyciąga do mnie rękę.

– Nie rób tego, Hanno. Ten filmik jest zbyt...

Patrzę jak to maleńkie arcydzieło obraca się w nicość. Czuję się tak, jakby ktoś obdarł mi serce ze skóry.

– Za późno – stwierdzam ponuro. – Tak jak na wszystko w moim życiu. Po prostu jest już za późno.

18 grudnia

WIELKI GATSBY (2013)

Na podstawie powieści F. Scott Fitzgeralda

Scenariusz i reżyseria: Baz Luhrmann

Wiosną 1922 roku pochodzący ze Środkowego Zachodu, naiwny Nick Carraway (Tobey Maguire) przeprowadza się do domu sąsiadującego z posesją bogatego Jaya Gatsby'ego (Leonardo DiCaprio), którego wystawne przyjęcia są owiane legendą. Tymczasem po przeciwnej stronie zatoki kuzynka Carrawaya, Daisy (Carey Mulligan), tkwi w nieudanym małżeństwie z kobieciarzem Tomem Buchananem (Joel Edgerton). Podczas gdy życie Carrawaya zaczyna się sypać, uświadamia on sobie, że Daisy i Gatsby'ego łączy skomplikowana miłosna przeszłość, która rzuca się cieniem na życie ich wszystkich.

Ta znakomita powieść F. Scotta Fitzgeralda została opublikowana w 1925 roku i nosiłaby tytuł „Pod flagą czerwono-biało-niebieską”, gdyby Fitzgerald nie zwlekał tak długo z decyzją. W 2013 roku film zdobył Oscara za najlepszą scenografię i kostiumy. Aktorka Sigourney Weaver zawdzięcza swoje imię jednej z pobocznych bohaterek tej książki.

## Sol

Nadszedł czas, aby przestać się bawić, ulepszać, cieniować, filtrować, dopasowywać i dokładać kolejne sceny. Na ekranie przede mną jest moja przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, skompilowane w osiemnastominutowy film. Niczego więcej nie mogę zrobić.

– Boże, ależ jestem głodny – mówię, wychodząc z sypialni. – Mógłbym zjeść Nigela na grzance.

– Najpierw musiałbyś go ściągnąć z łóżka dla gości – odzywa się Gareth, mijając mnie z naręczem papierów. – Pomóż Andrew, co? Siedzi tam już od kilku godzin.

Nigel leży rozciągnięty na łóżku i wygląda, jakby szybował w powietrzu. Nie przesuwają się nawet o milimetr, gdy Andrew próbuje wygładzić wokół niego kołdrę; otwiera tylko jedno oko – podobne do oka krokodyla – kiedy Andrew sięga po leżącą za jego głową poduszkę.

– Czy mama Garetha naprawdę do nas przyjedzie? – pytam.

Andrew daje sobie spokój z poduszką.

– Najwyraźniej tak.

– Nie mogę w to uwierzyć.

Andrew powoli siada na łóżku. Nigel nadal nie chce się ruszyć.

– Jest Boże Narodzenie, Sol – mówi. Wygląda, jakby miał wszystkiego dosyć. – Ebenezer Scrooge też nie wierzył, że ktoś go odwiedzi. Jak ci idzie praca nad filmem?

– Właśnie skończyłem.

– Potrzebujesz jeszcze jakichś krytycznych uwag?

Coraz lepiej radzę sobie z pokazywaniem rezultatów swojej pracy innym. Rodzicom podobało się właściwie wszystko, co im do tej pory pokazałem, czyli całkiem sporo.

– Pewnie tak. Ale dzisiaj wolałbym obejrzeć cudze arcydzieło i poczuć się przy nim taaaki malutki. Może mógłbym wam pokazać swój film jutro?

– Jasne. Wieczorem zamierzamy sobie włączyć *Wielkiego Gatsby'ego*. Obejrzyj z nami, jeśli nie jesteś zbyt zajęty.

Pijemy w kuchni herbatę, moi rodzice i ja; jest nam ze sobą dobrze i wygodnie, niczym w starej piźarni. Zbieram się nawet na odwagę, żeby wspomnieć o Carmen, czy raczej jej braku.

– Szkoda – kwituje moje słowa Gareth. – Lubiliśmy ją.

– Nigdy jej nie poznaliśmy – zauważa Andrew.

– Ale podobało nam się to, co o niej opowiadałeś – precyzuje Gareth.

– A mnie się wydawała trochę nudna – przyznaje Andrew.

– Nie była nudna – protestuję. – Tylko miła.

Moi rodzice robią prawie jednakowe miny.

– Lepiej jej będzie ze Steviem – stwierdzam.

Ostrzegłem go przed kolacjami u jej rodziców i randkami w kawiarni, ale chyba nie ma nic przeciwko temu. Wydawał się wręcz podekscytowany. W zeszłym tygodniu grał w golfa z RoboCopem.

– Dobrze zrobiłeś – odzywa się Gareth. – Życie jest zbyt krótkie, żeby spędzać je z niewłaściwymi ludźmi.

– A skoro o tym mowa – wtrąca Andrew – to kiedy dokładnie przyjeżdża twoja matka?

Gareth markotnieje, a ja krztuszę się zupą.

– Och, nie rób takiej miny, Gareth, tylko się z tobą droczę. To jasne, że nie może spędzić świąt sama, nie po tym wszystkim, co się wydarzyło. Po prostu będzie musiała jakoś znieść obecność Nigela. Nie oddamy go do hotelu dla zwierząt.

– I tak by go nie przyjęli – zauważam.

Gareth rozpała w kominku, siadamy we trzech na kanapie z wielkimi kubkami gorącej czekolady, niczym trzech harcerzy, i oglądamy *Wielkiego Gatsby'ego*. Co jakiś czas zerkam na migoczącą światłkami choinkę stojącą przy oknie obok fotela i wyobrażam sobie swoją babcię patrzącą na nią w bożonarodzeniowy poranek.

– Myślicie, że tam usiądzie? – pytam.

– Raczej nie przycupnie na dywanie – odpowiada Andrew. – Widzicie tę scenografię? Absolutnie zjawiskowa.

– Daisy Buchanan przypomina Hannę – mówię, koncentrując się z powrotem na filmie. – Tylko że Hanna ma niebieskie oczy i dłuższe włosy.

– I nie jest taką wredną suką – dodaje Andrew. – Wybaczcie mi dosadność.

– Kiedy wreszcie ją zaprosisz? – odzywa się Gareth.

Czuję się tak, jakbym słyszał to pytanie przez całe życie.

– Nigdy – odpowiadam cierpliwie.

– Ale pokażesz Hannie swój film? – pyta Andrew. – Tak byłoby uczciwie, skoro jest w całości poświęcony jej.

Świat wokół mnie się zatrzymuje. I ja też zastygam.

– Nie mów, że nie zauważyłeś – zwraca się Andrew do Garetha.

– Tego nie powiedziałem.

– Mój film wcale nie jest o niej – protestuję. – Tylko o koleśku, któremu podoba się dziewczyna, która nie odwzajemnia jego uczuć. Nie jest o mnie i o Hannie. Nie jest ani o mnie, ani o niej. W ogóle nie dotyczy Hanny.

Moji rodzice nic nie mówią.

– Czy to aż takie oczywiste? – pytam wreszcie.

– My po prostu znamy ciebie i Hannę, więc... – tłumaczy Gareth.

– Więc dla nas to jest *uderzająco* oczywiste – kończy Andrew. – I zarazem przeurocze. Hanna musiałaby być szalona, żeby jej się nie spodobał.

Bezwiednie zrywam się z kanapy.

– Nie pokażę jej tego filmu – oświadczam.

– Do niczego cię nie zmuszamy – próbuje załagodzić sytuację Gareth.

– Dziękuję bardzo – mówię, ponownie siadając. – To by było coś okropnego i nie zamierzam tego zrobić, więc dobrze, że to sobie wyjaśniliśmy.

– Ale niepokazanie filmu Hannie będzie jak urządzenie tych wspaniałych przyjęć dla Daisy przez Gatsby'ego – stwierdza Andrew, wyraźnie rozczarowany. – Włożyłeś w ten film tyle wysiłku, a ona go nawet nie zobaczy?

– Nie nakręciłem tego filmu dla niej, tylko żeby się dostać na studia. Komisja rekrutacyjna obejrzy go i przy odrobinie szczęścia zaproponuje mi miejsce na uniwerku, i tylko to się liczy.

– Ale...

– Daj spokój, Andrew – odzywa się Gareth głosem, który słyszałem u niego tylko raz, wtedy gdy Nigel przyniósł do kuchni zaskrońca.

Gdy dochodzimy do sceny, w której Gatsby leży twarzą do dołu w swoim basenie, atmosfera właściwie jest już oczyszczona. Nigel zakrada się do pokoju, kiedy na ekranie pojawiają się napisy końcowe, wskakuje na pusty fotel i zaczyna go drzeć pazurami.

– Wyobraź sobie, co by było, gdyby zrobił to samo z kolanami twojej matki – odzywa się Andrew.

Gareth w milczeniu zbiera puste kubki po gorącej czekoladzie.

– To by ją mogło odrobinę rozmiękczyć – ciągnie Andrew. – Jeśli ktoś tu potrzebuje rozmiękczenia, to właśnie ona. Gdybym miał pazury Nigela, z całą pewnością...

– PRZESTANIESZ wreszcie?

Andrew wygląda na szokowanego i w jednej sekundzie milknie.

– Cieszę się na tę Gwiazdkę jeszcze mniej niż ty, i mam ku temu cholernie dobry powód – syczy Gareth. – Ale próbuję robić dobrą minę do złej gry. Bo niby co mam do stracenia? Matkę, która i tak mnie nie lubi? A co mogę zyskać? Może jakąś relację. Czasami warto w coś włożyć odrobinę wysiłku, wiesz? Mógłbyś się trochę postarać? Andrew? Dla mnie? Dla naszej rodziny? Stać cię na to?

– No naprawdę – odzywa się lekko wytrącony z równowagi Andrew, kiedy Gareth wybiega



z pokoju jak burza, z pustymi kubkami po gorącej czekoladzie. – Ten facet uwielbia dramatyzować.

\* \* \*

## WIECZÓR FILMOWY (2017)

Scenariusz i reżyseria: Sol Adams

W tym krótkim filmie Sol Adams po raz pierwszy publicznie prezentuje swoją technikę, łączącą w sobie sztukę składania papieru i animacji poklatkowej. Historię dwóch papierowych tancerzy pokazaną w bezlitosnym świetle i nakręconą bez pomocy efektów specjalnych (co powoli staje się znakiem rozpoznawczym tego coraz popularniejszego reżysera) wzbogacono „mistrzowską animacją”, jak określili ją krytycy.

31 grudnia

Hanna

– Co my tu robimy? – pytam nieufnie, wpatrując się w wielką rozświetloną bramę prowadzącą do domu Dana.

– Czy to pytanie filozoficzne? Czy raczej geograficzne?

Lizzie wygląda dziś zabójczo, ubrana w długą fioletową sukienkę obszytą frędzlami, które zwykle widuje się przy babcinych abażurach. Wyróżnia się jak paw na tle pozostałych dziewczyn szturmujących frontowe drzwi Dana w jednakowych obcisłych sukienkach usianych plamami z samoopalacza. Raz ma na sobie koszulkę z Lordem Byronem, parę niesamowicie obcisłych spodni w stylu gwiazdy rocka i trzyma Lizzie za rękę.

– Mówiłaś, że idziemy do ciebie – syczę. – Słowem nie wspomniałaś o tej imprezie.

– Musiało mi to wylecieć z głowy – rzuca lekko Lizzie. – No chodź, Hanno. Na pewno będzie zabawniej niż w zeszłym roku. Znowu jesteśmy razem i będziemy się trzymały z daleka od Dana. Będziemy tańczyć, pić i powitamy Nowy Rok w naszym niepowtarzalnym stylu.

– Stylu? – powtarzam. – Mam na sobie dzinsy ze Snoopym.

– I wyglądasz w nich ślicznie. O wiele seksowniej niż reszta dziewczyn.

Uwielbiam swoje dzinsy. Na jednym kolanie mają wyhaftowanego Snoopy'ego, a na tylnej kieszeni Woodstock, i mam je od wieków. Ze zrozumiałych powodów nie zakładam ich jednak publicznie. Gdybym miała na sobie szpilki, wbiłabym je w ziemię niczym śledzie od namiotu i nikomu nie pozwoliła się stamtąd ruszyć. Ale w converse'ach to nie przejdzie. Obciążam nerwowo swój stary biały T-shirt. Przynajmniej jest czysty.

– Nie mogę tam wejść.

– Możesz i wejdiesz. Ostatnio zapomniałaś, co to znaczy dobrze się bawić, Hanno, a ja, jako twoja przyjaciółka, czuję się w obowiązku ci o tym przypomnieć.

– Tylko że ty przyszedłaś tu z kimś – jęczę. – I na dodatek wyglądasz fantastycznie.

– A jesteś z nami i też wyglądasz fantastycznie. Problem rozwiązany. Rasmus i ja nie zostawimy cię samej z Danem, jeśli to tym się przejmujesz.

Muszę trzymać się z Lizzie i Razem albo popłynąć z tłumem. Myślę o filmie, który ponoć czekał na nas u Lizzie. Myślę o paczce popcornu w swojej torebce oraz maskach Brada Pitta i Angeliny Jolie, które spakowałam dla żartu. Nie tak sobie wyobrażałam pożegnanie starego roku. Ponuro obracam w palcach księżyc zrobiony z piłeczki ping-pongowej, który od jakiegoś czasu noszę w kieszeni jak amulet na szczęście.

– Pamiętasz jeszcze, jak się tańczy, Han? – pyta Lizzie, wciągając mnie do korytarza. Bierze drinka z trzymanej przez kelnera tacy i wciska mi go w dłoń. – Kiedyś to lubiłaś.

– Nie jestem odpowiednio ubrana!

– Masz na sobie ubranie. To najważniejsze.

– Ale...

– Nie przynudzaj. Jest sylwester. Oooch, uwielbiam tę piosenkę. Zatańczmy.

Gdybym miała na sobie wyłącznie czapkę z pomponem, nie czułabym się bardziej idiotycznie niż teraz. Policzki mi płoną, kiedy Lizzie ciągnie mnie do wielkiego przeszklonego salonu, który tak boleśnie dobrze pamiętam. I pomyśleć, że tyle się może zmienić w ciągu zaledwie jednego roku.

– Świetne te spodnie ze Snoopym, skarbie. – Rozbawiona Vashti mija nas tanecznym krokiem, obejmując ramionami Laurę i Jake'a.

Lizzie płąsa wokół mnie; frędzle jej sukienki wirują w powietrzu, włosy zresztą też. Dołącza do nas Raz, podskakując niczym rozkochany w poezji epoki wiktoriańskiej kangur. Mam ochotę się stąd urwać, ale nie mogę, bo wtedy wyszłoby na to, że przegrałam w jakimś bliżej nieokreślonym konkursie. Istnieją na świecie takie kultury, w których ludzie tańczą na pogrzebach, pogrążeni w dziwnej kombinacji rozpacz i wysiłku fizycznego. Próbuje ich naśladować. Lepsze to niż nic.

– Postaraj się bardziej, Han! – krzyczy Lizzie. – O właśnie!

Taniec nie pomaga. Tęsknota za Solem przenika mnie do szpiku kości. Przebywanie na imprezie bez niego jest jak gra w tenisa bez łokcia albo jazda na rolkach z wypadniętą rzepką. Nie mogę się rozplakać i ubrudzić mu ramienia spływającym tuszem do rzęs. Nie mogę go przytulić, poczuć jego drzewnego zapachu ani go rozśmieszyć. Nie mogę poczuć pod palcami, jak poruszają się mięśnie jego klatki piersiowej. Brak tego wszystkiego okazuje się tak dojmujący, że muszę przestać tańczyć i po prostu stoję pośrodku salonu, pozwalając, by fale bólu przepływały przez moje ciało. Po rozstaniu z Danem nie przeżywałam nic podobnego, chociaż byłam wściekła i wylałam morze łez. To, co czuję teraz, sięga znacznie głębiej, jak rysa w skale.

Wychodzę z zatłoczonego pokoju na drewniany taras. Jest zimno, a niebo zasnuwają chmury. Zastanawiam się, czy tej nocy też zacznie padać śnieg, tak jak w zeszłym roku, kiedy Sol stał na przystanku autobusowym, ze świetlną aureolą wokół głowy, i oboje patrzyliśmy na spadające z nieba płatki.

W ogrodzie, wokół fontanny z głową lwa, chłopcy grają w piłkę. Stevie wyrzuca ręce nad głowę, kiedy piłka uderza w jego nos, ku uciesze reszty.

– Cześć, Hanno – mówi Carmen, zachodząc mnie od tyłu. Ma na sobie zabójczą fioletową sukienkę, która wygląda jak namalowana na jej zgrabnym ciele. – Wszyscy gadają o twoich dzinsach. Skąd je wytrzasnęłaś?

– Z samego dna szafy – odpowiadam.

Carmen się śmieje.

– Tak właśnie powiem, jeśli ktoś mnie zapyta.

– Powinni sobie znaleźć ciekawsze tematy do rozmowy.

– Och, myślę, że uważają cię za bardzo interesującą. Zresztą ja też. Nie próbujesz się nikomu przypodobać.

Trudno się oprzeć serdecznemu uśmiechowi Carmen; czuję się mile polectana jej słowami.

– Lizzie jest w tym zdecydowanie lepsza niż ja. – Wskazuję na Snoopy'ego. – Te dzinsy to bardziej kwestia przypadku niż przejaw buntu.

Sol nie pozwoliłby Carmen przyjść samej na imprezę u Dana, więc musi być gdzieś w pobliżu. Zwilżam usta i modlę się o to, żeby nie pojawił się na balkonie.

– Dziękuję, że pomogłaś mi wtedy w lecie – mówi Carmen.

Dobra robota, Hanno, myślę sobie. Dzięki tobie Carmen i chłopak, za którym szalejesz, nigdy się ze sobą nie rozstaną.

– GOOOOOL!!! – Dobiega nas z mroku okrzyk Stewiego.

– Oczywiście byłam zła, kiedy ze mną zerwał, ale później wszystko zrozumiałam – kontynuuje Carmen.

Chyba zgubiłam wątek. Marszczę brwi, usiłując zrozumieć, o czym ona mówi.

Carmen bacznie mi się przygląda.

– Odpowiedź jest bardzo prosta. Żeby przejść na drugą stronę rzeki, potrzeba odpowiedniego mostu.

Przez głowę przelatuje mi miszmasz filmowych mostów. Godzilla miażdżąca most Golden Gate, zwisająca lina, a na niej pałający żądzą zemsty thugowie<sup>16</sup>, kilka złamanych desek na moście w Kolumbii i Kathleen Turner, *Most do Terabithii*. Czy Carmen właśnie powiedziała, że ona i Sol...

– A ja nie byłam odpowiednim mostem – kończy.

– Odpowiednim mostem – powtarzam, wpatrując się w niebo.

Kiedy opuszczam wzrok, Carmen już nie ma. Patrzę na ogród, postacie biegnące za piłką, która miga od czasu do czasu w blasku zewnętrznych świateł. Pięć minut później mijam dom, garaż z wystawionymi na pokaz pojazdami (tym razem land rover evoque jest niebieski) i podjazd. Wyjmuję telefon, sprawdzam, czy nikt do mnie nie dzwonił, chowam go z powrotem, wyjmuję jeszcze raz i wysyłam Lizzie SMS:

Musiałam wyjść, szczęśliwego Nowego Roku xxxxx

Nogi same mnie niosą przez Imperial Avenue. Idę na stację. Kiedy wspinam się po schodach na kładkę, akurat wjeżdża pociąg, więc stoję i patrzę, oddycham i myślę, obracając w palcach księżyc z piłeczki ping-pongowej. A później schodzę na dół i ruszam przed siebie.

## Sol

Skoro działało na imprezie, to teraz też powinno, ale i tak w kółko sprawdzam, czy wszystko gra. Duży ekran Andrew wydyma się na wietrze, postacie marszczą się niczym odbicia na wodzie. We mnie też się coś przelewa. Nie zastanawiam się nad tym zbyt, z obawy przed tym, że mógłbym wyciągnąć wtyczkę z prądu, uciec na górę i schować się w szafce za pudełkiem z papierowymi figurkami. Ale niektóre rzeczy wymagają odrobiny wysiłku, jak powiedział niedawno Gareth.

Oczywiście nie ma gwarancji, że do mnie przyjdzie. Nie rozmawialiśmy ze sobą od tygodni. Mogła wyjechać z kraju, żeby spędzić Nowy Rok na szwedzkiej plaży. Zawsze to jakiś cień nadziei.

W ogrodzie nadal wiszą bożonarodzeniowe światełka. Kołyszą się na wietrze, delikatnie o siebie postukując. Lepiej, żeby nie padało.

Wyjmuję telefon.

Jesteś w Szwecji?

Nie

Czyli jednak nie siedzi na szwedzkiej plaży.

Na imprezie u Dana?

Już nie

Ani też nie tańczy w ramionach innego faceta. Oczywiście pod warunkiem, że nie wyszła z imprezy z tym wymyślanym innym facetem, tak jak ze mną rok temu, tylko że z całowaniem.

Zmuszam się do wykonania kolejnego kroku.

Było aż tak źle?

Gdzie jesteś?

W stanie bezmyślnego zawieszenia między przerażeniem i nadzieją. Nie mogę jej tego napisać, więc wklepuję drugą najbliższą prawdy rzecz. Wiadomość odpływa w nicość na niewidzialnych czarnych skrzydłach, informując ją o wszystkim, co powinna wiedzieć.

Czekam na Ciebie

## Hanna

W drugiej klasie mieliśmy nauczyciela, który kazał nam usiąść w porządku alfabetycznym i przedstawić się swojemu sąsiadowi.

– Jestem Hanna – zwróciłam się do Sola.

– A powinnaś być Louise – odparł Sol.

Louise Bedlington i ja zamieniłyśmy się miejscami. Louise tak mocno skopała mi piszczele, że przez wiele dni miałam je nakrapiane jak u dalmatyńczyka. Zapytałam nauczyciela, czy w następnym tygodniu też mogę siedzieć obok Sola.

Gdyby to był film, od początku siedziałabym obok Sola. W prawdziwym życiu oberwałam po nogach i odnalazłam swojego najlepszego przyjaciela, idąc okrężną drogą. Pewnie płynie z tego jakaś nauka, ale ponieważ mowa o prawdziwym życiu, a nie filmowym scenariuszu, nie jest ona tak do końca jasna.

Nie powinno się podejmować tego rodzaju ryzyka, będąc ubraną w dżinsy ze Snoopym i ze spływającym po plecach potem. Jeśli już, to tylko w porządnym makijażu i zabójczej sukience. Mimo to idę przed siebie, stawiając jedną stopę w ubłoconym conversie za drugą, i nie mam czasu nawet na to, żeby się pomalować. Po godzinach łażenia – a przynajmniej tak mi się wydaje, że tyle już to trwa – nie mam jednak wyboru.

Gdyby Sol był mną zainteresowany, chyba by zadzwonił? To, że zerwał z Carmen, wcale nie znaczy, że jestem następną w kolejce. Przypominam go sobie stojącego w śniegu rok temu, a później krótki filmik z idealnymi papierowymi figurkami; myślę też o tym, co powiedział mi wtedy na stacji, z twarzą przyciśniętą do mojej szyi, i przyspieszam kroku. Jak już wcześniej mówiłam, nie wolno tracić nadziei. A nadzieja musi być przecież coś warta.

Gdy docieram do końca ulicy, siadam na murku i przyciskam dłonie do brzucha. Może byłoby lepiej dla wszystkich, gdybym po prostu wróciła do domu, włączyła *Pana i Panią Smith*, tak jak planowałyśmy z Lizzie, założyła maskę Brada Pitta i wypłakała się w popcorn. Sęk w tym, że bliżej mam do domu Sola.

Wstaję. Ruszam dalej. Obracam gorączkowo księżyc z piłeczki ping-pongowej. Przez chwilę opieram się o drzewo. Reżyser filmu wykrzykuje teksty w rodzaju „Kim jest ta idiotka? Zabierzcie ją z mojego planu!” i właśnie w tym momencie wyrzuca swojego producenta na zbity pysk.

*Pip.*

Jesteś w Szwecji?

Dlaczego miałabym być w Szwecji? O tej porze roku nigdy tam nie jeżdżę. Nie mam teraz ochoty odpowiadać na pytania dotyczące Szwecji, choćby nawet zadawał je Sol.

Nie

Ruszam przed siebie, jeszcze bardziej zdeterminowana, żeby jak najszybciej dotrzeć na miejsce.

Na imprezie u Dana?

Już nie

Było aż tak źle?

To zależy od tego, co się zaraz stanie.

Gdzie jesteś?

Spoglądam w górę i widzę sączące się przez zasłony światło. Serce podskakuje mi do gardła i jednocześnie kładzie się kamieniem na żołądku, co jest tak dziwnym uczuciem, że zaczynam się zastanawiać, czy nie mam przypadkiem dwóch serc poruszających się w przeciwnych kierunkach, jak windy w hotelu. Wsuwam telefon do kieszeni i przyspieszam kroku. Nie mogę się doczekać, żeby dotrzeć do drzwi Sola.

Pokonuję ścieżkę biegiem i z całych sił naciskam dzwonek.

Otwiera mi drzwi.

Gdyby to był film, dokładnie w tym momencie nastąpiłoby oberwanie chmury, któreś z nas wygłosiłoby kwestię Andie McDowell z *Czterech wesel i pogrzebu* („Pada? Nie zauważyłam”), padlibyśmy sobie w ramiona, na zmianę śmiejąc się i płacząc. Na tę chwilę czekałam całe życie; idealna scena finałowa, wprost stworzona do tego, by odtwarzać ją w pamięci setki razy.

Spoglądam w śliczne, błyszczące, przestraszone zielone oczy Sola.

– Przepraszam, ale *naprawdę* muszę skorzystać z twojej toalety – mówię.

## Sol

– Chodzi o to – kontynuuje Hanna, mijając mnie – że nie byłam w łazience, odkąd Lizzie mnie do siebie zaprosiła, ale w końcu wylądowałyśmy na imprezie u Dana, gdzie tańczyłam przez jakąś godzinę, a później wyszłam i szłam tu, no cóż, całe wieki, tak więc muszę pilnie zrobić siusiu. Sorry. Dzięki. Wracam za minutkę.

W ciszy, która następuje po tym, jak Hanna znika za drzwiami toalety na dole, dociera do mnie, że muszę się schować. Otwieram szafkę, tę dużą, w której trzymamy odkurzacz i deskę do prasowania, pakuję się do środka i zamykam drzwi. Wszystko będzie dobrze, myślę nielogicznie, jak to w chwilach ekstremalnego stresu. Po wyjściu z toalety Hanna nie będzie mnie mogła znaleźć, więc sobie pójdzie, a rano będziemy mogli udawać, że nic się nie stało.

Tylko że po trzydziestu sekundach spędzonych w mojej samotni dociera do mnie dobiegający z ogrodu gwizd pociągu. Film zaczął się odtwarzać po raz kolejny. Zapomniałem go wyłączyć, kiedy szedłem otworzyć drzwi.

Dłonie zaczynają mi się pocić. Hanna jest w toalecie od jakichś czterdziestu sekund, co oznacza, że w każdej chwili może z niej wyjść. Jeśli opuszczę swoją kryjówkę w tym samym momencie, w którym ona wyjdzie z toalety, będę się musiał gęsto tłumaczyć. Jeśli zostanę tu, gdzie jestem, Hanna wyjdzie z toalety i oczywiście podąży za dźwiękiem.

Nigel mruczy gdzieś w ciemności obok moich stóp i słyszę dźwięk otwierania drzwi od toalety.

– Sol?

Najważniejsze to zachować spokój. Nie muszę siedzieć w tej szafce do końca świata. Wystarczy zaczekać, aż Hanna opuści korytarz. Mógłbym powiedzieć, że poszedłem po coś na górę, ale nic przy sobie nie mam, więc od razu się zorientuje, że kłamię. Łapię za zmiotkę i szufelkę wiszące na zakurzonym gwoździu wbitym w drzwi szafki. Teraz już coś mam. Świetnie.

– Jesteś w swoim pokoju?

Drzwi wejściowe znajdują się na lewo od szafki. Nadstawiam uszu, wyczekując dźwięku świadczącego o tym, że poszła w tamtą stronę. Nigel z rozmysłem postukuje mnie w stopę.

– Mogę wejść na górę?

Nachyliam się w stronę drzwi szafki, słysząc delikatny stukot jej kroków na schodach. Mogę teraz wyjść i dyskretnie wyłączyć film. Kładę rękę na drzwiach, ale szybko ją cofam, kiedy słyszę, jak Hanna znowu schodzi na dół.

W tym momencie Nigel gryzie mnie w kostkę. Dosłownie zanurza w niej zęby. Ja z kolei wbijam zęby w miękką część deski do prasowania, kiedy zaślepia mnie ból. Nadal trzymam w ręku zmiotkę i szufelkę. Profesjonalny w każdym calu, mam nadzieję, że Hanna nie otworzy drzwi szafki.

Jest teraz w korytarzu. Wyczuwam jej wahanie; zastanawia się, co jest grane. Prawie oddycham z ulgą, kiedy przechodzi przez kuchnię i wychodzi do ogrodu. A później ogarnia mnie przecucie nadciągającej katastrofy.

Nadszedł ten moment. Nie ma już odwrotu.



## Hanna

Na ekranie na końcu ogrodu dwie papierowe figurki kręcą się w centrum świata, który wydaje się całkiem zwyczajny, pełen rozbielonego światła i drżących chodników. Tańczą do muzyki, której nikt poza nimi nie może usłyszeć, jeśli nie liczyć dźwięku zamykających się drzwi pociągu oraz pisku i zawodzenia hamulców pneumatycznych. Obracają się niczym liście na wietrze.

Tło zmienia się i wiruje jak koło ruletki, chociaż hałas pociągów pozostaje niezmienny. Pojawia się papierowy tygrys w jakichś szuwarach, bójka nad kanałem w Wenecji. Tygrys zostaje przebity włócznią przez rycerza na papierowym koniu. Papierowy samochód, światła, całujące się figurki – ten fragment znam. A tancerze nie przestają tańczyć.

Nagle zaczyna padać ulewny deszcz. Figurki tancerzy miękną i uginają się pod ciężarem wody, tracą kształt, chwieją się i osuwają na ziemię. Ekran zasłaniają opary wody lub dymu, a kiedy mgła się rozwiewa, widzimy już tylko jednego tancerza, skurzonego, przemoczonego i leżącego samotnie na ziemi. Przechodnie mijają go i po nim deptają (nie pytajcie skąd wiem, że to on), aż staje się coraz mniejszy i wreszcie trudno w nim rozpoznać jakąkolwiek postać.

Sol siada obok mnie, kiedy obraz rozmywa się i znika. Wdycham jego zapach.

– Nie możesz skończyć filmu w ten sposób – mówię.

– Uważasz, że jest okropny?

Kręcę głową. Potrząsam nią i nie mogę przestać.

– Nikt nie mógłby tak pomyśleć. Jest piękny. Po prostu jest też bardzo smutny. Co się stało z tancerką?

– Chyba nie chciała z nim dłużej tańczyć.

Ocieram mokre policzki.

– Może to nie takie proste. Może deszcz napuszył jej włosy i dlatego uciekła do środka.

Sol wygląda na rozbawionego.

– Pozwoliła, żeby umarł w deszczu z powodu włosów?

– Przez piętnaście minut tańczyła wśród tygrysów, rycerzy i rozpedzonych samochodów – zauważam. – W tych okolicznościach schowanie się przed deszczem jest najrozsądniejszym rozwiązaniem. Deszcz to prawdziwy koszmar, jeśli poświęciłeś trzy godziny na prostowanie włosów. Chłopcy nie mają o tym bladego pojęcia. Mówię serio. Kiedyś Lizzie usiłowała wyprostować włosy tuż przed tym, jak...

Sol kładzie mi palec na ustach. Moje serce nagle przestaje się mieścić w klatce piersiowej.

– Nakręciłem go dla ciebie – mówię. – No cóż, właściwie to nakręciłem go po to, żeby dostać się na uniwersytet w Sheffield, ale myślałem o tobie przez cały czas, kiedy nad nim pracowałem. Nie zamierzałem ci go pokazywać, ponieważ za bardzo się bałem, że zrobię z siebie idiotę, ale któregoś dnia Gareth powiedział coś, co uzmysłowiło mi, jakie to czasami ważne, żeby podjąć ryzyko.

Moje wargi drżą pod jego palcem. Czuję się tak, jakby ktoś nagle podłączył mnie do prądu.

– Wiem, że w tym przypadku ryzyko jest ogromne, a moja sytuacja może się okazać beznadziejna, ale muszę je podjąć, bo nie zniosę dłużej tej niewiedzy. Czy uważasz, że mogłabyś mnie kiedyś polubić bardziej niż jako swojego przyjaciela?

Usiłuję mu posłać spojrzenie świadczące o tym, że już tak jest. Uwielbiam cię. Kompletnie straciłam dla ciebie głowę.

– Czuję się fantastycznie, będąc twoim przyjacielem, Han. Uwielbiałem tę naszą bliskość i cały ten czas, który razem spędziliśmy, zanim się między nami popsulo, i chciałbym do tego wrócić, tylko że na innych zasadach. Nie, kogo ja próbuję oszukać, od samego początku chciałem czegoś więcej. No, może nie wtedy, gdy mieliśmy po sześć lat, ale odkąd wróciłem ze Stanów i zobaczyłem cię umazaną jogurtem; byłaś taka piękna, że twoja uroda mnie poraziła.

Odsuwa palec.

– Poraziła mnie – powtarza cicho. – Zresztą nie tylko twoja uroda, chociaż jesteś niewyobraźalnie

piękna, szczególnie w tych dzinsach, lecz także to, jaka jesteś miła i zabawna, i że tak dużo gadasz, i potrafisz mnie wyciągnąć z tej mojej skorupy. Tamtego dnia, w którym Nigel nieomal wysłał moją babcię na tamten świat, wyznałem ci miłość nie dlatego, że byłem w szoku. Powiedziałem, że cię kocham, bo nie mogłem tego w sobie dusić ani chwili dłużej.

# Sol

Nikt nie ostrzega nas przed tym, że kiedy już *zaczniemy* mówić, w którymś momencie będziemy musieli *przestać*. Nikomu nie przychodzi do głowy, żeby o tym wspomnieć.

– Wiele razy zachowałem się jak idiota – mówię dalej, kiedy wydaje mi się, że Hanna jest niepokojąco bliska przerwania mojego monologu. – Kiedy pozwoliłem ci myśleć, że już kiedyś spotykałem się z Carmen, to nie była prawda. Po prostu chciałem się lepiej wczuć w całą tę sytuację z bytymi, żebyś poczuła się lepiej albo żeby ci zaimponować, sam już nie wiem.

– Sol...

– Zaczekaj. Już sobie przypominałem: zrobiłem to dlatego, że nie chciałem dopuścić do twojej rozmowy z Danem. Kiedy pomyślałaś, że Carmen jest moją byłą dziewczyną – tak na marginesie, nie mam żadnej byłej dziewczyny, a przynajmniej nie w tym kraju, była taka jedna Lucy Shapiro, ale ona mieszka w Kalifornii i nigdy nie łączyło nas nic poza obmacywaniem – problem się rozwiązał. Wiem, że postąpiłem jak idiota, nie mówiąc ci o tym, że naprawdę zacząłem się z nią spotykać, ale nie wiedziałem, jak wybrnąć z tamtego wcześniejszego kłamstwa.

Wstaję. Bez szczególnego powodu, ot tak.

– To, że nie powiedziałem ci o swoich filmach, ani o swojej babci, też było głupie, ale nigdy nie potrafiłem rozmawiać o wszystkim tak jak ty. Tak na marginesie, babcia spędziła święta u nas. To nie była kompletna katastrofa, Nigel nie dokończył dzieła, na pożegnanie uściśniła mi dłoń, a później dostaliśmy od niej pocztą kartkę z życzeniami i podziękowaniami; zdaniem Garetha to może być początek jakiejś relacji. A wiesz gdzie byłem, kiedy wyszłaś z toalety i mnie szukałaś? Ukrywałem się w szafce.

Pewnie powinienem był się ugryźć w język po słowie „relacja”. Zdecydowanie tak byłoby lepiej.

Deszcz postanawia w tym momencie zacząć padać. Nie takie oberwanie chmury jak na moim filmie, tylko mżawka, która nieprzyjemnie sływa po karku, ale nie jest na tyle dokuczliwa, żeby chciało się przed nią uciekać. Figurki na ekranie wirują w tańcu, beztrudnie nieświadome tego, co zaraz nastąpi.

Czuję, jak Hanna wsuwa swoje palce w moje. Ściskam je mocno i czekam, i mam nadzieję.

– W tym roku dostaliśmy z Razem kartkę świąteczną od naszego taty. Z życzeniami. To też może się okazać początkiem jakiejś relacji lub po prostu tym, czym jest.

– Świąteczną kartką.

– Właśnie.

Patrzemy na siebie.

– Mam coś dla ciebie – odzywa się nagle Hanna. – Nie planowałam tego wcześniej, ale skoro już tu jesteśmy, chyba powinnam ci to dać. Właściwie zawsze była twoja.

Patrzę na piłeczkę w jej wyciągniętej dłoni, biorę ją i wpatruję się w drżące Morze Spokoju narysowane z jednej strony rozmazany tuszem. Hanna Bergdahl właśnie oddała mi księżyc. Nasz księżyc.

– Nie mam pojęcia, jak mogłam pomyśleć, że ten piękny film był od Dana – mówi. – On nawet nie potrafiłby złożyć porządnego samolotu. Wiesz, że jest teraz z Trixie?

Chowam księżyc do kieszeni, puszczam palce Hanny, unoszę dłonie, wsuwam je w jej włosy i kładę na chłodnym, wilgotnym miejscu na jej szyi; czuję pod palcami kosteczki u podstawy jej czaszki i miejsce, w którym pulsuje jej krew.

– Wydawało mi się, że będzie potrzebowała więcej czasu, żeby przeboleć rozstanie ze Steviem, bo po tym, jak ją rzucił, była zrozpaczona – mówi dalej Hanna, oplatając ręce wokół mojego pasa i wsuwając mi dłonie pod koszulkę; od dotyku jej palców przesuwających się po mięśniach na moich plecach i wzdłuż boków przeszywa mnie dreszcz – ale już po kilku tygodniach zgrywała przed Danem niedostępną, pewnie dlatego, że u mnie zadziałało, chociaż w ogóle tego nie chciałam. Jeszcze przed świętami obściskiwali się na korytarzu. Pewnie będą ze sobą do połowy stycznia.

Przesuwam kciuki z powrotem na linię jej szczęki i przez sekundę czy dwie zachwycam się

idealną symetrią jej twarzy, oczami żarzącymi się jak palnik Bunsena i dołeczkami w policzkach po obu stronach jej pięknych, rozchylonych ust. Jestem zachwycony również tym, że za moment ją pocałuję, a ona odwzajemni mój pocałunek.

– Hanno – pytam. – Po kiego diabła rozmawiamy teraz o Trixie?

## Hanna

Nie mam pojęcia, dlaczego potrzebowałam aż tyle czasu, żeby Sol mi się spodobał. Jest absolutnie doskonały. Rysy jego twarzy, wysokość i szerokość jego ciała, grubość włosów, błysk w oku, piękno jego duszy. Niechętnie odsuwam ręce od ciepłej skóry na plecach Sola i kładę je na jego twarzy, gdy nachyla się w moją stronę; czuję pod palcami zarys jego kości policzkowych.

– Zaczekaj – mówię, pragnąc rozpaczliwie, żeby ten moment trwał jak najdłużej. Chcę się nacieszyć chwilą oczekiwania na coś, o czym tak długo marzyłam.

– Naprawdę? – szepcze z ustami tuż przy moich ustach.

Nie.

Właściwie to nie.

Przed domem Sola – sylwester – północ

Ukryty w krzakach NIGIEL patrzy, jak HANNA i SOL się całują. Po taktownym odczekaniu pięciu minut, po których nadal nie zapowiada się na to, żeby mieli przestać, wychodzi z krzaków, leciutko ociera się ogonem o ich nogi, i już go nie ma.

OBRAZ CIEMNIEJE

KONIEC

<sup>1</sup> Właściwie *Bedknobs and Broomsticks* – film Disneya z 1971 roku na podstawie książki Mary Norton *Galka od łóżka*. Profesor nosił nazwisko Browne (przyp. red.).

<sup>2</sup> Szczęśliwego Nowego Roku (szw.) (przyp. red.).

<sup>3</sup> Johnny Mercer (autor słów) jest laureatem Oscara za najlepszą piosenkę za *Moon River* wspólnie z Henrym Mancinim (autorem melodii) (przyp. red.).

<sup>4</sup> W.H. Auden, *Funeral Blues* (przyp. red.).

<sup>5</sup> The General Certificate of Secondary Education – brytyjski odpowiednik egzaminu gimnazjalnego (przyp. red.).

<sup>6</sup> *Farmor* to po szwedzku „babcia” (przyp. tłum.).

<sup>7</sup> Wiersz nosi znamieny tytuł, będący jednocześnie oryginalnym tytułem filmu – *10 Things I Hate About You* (*10 rzeczy, których w tobie nienawidzę*) (przyp. red.).

<sup>8</sup> University College London, część Uniwersytetu Londyńskiego (przyp. tłum.).

<sup>9</sup> Cytat z *Wirującego seksu* (*Dirty Dancing*). Baby zwraca się w ten sposób do Johnny’ego, nie mając pomysłu na to, co innego mogłaby mu powiedzieć (przyp. tłum.).

<sup>10</sup> Pełen tytuł filmu z 1977 roku to *Gwiezdne wojny: część IV – Nowa nadzieja* (*Star Wars: Episode IV – A New Hope*) (przyp. red.).

<sup>11</sup> Lista filmów wybranych przez National Film Preservation Board do przechowywania w Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych jako część amerykańskiego dziedzictwa kulturowego (przyp. tłum.).

<sup>12</sup> Fragment *Giaura* w tłumaczeniu Adama Mickiewicza (przyp. tłum.).

<sup>13</sup> Nawiązanie do Harry’ego Pottera; adres domu Blacków, później siedziby głównej Zakonu Feniksa oraz tymczasowej kryjówki Harry’ego, Rona i Hermiony (przyp. tłum.).

<sup>14</sup> To faktycznie cytat; z filmu *Dźwięki muzyki* z 1965 roku (przyp. red.).

<sup>15</sup> W polskiej wersji językowej głosów użyczyli odpowiednio: Maciej Stuhr, Julia Kamińska i Danuta Stenka (przyp. red.).

<sup>16</sup> Tajna organizacja o charakterze religijnym, działająca w Indiach prawdopodobnie od XVII do XIX wieku, mordująca podróżnych i okradająca zabitych; thugów można zobaczyć m.in. w filmie *Indiana Jones i Świątynia Zagłady* (przyp. tłum.).